

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 4/331

1975



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

J. MIEROSZEWSKI :

**UTRACONE SPRAWY - UTOPIE - GIGANTOMACHIA
DEWOLUCJA**

PELIKAN : **LEPIEJ NIŻ GORZEJ I NA ODWRÓT**

G. HERLING-GRUDZIŃSKI : **DZIENNIK PISANY NOCĄ**

A. KRUCZEK : **«BODŁO CIEŁĘ DĄB...»**

D. MORAWSKI : **PROWOKACJE W WATYKANIE**

SPIS RZECZY

Juliusz Mieroszewski:	<i>Materiały do refleksji i zadumy</i>	3
Pelikan:	<i>Lepiej niż gorzej i na odwrót</i>	17
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	34
Adam Kruczek:	<i>„Bodło cię dąb..”</i>	51

ARCHIWUM POLITYCZNE

Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	58
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	67

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	80
Dominik Morawski:	<i>„Jeszcze Ukraina nie zginęła..”</i>	84
D. M.:	<i>Kronika ukraińska</i>	92
Hana Jechova:	<i>Kronika czeska i słowacka: „Przypisana do ziemi”</i>	93
Wiktor Sukiennicki:	<i>Białoruskie rozbiecie i „legalizm” (2)</i>	95
E. Żagiel:	<i>Kronika litewska</i>	101

SPRAWY I TROSKI

Józef Garliński:	<i>Na zachodniej półkuli</i>	103
P. Emigrant:	<i>Raptularz londyński</i>	111
—	<i>Poradnik dla turystów</i>	115
Jerzy Jankowski:	<i>Kronika francuska</i>	116

KRONIKA KULTURALNA

Tadeusz Katelbach:	<i>O Wańkowiczu bez szminki</i>	119
Adam Nasielski:	<i>Marek Romański</i>	126
W. W.:	<i>Neostalinizm w „Poezji”</i>	128

KSIĄŻKI

Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Krajowe nowości wydawnicze</i>	130
Alicja Iwańska:	<i>Rozsmakowani w Meksyku</i>	139
—	<i>Nadchodzące nowości wydawnicze</i>	141



Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	145
--------------	--------------------------------	-----



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	146
---	--------------------------------------	-----



Wł. Bączkowski, W. Czerwiński, M. Prokop, I. L. Rudnytsky, K. W.:	<i>Listy do Redakcji</i>	155
---	------------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Kwiecień - Avril

1975

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Mieczysław Kościuch, Detroit, Mich. (USA), po raz drugi	F. 80,00
A. K. Ludwig, Springfield, Mass. (USA), po raz szósty	F. 20,00
Ks. H. Malak, Lemont, Ill. (USA), po raz szósty	F. 30,00
Ryszard Piątkowski, Mississauga, Ont. (Kanada)	F. 38,00
Inż. Leszek W. Skonieczny, Toronto, Ont. (Kanada), po raz siódmy	F. 100,00
Prof. Wacław Soroka, Stevens Point, Wis. (USA)	F. 100,00
Inż. Zbigniew Szpikowski, Toronto, Ont. (Kanada), po raz 14-ty	F. 40,00
Czesław Zaim, Cleveland, Ohio (USA), po raz ósmy	F. 32,00
Beziemiennie, Paryż, po raz trzeci	F. 300,00

DZIĘKUJEMY!

DO CZYTELNIKÓW « KULTURY »

W związku ze 100 % podwyżką opłat pocztowych ponawiamy prośbę, aby Czytelnicy przy zamawianiu książek *do dawali do należności 10 % na koszty przesyłki*, oraz aby do listów wymagających odpowiedzi dołączali kupony pocztowe w odpowiedniej wysokości (zwykły list zagr. kosztuje obecnie F. 1,20 lub dol. 0,30, a lotniczy do Ameryki Płn. i Płdn., Kanady czy Afryki — F. 1,70 lub dol. 0,40; do Australii i Azji — F. 1,90 lub dol. 0,45). Otrzymujemy codziennie takie ilości listów wymagających odpowiedzi, że miesięcznie stanowi to poważny wydatek sięgający kilkuset dolarów.

Tak samo przysyłając *niezamówione* rękopisy należy dołączać należność na ich ewentualne odesłanie.

Specjalna prośba do Czytelników w Kanadzie: od każdego czeku w dolarach kanadyjskich — banki *kanadyjskie potrącają \$ 1,50 niezależnie od kosztów inkasa we Francji*. Usilnie prosimy bądź o przesyłanie czeków bankowych we Frankach bądź wpłacanie należności na pocztę *na nasze konto pocztowe wymienione na wewnętrznej okładce pod wykazem przedstawicieli*. — Dziękujemy.

REDAKCJA

Materiały do refleksji i zadumy

UTRACONE SPRAWY — UTOPIE — WIZJE —
GIGANTOMACHIA — DEWOLUCJA

Wszystkie tak zwane *lost causes* — utracone sprawy — są zwykle w oczach pragmatyków utopijne. Historia uczy nas, że wiele utraconych spraw doczekało się realizacji i tym samym utraciło swą utopijność. Historia uczy nas również, że pragmatyzm bywa często realizmem na krótką metę. Czy realizm na krótką metę jest realizmem? Często pragmatyzm, który sugeruje nam krótkotrwałe rozwiązanie danego problemu — utrudnia sformułowanie długofalowego planu, który by obejmował likwidację nie tylko skutków lecz i przyczyn danej kryzysowej sytuacji.

Weźmy dla przykładu kryzys na Środkowym Wschodzie, który przycicha by powtórnie wybuchnąć płomieniem w najmniej przewidywanym momencie. Z chwilą gdy dochodzi do wybuchu — pragmatycznie myślący polityk, jak dr Kissinger, słusznie wnioskuję, że nakazem chwili jest zorganizowanie zawieszenia broni. Wszystko inne przesuwają się na dalszy plan. Pragmatyk Kissinger wsiada w samolot i niezmordowanie podróżuje pomiędzy Tel-Avivem, Kairem i Damaszkiem dopóki nie ustali warunków zawieszenia broni. Nadchodzi wreszcie „wielki dzień”, działają milkną, strony walczące wycofują się na ustalone rozejmem pozycje, wszyscy oddychają z ulgą. Krótko-terminowy, pragmatyczny cel został osiągnięty. Oczywiście, tam gdzie w grę wchodzi ratowanie życia ludzkiego — owo ratowanie życia tysięcy ludzi jest celem nadrzędnym i osiągnięcie tego celu musi być oceniane za wielki sukces.

Niemniej w dniu w którym milkną działa i warunki zawieszenia broni zostały podpisane przez obie strony, w perspektywie

długofalowej nic nie ulega zmianie. Pragmatyk Kissinger zaangażowany jest problemem dziś a nie problemami jutra i w chwili gdy toczą się krwawe bitwy — to jest słuszną postawą. Gdy dom płonie byłoby nonsensem dyskusowanie planów jego przyszłej przebudowy. Oczywiście trzeba skupić wszystkie siły celem jak najszybszego ugaszenia pożaru. Niemniej, wadliwy system ogrzewania domu — nieobjęty długofalowym planem rekonstrukcji — może stanowić groźbę, że pożar się powtórzy. Widzimy więc, że krótkofalowy pragmatyzm często służy tylko do natychmiastowego zażegnania kryzysu, lecz w gruncie rzeczy nie rozwiązuje niczego. Zręczność dyplomatyczna i niezmordowana energia Kissingera mogą w danej sytuacji zażegnać kryzys na Środkowym Wschodzie lecz dopóki PLO (*Palestine Liberation Organization*) reprezentuje pogląd, że Izrael musi być zlikwidowany i zastąpiony tworem państwowym o nazwie Palestyna — w którym Żydzi stanowiliby mniejszość — dopóty dyplomatyczne negocjacje, choćby prowadzone z największą zręcznością nie mogą przynieść trwałych rezultatów. Nie można bowiem ani wymagać ani oczekiwać od Izraelczyków by przyjęli jako punkt wyjściowy negocjacji likwidację własnego państwa. Czy więc Izraelczycy są utopistami wierząc, że można obronić kilkumilionowy Izrael otoczony stumilionowym morzem arabskim?

Niedawno słuchałem dyskusji na powyższy temat w jednym z programów BBC. W dyskusji brała udział młoda Izraelka osiadła na stałe w Anglii. Zapytana — wypowiedziała z całym spokojem pogląd, że w obrębie 50 lat Izrael przestanie istnieć a jego miejsce zajmie wielonarodowa i wieloreligijna Palestyna. Swoją opinię oparła na logice „wielkich cyfr”. Za 20 czy 30 lat Arabowie będą częściowo wykształceni i wyszkoleni oraz uzbrojeni w najdroższy i najbardziej nowoczesny sprzęt wojskowy. Bogate państwa arabskie nie są zainteresowane w „westernizacji” czy amerykanizacji swoich społeczeństw. Ich ideałem nie jest również model japoński, tzn. tworzenie bazy przemysłowej, opartej o import głównych surowców. Arabowie zainteresowani są tylko w jednym towarze, który można kupić za pieniądze. Tym towarem jest *power* to znaczy potencjały siły. Dlatego kupują samoloty, czołgi, sprzęt elektroniczny i zatrudniają setki obcych, doskonale płatnych instruktorów, którzy szkolą kadry instruktorów arabskich, specjalistów w różnych dziedzinach wojskowej technologii.

Jak pamiętamy — dr Kissinger oświadczył, że w rozpaczliwej sytuacji — gdyby producenci ropy naftowej usiłowali „udusić” gospodarkę przemysłowych mocarstw Zachodu — Stany Zjednoczone nie cofną się przed użyciem siły, by przywrócić dopływ życiodajnej ropy. Prezydent Ford poparł dr. Kissingera i zaży-

rował jego oświadczenie o użyciu siły. Równocześnie na ekranach telewizyjnych w Ameryce i w Europie pokazano „inwazyjne” manewry amerykańskich „Marines” i zaprezentowano telewizjom potęgę najnowszego wojennego sprzętu amerykańskiego, który niewątpliwie przedstawia się imponująco.

Oczywiście do żadnej inwazji nie dojdzie, bo w świecie rządzonej przez Kissingera i Breżniewa takie rzeczy się nie dzieją. Dr Kissinger jest świetnie obeznany z problemem naftowym — lecz niemniej dokładnie obeznany jest z problemem *détente*, której jest głównym architektem. Niepisana konstytucja *détente* zakłada, że żadne z super-mocarstw nie podejmie akcji wojskowej, która w rezultacie przyniosłaby zmianę w globalnej równowadze sił. „Świętą krową” *détente* jest *status quo*. Gdyby Amerykanie dokonali błyskawicznej inwazji trzech państw arabskich w zatoce Perskiej, których łączna ludność nie przenosi się do miliona — lecz które produkują 30 % ropy naftowej świata — globalny *status quo* uległby wybitnej zmianie na korzyść Stanów Zjednoczonych.

Rosjanie nie przełknęliby pigułki tej wielkości — natomiast zgodziliby się prawdopodobnie na podział rejonu Zatoki Perskiej i Środkowego Wschodu na strefy wpływów. To byłaby operacja uświęcona tradycją i wypróbowana dokładnie w Europie. W ten sposób nafta byłaby podzielona i zabezpieczona a *détente* byłaby uratowana.



Osobiście jestem przekonany, że w Rosji nastąpią wielkie zmiany gdy wymrze pokolenie drugiej wojny światowej, gdy do steru dojdą ludzie urodzeni w drugiej połowie bieżącego stulecia. Obecny pokój oparty na terrorze atomowym maskującym wzajemną wrogość, brak zrozumienia i nieufność — nie może trwać dziesiątkami lat, ponieważ jeżeli nic się nie zmieni — musiałoby dojść do wojny. Tak było zawsze w przeszłości. Problemy nie nadające się do rozwiązania grzebano pod gruzami miast i na wojennych cmentarzach, które można oglądać we wszystkich krajach Europy.

Gdyby przyszłość można było wydedukować z teraźniejszości — wystarczyłoby zmobilizować kilka tysięcy socjologów, którzy zebraliby współczesne dane i nimi zaprogramowano by duży komputer. Jeżeli przyszłość jest drzewem, które wyrasta ze szczepu teraźniejszości — zakładając, że znamy reguły wzrostu — komputer nie powinien mieć trudności w odpowiedzi na pytanie jak będzie kształtowała się sytuacja w Europie za 10 lat.

Trudność polega na tym, że teraźniejszość jest zawsze płynna i zmienna i skutek tego nie może służyć za niewzruszoną pod-

stawę rachunku „przyszłościowego”. Teraźniejszość jest jak plastelina, którą ugniatamy i formujemy w naszych palcach i tym samym wpływamy bezpośrednio na kształtowanie się przyszłości. Każdy z nas stanowi część doświadczenia, któremu na imię teraźniejszość i tym samym wpływa na przyszłość.

W tym miejscu należy poświęcić nieco uwagi utopiom. Utopia nie jest futurologiczną ekstrapolacją opartą o analizę teraźniejszości — ponieważ obraz utopijny budowany jest w oderwaniu a nawet w sprzeczności z rzeczywistością. Jest jednak moim głębokim przekonaniem, że utopie są nie tylko potrzebne lecz konieczne. Rosja — o jakiej marzy Sołżenicyn — w zestawieniu z obecną rzeczywistością jest utopią, lecz gdyby brakło Rosjan oddanych tej utopii — Rosja stałaby się krajem bez jutra.

Polska niepodległa, demokratycznie rządzona, w dobrych stosunkach ze swoimi sąsiadami, jest również utopią. Lecz to jest utopia, której nie zamierzam ani się wyzybyć ani jej zdradzić.

Loty kosmiczne, lądowanie na księżycu, fotografie Wenus, Marsa, Jupitera przesyłane przez statki kosmiczne kierowane z ziemi — to wszystko nie zostało wyekstrapolowane przez futurologów, tylko te wspaniałe osiągnięcia zostały wyśnione i wyrażone przez utopistów.

Przyszłość to nie jest logicznie zaprojektowane następne piętro gmachu teraźniejszości. Gdyby tak było — futurologowie, socjologowie i ekonomiści mieliby zawsze i we wszystkim rację. W rzeczywistości przyszłość jest realizacją utopijnych snów i marzeń ludzi i narodów. Przyszłość — gdy staje się rzeczywistością — częściowo przekracza najśmielsze sny i marzenia, częściowo zdradza wczorajsze utopie. Niemniej wydaje mi się, że utopie, tzn. sny, marzenia, pragnienia tak jednostek jak i społeczeństw — są realniejszym budulcem przyszłości niż wszystkie logiczne dedukcje futurologów.

Kto w roku 1910 przewidywał powstanie niepodległego państwa Izraela. Państwo to wyśnili i wymarzyli Żydzi wschodnioeuropejscy w oparciu nie o komputery, ale w oparciu o Stary Testament i Talmud.

Polska niepodległa z okresu międzywojennego powstała wbrew przewidywaniom racjonalistów, którzy dowodzili uczenie — jak np. Róża Luxemburg — że niepodległość Polski nie leży w interesie klasy robotniczej Rosji, Polski czy Niemiec. Twórca państwa polskiego — Józef Piłsudski — nie tylko nie był marksistą ale nawet nie był pozytywistą. Z tradycją pozytywizmu związany był Dmowski, natomiast Piłsudski, rozczynany w Słowackim, był romantykiem — związanym z tradycją najbardziej utopijnego ruchu w naszych nowoczesnych dziejach. Mam na myśli powstanie w roku 1863 — pieczęć Rządu Narodowego i

szubienice na stokach Cytadeli. A przecież historia nie potwierdziła marksistowskiej analizy Róży Luxemburg, nie potwierdziła polskiego pozytywizmu — potwierdziła natomiast Piłsudskiego. Dmowski podpisał Traktat Wersalski, lecz ani jednego dnia nie był premierem rządu RP a w chwili śmiertelnego zagrożenia na czele rządu jedności narodowej stał Witos a nie reprezentant Stronnictwa Narodowego.

Stało się tak dlatego, że nie marksizm, nie ideologia rewolucji, nie pozytywizm z programem pracy organicznej — tylko Legiony, polskie wojsko, polskie mundury, polskie szable ucieleśniały sny i marzenia większości Polaków.

Wielkim osiągnięciem są zrealizowane, mądrze i racjonalnie zaprojektowane, plany rozbudowy czy uprzemysłowienia lecz nie — powtarzam nic — nie wywiera takiego wrażenia jak stanąć twarzą w twarz z urzeczywistnioną utopią, ze zrealizowanym nagle marzeniem pokoleń.

Powyższą dygresję o utopiach chciałbym zakończyć dwoma uwagami. Utopie rodzą się z tragedii i z niemocy. Głęboko odczuwane dążenia i pragnienia — oczywiście w swej moralnej słuszności, gdy nie mogą w danym okresie być zrealizowane w ramach *Realpolitik* emigrują do krainy utopii, ponieważ w świecie realizmu i pragmatyzmu musiałyby zmarnieć.

Jednostki ludzkie i narody — które w okresach długotrwałych klęsk — nie są zdolne do budowy utopii — nie mają gdzie „emigrować” i załamują się pod brzemieniem teraźniejszości.

Utopia jest przyszłością tych, którzy nie mają przyszłości — ponieważ przyszłość, w realnym tego słowa znaczeniu mają tylko ci, których przyszłość może być zaplanowana w realnych wymiarach. Lecz jak podkreślałem to wielokrotnie — najbardziej realny realizm jest kategorią zmienną. To co dziś jest całkowicie nierealne za kilka lat może być w stu procentach realne. Sytuacja klęski czy głębokiego kryzysu polega na tym, że choć teoretycznie można przyznać, że klęska i kryzys nie będą trwałe wiecznie, nie ma realnych podstaw do twierdzenia, że np. za 10 lat sytuacja ulegnie poprawie. Ów brak realnych podstaw uniemożliwia budowanie programu polityki realnej. Wówczas, niepogodzeni z klęską wycofują się w utopię.

Tym, którzy powiedzą, że budowa utopii czy ucieczka w utopię jest w gruncie rzeczy bezproduktywnym eskapizmem — odpowiadam następująco. Racjonalna utopia, jeśli wolno się tak wyrazić, jest zawsze wizją przyszłości. Realnego programu polityczno-społecznego nie ma bez wizji przyszłości. W gruncie rzeczy sformułowanie wizji przyszłości jest najtrudniejszą i najważniejszą częścią programu. Wizja bowiem musi odpowiadać na pytanie jakiej Polski pragniemy a nie jaka Polska jest możliwa w po-

jałtańskiej sytuacji. W wizji nie można się rozgrzeszyć z niczego — natomiast w ramach *Realpolitik* można się rozgrzeszyć ze wszystkiego. Politycy realisci powiedzą po co mówić o Wilnie i Lwowie — skoro dziś i tak nie możemy oddać Wilna Litwinom a Lwowa Ukraińcom. Po co mówić o samostanowieniu narodów ujarzmionych przez Rosję, skoro Rosjanie nie przyznają nigdy Ukraińcom prawa do samostanowienia. Po co mówić o demokracji w Polsce — skoro parlamentaryzm i wielopartyjność, po dziesiątkach lat komunistycznej dyktatury przynieść by musiały chaos, który zakończyłby się dyktaturą prawicową lub wojskową, być może gorszą od dyktatury komunistycznej. Jeżeli w momencie koniunktury historycznej Polacy nie będą mieli żadnej wizji — innymi słowy, nie będą wiedzieli jakiej Polski pragną — sytuacja w Polsce będzie wypadkową dawnych nawyków i uwarunkowań i owa chaotyczna, pełna brutalności sytuacja sprawi, że znajdą się ludzie, którzy dyktaturę komunistyczną będą wspominać jako „dawne dobre czasy”.

Wydawałoby się, że gdy raz przekroczymy granice utopii — wszyscy stają się szlachetni, wzniośli, wspaniałomyślni — ponieważ w wymiarze utopijnym to nikogo nic nie kosztuje. Gdybyśmy wybrali na emigracji 100 ludzi mądrych i bez skazy i gdybyśmy tej Radzie Stu powierzyli wypracowanie na piśmie wizji przyszłej Polski po odzyskaniu niepodległości — wydaje mi się, że owi radcy nigdy by nie uzgodnili pomiędzy sobą wizji przyszłej Polski, ponieważ wypracowanie wizji jest daleko trudniejsze niż wypracowanie programu. Łatwiej bowiem jest uzgodnić w szerszym kole dyskutantów to, co jest realne a co nie jest realne — niż odróżnić to, co jest pożądane i słuszne, od tego co jest niepożądane i niesłuszne. Budując wizję trzeba by odpowiedzieć na pytanie czy Polska winna oddać Ukraińcom Lwów. Trzeba by domyśleć do końca czy taki krok byłby słuszny i pożądany czy nie. Należałoby odpowiedzieć na pytanie czy winniśmy przyjąć do demokratycznej społeczności niepodległej Polski tysiące polskich komunistów i czy należałoby zalegalizować partię komunistyczną, gdy w przyszłej Polsce znalazło się 10 czy 20 tysięcy komunistów, którzy pragnęliby mieć własną reprezentację w demokratycznie wyłonionym parlamencie.

W okresie 1863-1918 inteligencja polska we wszystkich trzech zaborach odgrywała pierwszoplanową rolę. Ta warstwa wyprodukowała zarówno krytyczną ocenę przeszłości jak i wizję przyszłej Polski. W cytowanym okresie inteligenci polscy byli aktywistami idei niepodległościowej.

Dziś inteligencja polska nie ma żadnej wizji i dlatego, w chwilach kryzysu, nie jest w stanie wypracować programu działania.

Czytałem, że inteligencja polska w Kraju wykazała wielką

dojrzałość polityczną wstrzymując się od udzielenia poparcia robotnikom w okresie tzw. wydarzeń grudniowych w roku 1970. Angażując się czynnie inteligencja nie osiągnęłaby niczego, natomiast ściągłaby na siebie represje i prześladowania powodując w rezultacie ogólne pogorszenie sytuacji inteligencji w Polsce Ludowej.

W mojej ocenie fakt, że inteligencja nie poparła robotników w grudniu 1970 dowodzi jej niedojrzałości politycznej. Ów fakt dowodzi również, że inteligencja nie posiada żadnej wizji. Wizje nie podlegają cenzurze — ponieważ nawet w Sowietach nie ma jeszcze orwellowskiej „policji myśli”.

W kilku ostatnich numerach *Kultury* ukazało się sporo artykułów i wypowiedzi krajowców. W większości wypadków są to próby precyzowania cząstkowych programów — w oderwaniu od wizji, której po prostu nie ma. Nie można wypracowywać rysunków roboczych jeżeli nie ma się wizji domu, który zamierza się budować. Wizja nie rodzi się z szczegółowych opracowań programowych tylko odwrotnie, plany robocze rodzą się z wizji.

Jednym z podstawowych elementów mojej wizji przyszłej Polski jest sojusz inteligencji z klasą robotniczą. Poświęciliśmy tej sprawie wiele miejsca na łamach *Kultury*, zwłaszcza w okresie „wiosny praskiej”.

Niemniej, wydarzenia grudniowe w roku 1970 zdają się wskazywać, że sojusz inteligencji z klasą robotniczą nie istnieje w Polsce nawet jako wizja — nawet jako marzenie.

Jak powstaje wizja? Wizji nie może stworzyć ani komisja ekspertów ani komitet przywódców politycznych reprezentujący różne kierunki myśli niepodległościowych. Dawniej wizję przekazywała literatura narodowa. Jednak wizja nie była „papierowym tygrysem”. Siłą żywotną wizji był protest i bunt. Polacy nie godzili się z niewolą i z narodowym nieistnieniem i szli na Sybir lub na szubienicę — dla wizji nierealnej — niemniej ucieleśniającej cele i dążenia narodu.

W minionej epoce literatura odzwierciedlała wizję lecz jej nie tworzyła. Wizja istniała w sercach i umysłach ludzi, pulsowała w zbiorowej świadomości warstwy określonej mianem inteligencji.

Niezależnie od cenzury — literatura we współczesnej Polsce, podobnie jak w innych krajach Europy, utraciła swe dawne funkcje i przywileje. Nie mamy Sołżenicyna — bo nie moglibyśmy go mieć. Polacy wykpiłoby deklamacje o humanizmie, o idealizmie religijnym — wykpiłoby wielkosłowie nieodłączne od wizjonerskiej literatury. Polscy cmokerzy literaccy wolą Gombrowicza niż polskich Sołżenicynów, których nie ma.

Po upadku i klęsce wrześniowej — wobec której błędną

wszystkie Sybiry i nieudane powstania — literatura poczuła się współwinna za ów straszliwy rozdźwięk jaki istnieje pomiędzy polską współczesną rzeczywistością a wczorajszą wizją. Cenzura ułatwiła literaturze zrzucenie z ramion płaszcza, który jej już nie pasował i ciążył.

Wizji, którą w znacznej mierze determinuje los i przeznaczenie narodu, nigdy nie tworzy literatura. To nie Kipling stworzył imperializm brytyjski tylko brytyjska idea imperialna stworzyła Kiplinga.

Wizja jest krystalizacją dążeń i pragnień aktywnie myślących ludzi danej społeczności narodowej. Na dalszą metę — to do czego część danego społeczeństwa świadomie dąży i czego pragnie — w znacznie większym stopniu determinuje los narodu niż tzw. obiektywne warunki zewnętrzne. Podobnie los jednostki jest w znacznie większym stopniu determinowany przekonaniem o słuszności wytyczonego celu i wolą jego realizacji niż tzw. obiektywnymi warunkami. Ludzie z wizją i wolą osiągają swoje cele — często wbrew piętrzącym się przeciwnościom.

Wierzę, że w ostatecznym rozrachunku tak jednostki jak i narody decydują o swoich losach w znacznie większym stopniu, niż mogłoby się to wydawać na podstawie analizy tzw. obiektywnych warunków.

Jeżeli mówimy, że dany człowiek siłą przekonania i woli oraz wytrwałą pracą zwalczył wszystkie przeszkody i osiągnął swój cel — jest to równoznaczne ze stwierdzeniem, że dany człowiek swoją postawą wpłynął na zmianę układu tak zwanych obiektywnych warunków.

Nie twierdzę, że naród w niewoli może osiągnąć wolność solidarną postawą niepodległościową — to znaczy zmienić obiektywny układ sytuacji. Twierdzę natomiast, że wolności i niepodległości nie osiągają nigdy ci, którzy wolności nie pragną i do niepodległości nie dążą. Twierdzę również, że postawa wewnętrzna społeczeństwa wpływa na układ tzw. obiektywnych warunków. Dlatego w gruncie rzeczy nie ma *lost causes* są tylko *lost people*.

Jeżeli dana sprawa czy problem choć w danym okresie obiektywnie nierealna — posiada dostateczną ilość gorących i oddanych zwolenników, przekonanych o moralnej słuszności danej sprawy — wcześniej lub później postawa tych ludzi wpływa na układ obiektywnych stosunków i to co było niemożliwe i nierealne staje się możliwe i realne. Jeżeli postęp socjalny coś znaczy — to można stwierdzić, że ów postęp we wszystkich dziedzinach na początku składał się z serii *lost causes* — które jednak nigdy nie straciły przekonanych wyznawców, którzy często pokoleniami walczyli o to, co uważali za słusznie i sprawiedliwe, wbrew wszystkim obiektywnym warunkom.

Mówiliśmy o pierwszeństwie wizji, której brak uniemożliwia wypracowanie programu. Jeżeli nie będziemy mieli sformułowanej wizji Polski jakiej pragniemy — zmiana obiektywnych warunków może nas zaskoczyć i nie będziemy mieli odpowiedzi na podstawowe pytania i problemy.

W grudniu 1970 inteligencja polska nie miała wizji i w konsekwencji nie miała programu. Wydarzenia ją zaskoczyły i w rezultacie inteligencja pozostała na marginesie. Nie twierdzę, że inteligencja powinna była powstać zbrojnie. Twierdzę natomiast, że gdy w Polsce nastąpią strajki i rozruchy robotnicze inteligencja, nie mając żadnej wizji, przyjmie postawę bierną, wyczekującą i przebudzi się z letargu kiedy na wszystko będzie za późno.

Polskość trzeba praktykować — trzeba nie tylko być zaangażowanym lecz trzeba przemyśleć polską problematykę i trzeba budować w swej duszy wizję Polski w oparciu o zasady chrześcijańskie, bacząc uważnie by w naszej wizyjnej Polsce obrona interesu narodowego nie oznaczała krzywdy pobratymczego narodu. Na dalszą metę bowiem realne jest tylko to, co jest słuszne. Cele niesłuszne bywają osiągalne lecz niesłuszne rozwiązania czy układy sytuacyjne nigdy nie są trwałe. Dlatego wizja, by w przyszłości choćby częściowo mogła być przetłumaczona na politykę realną, musi być słuszna i moralnie bez skazy. Wizja przyszłej Polski winna być oparta o zasady chrześcijańskie i kulturę typu zachodnioeuropejskiego. Chciałbym jeszcze raz podkreślić z naciskiem, że wizja moralnie słuszna, intensywnie wyznawana przez część choćby narodu, jest siłą historiotwórczą.

Z rozmów jakie prowadzę z krajowcami od dziesiątków lat wynika, że w tej sprawie panuje całkowity chaos a poważne myślenie o wizji przyszłej Polski większości Polaków wydaje się bezproduktywnym zajęciem. Nawet gdyby można było przyszłą Polskę zamówić u Pana Boga — nikt by nie wiedział jak ów obałunek sformułować.

Nie bójmy się słów utopia czy utopijność. Wszelki postęp w fazie embrionalnej jest utopią. Współczesna technologia, medycyna, biologia — 50 lat temu były utopiami. De-kolonizacja Afryki i Azji pół wieku temu była utopią. Niemal każdego dnia jesteśmy świadkami przekształcania się utopii w rzeczywistość.

Wizja — program — realizacja — to jest ogólny schemat wszelkiej działalności ludzkiej, którą określamy procesem historycznym. Wizja nie jest utopią w ujemnym tego słowa znaczeniu, lecz przeciwnie, jest pierwszym i nieodzownym krokiem na drodze ku realizmowi.

Wizja Polski? Co to jest Polska? Polska to jest naród, kraj, ziemia, lasy, rzeki, góry, wsie i miasta oraz kultura. Kultura

Zachodu. Czuję się daleko bardziej w Polsce słuchając Beethovena czy Mozarta niż czytając Putramenta czy Iwaszkiewicza. Mówię o Beethovenie i Mozarcie, ponieważ uważam muzykę klasyczną za wyjątkowe i bezprecedensowe osiągnięcie kultury zachodniej. Inne cywilizacje tworzyły w przeszłości wielkie literatury, wspaniałe sztuki plastyczne, wspaniałe systemy filozoficzno-religijne, lecz muzyka klasyczna jest — wybaczenie to słowo — unikalnym osiągnięciem kultury Zachodu. Azja wyprodukowała Buddę, lecz nie wydała ani jednego Beethovena. Ceramika chińska czy rysunki Hokusaja są wspaniałą sztuką, lecz ani Chiny ani Japonia nie wydały Haydna czy Mozarta.

Nic nie jest bardziej europejskie i bardziej zachodnie jak muzyka klasyczna, która jest „ojczyzną ojczyzn” Europejczyków wywodzących się z różnych krajów naszego kontynentu. Nasz Chopin należy do tej samej zachodnio-europejskiej tradycji i jeżeli wierzyć świadectwu Delacroix grał „bosko” Mozarta.

Kultura zachodnia i rzymskie chrześcijaństwo stanowią naszą fundament wizji autentycznej Polski, która wyzuta z tych dwu elementów przekształcić by się musiała w bezpostaciową miazgę etniczną rozlaną na szerokim przedpolu stanowiącym przedłużenie równin rosyjskich.



Nie chciałbym wywołać wrażenia, że wizja przyszłej Polski ma cokolwiek wspólnego z romantyzmem. Czy młodego uczciwego człowieka na dorobku, którzy marzy o własnym domu nazwiemy romantykiem? Podobnie wizja Polski nie powinna wybiegać poza to, co się nam z prawa należy. Nie marzymy o odbudowie Polski imperialnej — staramy się natomiast umocnić w nas samych przekonanie, że nie należy się nam nic mniej jak innym narodom, jak powiedzmy Belgom czy Szwedom. Z podstawowych, powszechnych dziś praw do samostanowienia można być czasowo obrabowanym, lecz z uprawnień tych nie wolno nigdy rezygnować. 30-milionowy naród europejski jest z definicji uprawniony do samostanowienia o swoim losie i dochodzenie tego uprawnienia nie jest romantyzmem tylko oczywistością, która nie może podlegać dyskusji. Podobnie nie jest romantyzmem dochodzenie swoich praw do samochodu, który skradziono nam sprzed domu. Polacy mają skłonność uważać uprawnienia, które im przysługują za romantyzm i utopię — natomiast akomodację z grabieżcą tych uprawnień skłonni są uważać za *Realpolitik*.



Jako ostatni punkt tych rozważań i refleksji poświęćmy kilka słów gigantomachii, którą uważam za główne zło w współczesnym świecie. Żywą, często gwałtowną reakcją na gigantomachię jest dewolucja, którą obserwujemy na całym globie z wyjątkiem Związku Sowieckiego.

Jeżeli daną organizację czy strukturę powiększamy, jej problemy rosną w postępie geometrycznym. Weźmy dla przykładu dwa miasta — jedno milionowe i drugie ośmiomilionowe. Oba miasta mają zasadniczo te same problemy z tym, że miasto ośmiomilionowe ma każdy problem dziesięciokrotnie a często dwudziestokrotnie większy i wielokrotnie trudniejszy do rozwiązania. Gigantyczne miasto musi mieć gigantyczną biurokrację, gigantyczną policję i ów gigantyzm powoduje, że stosunki przeciętnego obywatela z owymi kolosami są zdehumanizowane. W takiej masie jednostka może być tylko cyfrą, niczym więcej. W metropoliach-gigantach problemy takie jak przestępczość, korupcja, narkotyki — są po prostu nie do zwalczania i nie do rozwiązania. Nakładem olbrzymich pieniędzy wyciśniętych z mieszkańców w formie podatków można owe problemy uśmierzyć, załagodzić, lecz nie rozwiązać.

Podobnie przedstawia się problem gigantomachii w jej aspekcie politycznym. Weźmy dla przykładu Ukrainę. Ukraina do swoich problemów regionalnych ukraińskich musi jeszcze dodać problemy wpływające z gigantomachii sowieckiej. Czy Ukraińcom, którzy są średniej wielkości narodem, potrzebne są loty kosmiczne? Na pewno nie. Czy Ukraińcom potrzebne są kosztowne bronie atomowe i druga z kolei największa flota świata — na pewno nie. Niemniej Ukraińcy na to wszystko muszą dawać pieniądze, które — gdyby Ukraina była niezależną republiką — mogłyby być użyte na czysto ukraińskie cele społeczne, gospodarcze itp.

Weźmy jeszcze inny przykład. W ostatnich latach wyrosły jak grzyby po deszczu tzw. „multinacjonaly” to znaczy wielonarodowe koncerny przemysłowo-handlowe. W tych gigantach dehumanizacja i alienacja robotników doprowadzona jest do perfekcji. Jeżeli fabryka danego multinacjonala w Anglii nie przynosi spodziewanego zysku — fabrykę przenosi się do innego kraju a robotników brytyjskich „puszcza się na zieloną trawkę”.

Na problem gigantomachii zwróciło uwagę wielu uczonych, m.in. prof. Leopold Kohr.

Głównym problemem Rosji jest jej wielkość. Nawet gdyby Rosja była państwem demokratycznym, lecz zatrzymała zasadę niepodzielności i centralizmu — jej gigantomachia uniemożliwiałaby rozwiązanie podstawowych problemów społecznych i gospodarczych. Nawet w zliberalizowanej lecz nie podzielonej Rosji

musiałaby być olbrzymia biurokracja i olbrzymia policja. Niepodzielna Rosja nawet zliberalizowana musiałaby być centralistycznie i autorytatywnie rządzona z Moskwy, bo w niepodzielnej Rosji nie byłoby komu władzy delegować.

W tak gigantycznym kraju scentralizowanym i autokratycznie rządzonym nic nie może funkcjonować sprawnie, ponieważ absurdem byłoby wymagać, by biurokracja tych wymiarów mogła sprostać swym zadaniom. W systemach gigantomachicznych problemy niejako automatycznie ulegają uwielokrotnieniu. Centrum odpowiada na owo uwielokrotnienie stałym powiększaniem biurokracji co oczywiście stwarza nowe problemy i zwiększa kosztachiny państwowej.

Jest oczywiście, że łatwiej jest prowadzić racjonalną gospodarkę w małej Szwajcarii niż w „bezkresnej” Rosji, gdzie najprostszy problem ulega podniesieniu do N-tej potęgi i staje się nie do rozwiązania. Autokratyzm rosyjski tu bierze swe źródło, ponieważ Rosję można by zdecentralizować tylko za cenę jej dewolucji.

O dewolucji mówi się dziś i pisze w Anglii lecz nie w Rosji. W Wielkiej Brytanii dewolucja oznacza przyznanie praw do autonomii Szkotom i Walijszykom, którzy zachowując unię z Anglią będą mieli swoje parlamenty, które będą decydowały niemal o wszystkim co walijskie czy co szkockie — z wyjątkiem obrony i polityki zagranicznej.

Chciałbym przekonać naszych rosyjskich przyjaciół w wolnym świecie, że nie można mówić o liberalizacji czy demokratyzacji Rosji w oderwaniu od dewolucji. W Rosji dewolucja musiałaby oznaczać przyznanie rzetelnej autonomii republikom federalnym. Nie mówimy o „parcelowaniu” Rosji tak jak prasa brytyjska, pisząc od miesięcy o dewolucji Szkocji i Walii, nie ma na myśli parcelacji Wielkiej Brytanii. Czy autonomiczna Ukraina zechce w przyszłości zerwać więzy łączące ją z Rosją i przyjąć status niepodległego państwa zależeć będzie jedynie od woli narodu ukraińskiego i nikt tej sprawy nie może przesądzać.

Lecz podkreślam jeszcze raz — dewolucja nie oznacza ani parcelacji ani rozczłonkowania Rosji. Dewolucja oznacza natomiast przyznanie autonomii republikom federalnym. Stany Zjednoczone składają się z pół setki stanów z których każdy posiada własny parlament, administrację, policję, ustawodawstwo itp., itd. Stany Zjednoczone cierpią również na skutek gigantomachii lecz nie są ani w połowie tak scentralizowane jak Rosja i mimo systemu prezydenckiego nie są autokratycznie rządzone.

Chciałbym wreszcie przekonać naszych przyjaciół rosyjskich, że dewolucja potrzebna jest w pierwszym rzędzie Rosjanom, a dopiero w drugiej kolejności Ukraińcom czy Litwinom. Ponieważ

w tym wypadku chodzi o Rosję i przede wszystkim o Rosję. Bez dewolucji Rosja będzie niezdolna do decentralizacji, będzie niezdolna do przełamania systemu autokratycznego i pozostanie średniowiecznym kolosem odciętym od Europy i od dwudziestego wieku. Bez dewolucji modernizacja Rosji nie jest możliwa. Rosja, która odrzuci dewolucję będzie skazana na postępujący chaos wytworzony lawiną problemów nie do rozwiązania. Policją i łagarami można do czasu rządzić — lecz policją i łagarami nie można niczego rozwiązać.

Problem Rosji Nr 1 jest już nie wymiar ale jej bezmiar. Owym wymiar wyłącza decentralizację, demokrację, racjonalną gospodarkę ekonomiczną i społeczną. Rosja bez dewolucji skazana jest na autokratyzm i terror. I tak oto wielkość niepodzielonej Rosji — mistycznie odczuwana przez wielu Rosjan — może się stać jej przekleństwem i przyczyną upadku.

Dewelucja — ruch od wielkiego ku średniemu lub małemu — jest dziś charakterystycznym ruchem rozwojowym o światowym zasięgu. W Wielkiej Brytanii projektuje się i buduje wiele nowych miast. Wszystkie nowe miasta są małe lub średniej wielkości. Nie projektuje się nowych Londynów czy nowych Birmingham.

Ludzie zrozumieli, że gigantomachia jest koszmarną chorobą. Wielkie zakłady przemysłowe, wielkie instytucje, wielkie miasta — multiplikują wszystkie problemy a część ich przekształcają w zagadnienia nie do rozwiązania. Przerost — to znaczy wzrost od średniego ku gigantycznemu odbywa się zawsze za cenę degradacji jakości życia. Więć społeczną, poczucie przynależności, zadowolenie z wykonywanej pracy, to wszystko w systemach gigantomachicznych zastępuje komputer programowany i zarządzany przez super-meniadżerów.

W dziedzinie politycznej *trend* dewolucyjny sprzyja decentralizacji władzy, regionalizmowi — a na szczeblu narodowym sprzyja tendencjom do samostanowienia. Gdyby ktoś 30 czy 50 lat temu wysunął projekt parlamentu walijskiego — posłano by projektodawcę do psychiatry, a dziś dyskutuje się o dewolucji i przyjmuje się projekty parlamentów szkockiego i walijskiego jako rzeczy rozumiejące się samo przez się.

Trend dewolucji nadaje nowy wymiar sprawie Polski. Przystajemy być *lost cause*, przestajemy być utopistami, ponieważ nasze aspiracje stają się zgodne z duchem czasu. To jest rzecz nie bagatelna — ponieważ jest rzeczą rozpaczliwą walczyć o słuszną sprawę, której pozytywne rozwiązanie byłoby sprzeczne z duchem epoki.

Zgodność z duchem epoki nikomu nie gwarantuje zwycięstwa. Lecz owa zgodność odbiera polskiej sprawie egzotyzm, który

czynił ją niezrozumiałą dla obcych. Jesteśmy dewolucjonistami jak wiele innych narodów i mniejszości narodowych na obu półkulach, które domagają się prawa do samostanowienia. Dewolucjonizm — który poza imperium sowieckim jest powszechnie przyjętą filozofią politycznie społeczną — nadaje naszym żądanom legitymizm, co oznacza coś więcej niż legalizm. Przez legitymizm należy rozumieć zgodność z ogólnie przyjętą szkołą myślenia politycznego na Zachodzie — podczas gdy legalizm dotyczy tylko dawnego polskiego ustawodawstwa konstytucyjnego. Dewolucjonizm a nie legalizm powinien służyć za teoretyczną podstawę obrony sprawy polskiej na arenie międzynarodowej.

W następnym artykule postaram się odpowiedzieć na pytanie jakimi metodami powinien walczyć o prawo do samostanowienia naród pozbawiony konstytucyjnych środków wyrażania swojej woli.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Konkurs na pracę o Litwie historycznej

Komitet Wydawniczy „Pamiętnika Wileńskiego” ogłasza konkurs otwarty dla wszystkich, na krótki utwór literacki, pamiętnikarski, historyczny lub futurologiczny, który by w jakiś sposób dotyczył ziem b. Wielkiego Księstwa Litewskiego albo rozgrywał się na ich terenie. Komitet dopuszcza do napisania utworu o charakterze „historii imaginacyjnej”, to znaczy na temat „co by było gdyby”... jednakże pod warunkiem ścisłości faktów historycznych do momentu przełomowego, oraz politycznego realizmu w przewidywaniu dalszych wydarzeń. Dla przykładu Komitet podaje dwa następujące tematy:

- a) Jakim byłby dalszy przebieg i koniec wojny 1939 roku, w szczególności w odniesieniu do Ziemi Wschodnich Rzeczypospolitej, gdyby armia francuska w ciągu pierwszych dwóch tygodni wykonała zobowiązania wobec Polski, przewidziane w Konwencji wojkowej?
- b) Jakie byłyby skutki militarne i polityczne udania się w roku 1920 wojskowego planu wodza naczelnego Józefa Piłsudskiego, to znaczy umocnienia się w Kijowie, przetrucenia większości swoich sił na północ i zupełnego rozbicia skoncentrowanych tam ofensywnych wojsk bolszewickich?

Utwór powinien mieć nie mniej niż 20 i nie więcej niż 40 stron pisma maszynowego na znormalizowanych arkuszach (26 wierszy na stronie).

Ustanawia się jedną nagrodę w wysokości £ 150; drugą — £ 50 i trzecią — £ 40. Praca nagrodzona, jeśli nie przekroczy 20 stron, będzie ogłoszona w *Wiadomościach* ewentualnie w broszurze na koszt autora.

Maszynopisy powinny być przesłane pod adresem tygodnika *Wiadomości* (67, Great Russell Street, London W.C.1) i podpisane godłem autora, którego nazwisko powinno być umieszczone w zamkniętej kopercie. Termin składania prac ustanawia się na 1 października 1975 (data stempla pocztowego).

Lepiej niż gorzej i na odwrót

Rozmowa z Juśkiewiczem, któremu parę lat temu sprzedałem kanarka (fakt!), gdy musiałem z miasta wyjechać — ale kto to jest Juśkiewicz? Był dozorcą jakichś zakładów na Pradze, teraz jest rencistą, mieszka mimo to w służbowym mieszkanku — i ot, spotkaliśmy się z Juśkiewiczem na półku między domami, słucham jak narzeka i jednocześnie chrząka z ukontentowaniem, żywie sympatię do jego chłopskiego umysłu i mazurzenia. — Piszą i piszą (opowiada), że tyle biją bydła i świń, to cemu przed wojną nikt o tym nie pisał, a było wszystkiego, ile kto chciał i jeszcze się prosili, żeby kupić, tak. Teraz co? Same ścierwo na ladzie a ekspedientki złe jak suki, do bze, że jeszcze kiełbasiska dostanie. Tak. Wziąć powiatowe miasto, to i tego nie ma, gospodarze nawet kiełbasiska nie kupią, pusto, Warszawa to luksus, tak.

Raptem dodaje: — Tak. Znaczący w marcu się wyprowadzamy, już nas tu nie będzie! — Okazało się, że emeryt Juśkiewicz opróżnia mieszkanie dla drugiego dozorczy, a sam dostaje nowe, w innej dzielnicy, tak, dobre mieszkanie, dwa pokoje, ponad 40 metrów, balkon, czwarte piętro, ale dwie windy, panie, ciepło, a jakże. Tak.

Czyli, że jeden fakt rehabilituje w pewnym znaczeniu drugi fakt, kiełbasiska i kotlety szwankują fatalnie, za to człowiekowi bez fachu, na najniższym szczeblu społecznej użyteczności daje się jednak mieszkanie, choć już jest do niczego: nie wyrzuca się go, jak złamaną klamkę, odwrotnie, traktuje się go bardzo po ludzku. Słowem zasady tego rządu nie tylko, w niektórych sprawach, wyglądają po ludzku, ale i realizowane są jak należy, co powinno napawać otuchą. Wypycha to znowu do przodu odwieczne pytanie: — Dobrze jest, czy źle? — ach, ci ludzie

w swoich dziecinnych ocenach tacy uparci, spragnieni czarnobiałego obrazka i niepomni na pedagogiczne wysiłki historii wciąż perswadującej: że nie ma dobrze czy źle, że te przysłówki mają sens tylko pod pewnym obranym kątem.

Tego samego lata, gdy tak lało paskudnie i gdy przeprowadziliśmy obywatelską rozmowę z Juśkiewiczem, przyjechał do Polski Jasiu, więc na pierwszą rozmowę nałożyła się inna, rodzaj dialogu, w części imaginacyjnego — z tym właśnie przybyłem ze Szwecji, od stu lat niewidzianym i niesłyszczanym Jasiu, serdecznym kumpem z dzieciństwa i młodości kaliskiej. Przed wojną wyjechał do Lwowa na politechnikę, potem jak się mówiło, prysnął do Szwecji i choć następnie okrężną pocztą namawiał mnie do tego samego, to jednak kontakty zawiodły, nie udało się prysnąć, przepadliśmy sobie wzajem i tak trzydzieści parę lat się nazbierało. Jeszcze jedna zmarnowana sprawa. Jasiu przyjechał, odnalazł mnie... sztywno padliśmy sobie w objęcia cali w uśmiechach i stukając w siebie oczami, jak w tzw. czołowym zderzeniu na szosie; pełni z góry ograniczonej nadziei na odbudowanie czegoś (żaden z nas nie miał śmiałości precyzować), jakiejś pozostałości z dziecinnej pokój i pełni podłej, głęboko niesmacznej wzajemnej ostrożności. Nie nasza wina, Jasiu, a brat twój Lutek, nasz nadrzędny przyjaciel, który w tamtym ciemnym wielkim pokoju rozdawał role, już nie żyje — co nie jest wypadkiem szczególnym, więc na ten temat nie ma co rozprawiać.

Jasiu wysunął się z przeszłości jak z fotograficznej ciemni, czekając na lotnisku nic sobie z tej twarzy nie mogłem przypomnieć i dopiero nieco później wystąpiła ona na światło, wprawdzie twarz nie ta sama, ale niewątpliwie twarz należąca do Jana M., który kiedyś posługiwał się nieco inną twarzą mając do tego pełne prawo. Wspomnieniom daliśmy spokój, ale biegałem za nim po całej Polsce, żeby go podsłuchiwać i ciągnąć za język: co mówi rozsądny człowiek przez 30 lat nasiąknięty szwedzkim chłodem i materializmem (jakże my im zazdrościmy tego materializmu!). Raz w okolicy Nowego Sącza wiozł mnie samochodem, przepyszną drogą, do okulisty w powiatowym szpitalu, bo oślepiłem częściowo — przy torze kolejowym nawiało mi iskrę pod powiekę — i było to jakby Głuchy wiozł Słępego. Ostrożne Szwedzisko okazało się bowiem głuche na krytyki i egzazeracje, owszem, namawiał mnie do przyjęcia postawy praktycznej, a ponieważ nie było to zbyt drętwe i zaufanie między nami nie przepadło (choć tyle przepadło), więc replikowałem wymownie i zrobił się z tego dialog, przynajmniej w mojej wyobraźni. Siedząc wtedy koło niego z zawiązanymi oczami, słuchając szelestu opon uświadomiłem sobie, że nigdy tak dobrze się nie myśli, jak z zawiązanymi oczami, w stanie niegroźnej ślepoty. Mój przyjaciel

był już tu raz, pod koniec kariery Gomułki, ale mnie wtedy nie znalazł.

GLUCHY: — Odnoszę wrażenie, że u was tu coraz lepiej, 30 lat roboty, choćby rozmaitymi względami politycznymi obciążonej i niesprawnej, musiało się zbilansować pozytywnie, słowem jest trochę jaśniej, nowocześniej, ta Łazienkowska Trasa robi niezły efekt, jak i te wielkie prace przy Centralnym Dworcu w Warszawie, a ludzie nie biedują, samochodów coraz więcej, dużo szkół, środowiska naukowe pracują aż trzeszczy, masa wydawnictw, arciuchy doskonale grają w teatrach, muzyka święci tryumfy, a football jest symbolem narodowej ekspansji. Jesteście całkiem blisko banalnego modelu zadowolonego społeczeństwa, z tym plusem, że na razie nie odczuwacie zblazowania, obfitość kółkiem w gardle nie staje, co trzeba cenić — z drugiej strony już nie należycie do wyczekujących i wygłodzonych: więc czego ty chcesz, czego ty chcesz, człowiecze, zdaje mi się, że moja rola tu będzie ci dawać dobre rady, których oczywiście nie posłuchasz, i moralizować...

SŁĘPY: — To jest pogląd turystyczno-fotograficzny, mnie też chwytą czasem pokusa, żeby chodzić po kraju jak reporter i zbierać fajne zdjęcia: ładne Centrum Zdrowia Dziecka w budowie pod Miedzeszynem, tu jacyś młodzi świetni brodacze w białych wściekle fotogenicznych kitlach przy reaktorze atomowym, tam znowu ścisk wycieczek w grocie „Raj” koło Chęcina i tak dalej, właśnie wejdą na ekrany barwne kroniki XXX-lecia, piękne laurki dla każdego województwa. Czekaj jednak: twój pozorny realizm cudzoziemca ma genezę własną, twoją własną, na tym polegającą, że jesteś cudzoziemcem-Polakiem i kto wie, czy twarzą do i pewnie siedząc na swoich luksusowych śmieciach w Göteborgu nie czujesz trochę romantycznej nostalgii — ot, niewielkiej, praktycznie bez znaczenia — do tej Polski z jej kłopotami, w czym nawet chciałbyś wziąć udział, tylko że nigdy w tym udziału nie weźmiesz, bo wtedy trzeba by tu mieszkać i reagować na owo JEST LEPIEJ NIŻ GORZEJ w całym jego zagmatwaniu.

GLUCHY: — Zgoda, zgoda nawet na moją portatywną nostalgię, która nigdy nie będzie miała praktycznych konsekwencji, a jednak psia krew, daję ci dobrą radę, żebyś się do niej nie zastosował: strzeż się solipcyzmu w ocenach spraw bez porównania większych niż ty sam, miarkuj, bracie, że już cię zdystansowały obiektywnie dwie rzeczy, czas i liczby, to znaczy nowe pokolenie i nadmiar faktów. Kiedy człowieka, który ma skłonność do wewnętrznego zapadania się, który jest źle podpiwniczony — przerastają czas i liczby, wtedy naturalnym u niego

impulsem samoobrony jest zastawianie się subiektywną teorią, zawsze sto razy węższą i sto razy płytszą niż rzeczywistość. Tutejszemu zwykłemu obywatelowi państwo zgotowało los mniej więcej poprawny i mniej więcej przyzwoity.

Chciało mi się płakać (a ostatnie zdania Jasiu faktycznie wypowiedział, choć w ogóle był mniej wygadany, niżby to wynikało ze spisanego tu dialogu), chciało mi się płakać, zaszyłem się w męczące milczenie, bo w słowach Jasia było wielkie prawdopodobieństwo prawdy pomieszane z całkowitą nieprawdą: na przykład o moim podpiwniczeniu myślę zupełnie inaczej, wyobrażam sobie, że cały ten dom, który jak ślimak noszę na grzbiecie, właśnie od dołu wygląda najsolidniej.

SLEPY: — Państwo, które nam się narzuciło i to nie o własnych siłach, żadnych kwalifikacji losu nie ma, więc zmieńmy styl dyskusji — porzuć zasadę, że ludzkie jest tylko to, co małe i codzienne, ludzkie jest także, a może przede wszystkim, to, co duże i bardzo duże, filozofii i moralności nie można traktować jako rzeczy odświętnych, odwrotnie, tylko od nich należy zaczynać każdą ocenę, co tu gadać: zmieńmy styl, w imię naszych wspomnień z dziecinnego pokoju.

Zacietrzewiłem się, a streszczenie tego wyglądałoby następująco: czy narzucanie trudnej idei wolności i moralności masom względnie zadowolonym z minimalnego dobrobytu jest praktycznie możliwe, no i przede wszystkim — czy jest dozwolone, jakie do tego mamy prawo, jakie mamy prawo zakłócać spokój glinianki! Ludzie kąpiący się w niedzielę w gliniankach na Czeraniakowie wydają się zdrowi i zadowoleni, opryskują się wodą i gęby się im nie zamykają, a gadulstwo jest dowodem pozytywnym psychologicznie.

GLEUCHY: — Wolność a konieczność, to typowa antynomia, człowiek z glinianki tego sobie nie uświadamia, ale wybiera konieczność, to fakt poza dyskusją — tym bardziej, że jest ona całkiem znośna: jak ty chcesz sobie radzić z sytuacją aż tak notoryczną? Twoją ideą fixe jest zagadnienie kłamstwa, ale uważaj, uważaj, to współczynnik stały nie tylko u was, wrodzona cecha polityki.

SLEPY: — Tylko że tutaj jest to monopol państwowy, jak spirytus, więc daleko tutejszemu kłamstwu do typowości, jeżeli ma charakter monopolu państwowego, a cechą szczególną tutejszego kłamstwa jest jeszcze i to, że działa ono również na tych, którzy uczynili z niego instytucję. Nie ulega bowiem wątpliwości,

że i oni — jak ich zwać — narkotyzują się antyprawdą i dezinformacją z własnej fabryczki, co, musisz przyznać, jest całkiem ludzkim przypuszczeniem, traktując ich jak ludzi z krwi i kości, nie przypisując im żadnych satanicznych właściwości.

Słyszałeś pewnie, że Gomułka napisał pamiętniki, „Moje czterdzieści lat”, które ukazały się w Izraelu, potem na Zachodzie i uchodzą za autentyczne, choć kto to może gwarantować? Wypowiada w nich pamiętnikarz myśli horendalne i nieprzytomne, ma między innymi pretensje do narodu, że mu nie okazał wdzięczności, tak jest napompowany automistyfikacją, że zapomina o kompromitującej sprawie „Dziadów”, o zniesławieniu wybitnego pisarza, za to w kontekście swoich lamentów — nie czując żadnej sprzeczności — sam przytacza fakt, że w grudniu 1970 roku żądał od Moskwy pomocy czołgów, czego mu odmówiono. Być może pamiętniki są podrobione, ale w takim razie jest to znakomity falsyfikat doskonale reflektujący głupotę Gomułki i specyficzną wiarę całego tego zespołu w swoją rolę: jaki to rarytas, te wyrzekania „męża stanu”, Gomułka czuje gorczy człowieka pokrzywdzonego, ale przez kogo? Przez naród. „Gdybym chciał rzucić klątwę na swoje dziecko, kazałbym mu rządzić polskim narodem” pisze używając terminu naród w sensie tylko jemu wiadomym, bo kontakt Gomułki z narodem, w 1956, był krótki jak mgnienie oka i polegał na złudzeniu. Zwróć uwagę na dynastyczne skłonności tego wielkorządcy, który czyniąc założenie (choćby przykładowo) o przekazaniu władzy synowi nie widzi w tym śmieszności — oni tak to sobie wyobrażają, czują się dynastami, typu co prawda nie rodowego, ale partyjnego. A wszystko to przypomina pewną rozmowę Witkiewicza z Wojciechem Rojem w Zakopanem: — Czy kto robi posągi czy buty, musi być porządnym człowiekiem, widzicie, kłamstwem można świat przejść, ale wrócić nie można”.

Gomułka łgarstwem przeszedłszy swoje lat czterdzieści teraz, zza politycznego grobu, chciałby z a w r a c a ć kłamstwem, tak nie można, nie można, nikt się na to nabrać nie da — i to jest nie innego, tylko nowa odmiana pasji, była przysłowiowa pasja szewska, tak teraz jest dynastyczna pasja tych polskich majordomusów.

Sam poczułem, jako SLEPY, przynajmniej grający rolę ślepego, coś w rodzaju furii, diabli wzięli przejrzystą konstrukcję dialogu z Głuchym, opanował mnie ślinotok.

— Słuchaj, od lat szukam formuły na to zjawisko przerażające również logicznie i nic nie mogę znaleźć: w jaki

sposób idea o sprawiedliwych założeniach, powołująca do służby nie tylko awanturników i łajdaków, ale także mnóstwo ludzi entuzjastycznych i prawych — wszedłszy w fazę urzędu i metody — traci początkową moralną równowagę, potyka się, stacza i piękna roślina zamienia się w beton i wielkie przedsięwzięcie moralizatorskie, jakim w założeniu jest rewolucja, staje się interesownym problemem utrzymania władzy w wąskim kręgu osób?

GLUCHY: — Podam ci metaforę, na międzynarodowym kongresie matematyków w Vancouver profesor Christopher Zeeman z uniwersytetu w Warwick zademonstrował papierowy model swojej teorii katastrofy: była to kartka papieru skrzyta w kształt litery S, wiodąc palcem Zeeman przemykał jednym tempem z powierzchni wewnętrznej na powierzchnię zewnętrzną akcentując tym krótki moment ruptury i tak krzywa S stała się precedensem w naukowej wzorcowni, jest nieudowodnionym liczbowo symbolem katastrofy, a aplikuje się równie dobrze do rozbijania się fal, jak do scen małżeńskich czy buntów w więzieniu, więc pewnie pasuje i do twojej katastrofy socjalizmu na Wschodzie.

Słucham Jasia i zapalam się, choć na rozum brać tego nawet nie próbuję, ta krzywizna raptem wzdęto-wypukła pasuje oczywiście jak ulał do fenomenu owego gwałtu, którego zetatygowany socjalizm dokonał na idei socjalizmu.

GLUCHY: — Także ruch pieszy naprzód jest szeregiem katastrof, następstwem kolejnych utrat równowagi, w ogóle aplikacja teorii S rozciąga się szeroko w tym świecie o czterech wymiarach, ale skończmy z tym, za dużo w twoim stanowisku abstrakcji i zadaję sobie pytanie: jeżeli aż tak źle myślisz, to jak tu wygląda twoje życie, czy jest w ogóle możliwe?

SLEPY: — Możliwe, bo wszystko niemal w każdych okolicznościach jest możliwe, ale być może, że to jest życie nieprawdziwe, a z drugiej strony — konieczne, i tylko tu, jako sprawa subiektywnie ważna — gdybym osiadł za granicą byłaby to już inna waga tego samego pozornie życia.

GLUCHY: — Solipsizm, wynik nierównej walki z czasem i liczbami.

SLEPY: — Głuchy Ślepy uczył solfeżu! Wiesz co, coś ci opowiem, opowiem ci o pewnych NIEUDANYCH PRZYGOTOWANIACH DO SIELANKI, zresztą to nie ja byłem, tylko ktoś znajomy, który zrobiwszy rachunek swego pod każdym względem marginesowego życia powiedział sobie: dość, trzeba się pogodzić, pokumać, uiścić wiadomą cenę oportunistu i żyć pełniej, wyszedł z założenia, że życie oportunistyczne nie uszkodzi trzonu egzystencji, że zawsze będzie dość energii na prywatną

radość i sytość, a *Paris vaut la messe*, a *Paris vaut la messe*! Spróbował uciec na wyspę oportunistu, na tę swoją Cyterę, czyli urządzić sielankę na linii władza i on, a ponieważ wzorów postępowania nie brakło — raczej odwrotnych wzorów brakuje — więc szybko doszłusował, gdzie trzeba. Przekonał się już niestety, że to oznacza konieczność nie tylko opowiadania się, co pewien czas, na tempa, za władzą, ale także — i to go nie wiem czemu zaskoczyło! — oznacza to konieczność przejmowania ich gestykulacji i sposobów ekspresji, wreszcie samego języka i tym się zaczął dławić, choć nie wiem, dlaczego nie był na to przygotowany. Język buduje myślenie, albo je redukuje, poza tym język jest częścią samego doświadczenia życiowego i samego życia, więc w warstwie językowej a nie administracyjnej zaczęła się jego klęska, zresztą ostateczna, bo nie wyciągnął z niej żadnych konsekwencji, po prostu czuł ją z biegiem czasu mniej i mniej, w miarę jak kurczyło się jego pole własne: opowiadał to już po fakcie, gdy się znalazł po drugiej stronie równi pochyłej — opowiedział mi to nabierając rozpędu w zjeżdżaniu.

GLUCHY: — Co znaczy, że nie całkiem się stoczył.

SLEPY: — Ot, przebłysk świadomości, nigdy nie wiadomo, gdzie i kiedy odezwie się subtelny odruch świadomości przywołanej rutyną, opowiadał mi to ów człowiek niezręcznie, jak jąkała albowiem stracił język, aż litość brała. W tych nieartykułowanych dźwiękach krył się jakiś ślad nieszczęsnej, ograbionej z naturalnego bogactwa myśli o prawdomówności, o prawdomówności, która jest sama wolnością — nie swoboda poruszania się, ale swoboda wyjawiania myśli, rzeźbienia myśli w języku godnym tej nazwy i publicznie, jest decydująca o tym co Grecy nazywali *paideia*: wieloznaczny ten termin określa kulturalne jestestwo człowieka.

GLUCHY: — Dla tak zwanych członków społeczeństwa jest to ideał fikcyjny, przypomnij sobie, że społeczeństwa nie rozwijały swojej państwowości na zasadzie prawdomówności, główną rolę grała praca mas i spryt jej kierowników, większość elementów składająca się na karierę państw w życiu prywatnym nazywa się zwykłym świństwem. Jeżeli w życiu jednostki tyle wagi należy poświęcić na taktykę, cóż mówić o organizacji państwowej, gdzie jest tyle taktyki, tyle konwencji dotyczących między innymi języka i użytku robionego ze słowa. Nie rozumiem też w czym imieniu przemawiasz, spotykałem tu setki osób, z którymi można było inteligentnie pogadać, ale u nich takiego dna, jak u ciebie nie było widać, choć im zazierałem mocno i głęboko w tęczówki.

Nawet nie odpowiedziałem, jeżeli on się nie domyśla, że mówię w swoim imieniu i niewielkiej rozrzuconej po kraju liczby

osób, to po co mu to tłumaczyć. Ale co mi teraz przychodzi do głowy: że pewne analogiczne refleksje i wnioski chętnie podwytyjemy u innych, z całkiem różnych kultur politycznych i wtedy wyjęte stamtąd sformułowania specjalnie ostro, z ostentacją wyróżniają się od tego naszego kontekstu uzupełniając go i komentując z pożytkiem. David Halberstam, autor książki o czasie i ekipie Kennedy'ego wysuwa jako pewnik, że w polityce kłamstwo zawsze się kończy katastrofą, czego dowodzi przypominając zachowanie się intelektualistów Kennedy'ego, którzy zasieli embrion kłamstwa w sprawie Wietnamu, co doprowadziło do okłamywania opinii i w końcu ich samych, co potem szybko i tragicznie rozwinęło się za Johnsona, a w całym wachlarzu kłamstwa rozwinęło się w aferze Watergate. Koncepcja Halberstama nie tylko dlatego działa tak olśniewająco, że jest śmiała a słuszna, ale także dlatego, że jest niedopowiedzialna, brakuje jej drugiego członu dotyczącego reakcji opinii publicznej w Ameryce i to niedopowiedzenie, neutralne w warunkach amerykańskich, w naszych warunkach jest uderzające.

Każdy umiejący myśleć człowiek skomentuje to następująco: to znamy, nam tego sformułowania oczywistej rzeczy nie trzeba, kontaminacja kłamstwem, dynamiczne właściwości kłamstwa, jego nieogarnione konsekwencje nie ulegają wątpliwości — jednak my za to czego nam trzeba, to niezmiernie ważnej informacji o zachowaniu się opinii amerykańskiej w stosunku do kłamstwa własnej administracji: tych informacji w Polsce się nie rozpowszechnia bo nasuwają one zbyt jasne w wymowie porównania.

Kontrakcja najlepszej części społeczeństwa amerykańskiego nigdy nie ustawała a dziś ma ono większe doświadczenie, większe środki moralne i lepsze środki techniczne walki niż przedtem, jak to oświadczyła Katherine Graham, dyrektor *Washington Post* i *Newsweek*, już dawno na studenckich wiecach zbierało się krew dla Wietnamczyków, poborowi uciekali do Kanady, a prasa rąbała prawdę w oczy — o czym w Polsce po 30-tu latach nikt nie może mieć żadnego pojęcia. Stary Walter Lippman nie pozwolił się ugłaskać Johnsonowi i jeszcze w 1965 pisał o zawodzie dziennikarza: „Dramat, w jaki są wpłatanii współcześni publicyści, to konflikt między ich poszukiwaniem prawdy a równie silnym czy silniejszym pragnieniem i potrzebą pozostawania w dobrych stosunkach z władzą, z których wynika szafowanie przywilejami i honorami: najważniejsze formy korupcji we współczesnym dziennikarstwie to jawna czy ukryta kariera wspinająca się wzwyż piramidy władzy”. Już przed wojną pisał ten jedyny moralizator wśród dziennikarzy, że największym złem współczesnego świata jest zredukowanie społeczeństwa, do poziomu proletariatu, poprzez zniszczenie jego oszczędności, uczy-

nienie z obywateli bezradnych funkcjonariuszy monopolu prywatnego czy państwowego. Wtedy przestają być obywatelami, a gdy tylko społeczność traci poczucie indywidualnego bezpieczeństwa... staje się zastraszoną tłumem uległym władzy. *They are the mob*. Staje się gawiedzią.

Zespół sławnej Kay Graham, czyli *Washington Post* i *Newsweek* otrzymuje nagrodę Pulitzera za najlepszy reportaż i komentarz polityczny (nagroda za zdemaskowanie najwyższej władzy w kraju, któż to widział po naszej stronie!), paraliżuje Biały Dom odpierając niesłychanie brutalne ataki Rona Zieglera, rzecznika prezydenta, a jeszcze przedtem szewską pasję Spiro Agnew, zresztą pani Kay Graham w jakimś wywiadzie dodaje, że ostre strzelanie prasy nie dałoby ani w przybliżeniu takich wyników, gdyby w jej ojczyźnie nie funkcjonowała wrażliwa opinia i niezależne sądownictwo: „Ameryka pozostaje — w co trudno cudzoziemcom uwierzyć — społeczeństwem bardzo istotnie połączonym ze swoimi tradycjami a jednocześnie dojrzałym, system stworzony tu kiedyś, w momencie wyjściowym, funkcjonuje w dalszym ciągu, mimo ciężkich prób jakie musi przechodzić”. Polakowi szumi od tego w głowie, bo w tym zestawieniu — okrutnym — jego społeczeństwo przedstawia się jako klasyczny przykład tego co Lippman nazwał *mob*, ostatnio kazano ludziom płacić podatek od wzbogacenia, działający wstecz, mimo wyrytej we wszystkich głowach rzymskiej zasady, że *lex retro non agit*: co tam rzymskie prawo i etyka dla ludzi, którzy zawsze są gotowi, w swojej obronie, ściągnąć obce czołgi i którzy potrafią się dziwić, że *mob* nie jest im za to wdzięczny! Porównania z Ameryką są nielojalne, wprowadzają zamęt i histerię, to nie dla nas te przykłady. Nie od rzeczy mówi się u nas o pewnego rodzaju stabilności, opartej na całej sieci kompromisów i na różnych mini-mach ekonomicznych, ale do tego dodać trzeba, że urządziliśmy się z całą tą stabilizacją na samym dnie KATASTROFY i to w pewnym sensie wygodnie, godząc się, że słowa zamiast normatywnego znaczenia mają pewne role do odegrania, godząc się na fikcje prawa, któremu też się powierza role do zagrania, nawykłszy do gazet, radia, telewizji i kolorowych kronik w kinie, zakapturzeni i opatuleni kompletnie w nawyku, tak, Jasiu, NAWYK to największy sprzymierzeniec rządów totalitarnych.

Od pewnego czasu pamięć działa jakoś konwulsywnie, wyrzuca z szufladek wspomnienia, papierki, zapisy, przypominam sobie nagle, co Norwid tłumaczył w liście do Zamoyskiego: że patriotyzm to siła twórcza (więc społeczna?), a nie siła wypo-jedynczania się i zeschnięcia — tymczasem, jak dzisiejsza sytuacja dowodzi, w niektórych wypadkach patriotyzm zależy nie od

czego innego, tylko od siły wypojedynczania się, które może odwieka zeschnięcie — czego Norwid-emigrant nie mógł być przewidzieć. I przypomina mi się notatka z książki Czapskiego wyznającego, że „nie umiał widzieć spraw inaczej jak przez ludzi i nawet Polska to było zawsze dla niego przede wszystkim parę twarzy umarłych i żywych!”. To piękne, powinno się Czapskiemu tego sposobu widzenia gorąco zazdrościć, jest on typowo malarski, oparty na doświadczeniu i przeświadczeniu fizycznym, niechętny abstrakcji — której ja muszę być wierny, bo innego wyjścia nie ma.

GLUCHY: — Złapałem tu kiedyś w radio piosenkę, jedną z typowo żołnierskich, na odpowiednio rażną melodię, według starej recepty wprowadzanie tzw. krzepy do wspomnień o wojnie, a szło to mniej więcej tak:

— *Gdyśmy wracali z Berlina, z Berlina,
Czekała na nas dziewczyna, dziewczyna... itd.*

Uderzyły mnie wtedy pewne możliwości: w tym odwiecznym głupawym wierszyku mieściła się może swego czasu całkiem szczerą prawdą sytuacyjną i autentyczne wspomnienie, przecież rzeczywiście sporo Polaków w mundurach zaszło do Berlina, co musiało zostawić potężne wrażenie odpowiadające starym potrzebom odwetu i choć nie był to odwet z własnej ręki, wsparty bez porównania silniejszym ramieniem, to zawsze to był tak zwany kawał przeżycia. Czy nie jest prawdopodobne, że różni ludzie, w sumie dość liczni, wyprowadzili z tego swój światopogląd, a jeżeli nie światopogląd, to zasadę solidarności — co już jest bliskie określenia idei czy postawy — w każdym razie grupa rządząca mogła sobie stworzyć, drogą eliminacji faktów mniej chwalebnych swoją własną biografię, a wniosek stąd, że nie jest to jedynie zakon aparatchyków.

SLEPY: — Och, mają swoją biografię i pilnują, żeby tyła, zobacz tylko jak pilnują proporcji między tradycją AK i ich własną tradycją Żymierskiego, Berlinga i Rokossowskiego, sądzę nawet że piosenka o Berlinie i dziewczynie została napisana teraz, niedawno, przez któregoś z dobrze zarabiających członków ZAKS'u ale zwróć uwagę na inną rzecz: jaki zdumiewający brak poczucia humoru towarzyszy temu 30-letniemu pochodowi u nas, a 55-letniemu w Rosji, w tych dwóch narodach odznaczających się zawsze nadzwyczajnym zmysłem zabawy i śmieszności, po prostu coś tym dwóm społeczeństwom amputowano (a nie zapominajmy o Czechach i Słowakach!), odgórnie powzięto decyzję, że humoru nie będzie, bo humor zawadza i jaki

z tego przymus wynika dla milionów ludzi, którzy z fabrykacją politycznego kawału zeszli pod ziemię. Powiesz pewnie, że sprawdzian humoru nie jest dostatecznie poważny w wielkiej polityce, ani w technice sprawowania władzy, ani w psychologii władzy?

GLUCHY: — Tego pewnie nie powiem, ale jest faktem, że sprawdzian tego rodzaju nie ma w tej dziedzinie odpowiedniej tradycji.

SLEPY: — Jaka szkoda, gadamy tu o rzeczach wielkich i o rzeczach małych, otóż ta kwestia jest mała o wielkiej wymowie, zapewniam cię, trzeba uzupełnić odpowiednią tradycję, dopisać rozdział do Machiavellego, dopisać w odpowiednim miejscu u Dżilasa i u Miłosza, kryterium poczucia humoru wprowadzić do nauk politycznych, ale przede wszystkim do historii władzy, jeżeli będzie taka w końcu napisana — a cóż to byłaby za książka, gdyby ją z całą swobodą i poczuciem śmieszności napisać!

Brak poczucia humoru nie jest niewinną wadą wrodzoną, jak skłonność do łysienia czy krótkowzroczność: to jest wynik złego sumienia i nic więcej — nieobecność publiczna kpiny politycznej i karykatury, wrogość w stosunku do każdego przejawu żartu politycznego (ustalenie infantylnie wąskich ram dla tego żartu) wyraża w sposób doskonały stan napięcia w partii, jej obawę, że lud nawet bardzo osiedziały na samym dnie KATASTROFY nie dał się mimo wszystko nabrać do końca, no i wreszcie wyraża to wstyd. Jest pośrednim przyznawaniem się do porobionych głupstw, nikczemności i wypatroszenia prawdy, od czego wciąż za późno się odciąć, albo wciąż za wcześnie, mimo lat, mimo nowych pokoleń w dynastii; pomyśl jaka potężna jest siła krępująca od wewnątrz tę, jak to nazwałś, ich autobiografię.

GLUCHY: — Moim zadaniem nie jest pomagać ci w rozszerzaniu pola krytyki i, powiedzmy szczerze, nienawiści, która rozwija się sama z siebie bez poczucia miary, więc jednak wracam do swego: do przeświadczenia, że trybem ociężałym i sto razy mniej skutecznym, niż na Zachodzie, ciągnie się tu jednak tę bronę po grudzie, to znaczy, że suma prac, których autorem jest może bardziej długość czasu niż politycy, wychodzi społeczeństwu materialnie na korzyść, czego nie oceniać byłoby wietrutnym głupstwem, bo przecież to nie wyklucza dostrzegania współczynnika partactwa.

SLEPY: — Masz tendencję pomniejszenia wagi obu tych współczynników tutejszych: kłamliwości i partactwa, a według mnie nie są to zjawiska towarzyszące, ale tworzące nową, nie-szczeszną *qualitas* całej sytuacji, nie, to nie jest z mojej strony napór nienawiści (w ogóle to słowo tu nie pasuje!), tylko jedno z wielu rozpaczliwych spostrzeżeń, które wzajemnie się dopinają, to fakt, dlatego rozumię w tym tonie pozornej egza-

racji. Zauważ, proszę, że polskie partactwo nie tylko kompromituje tutejszą robotę, ale także demoralizuje technika, robotnika, rzemieślnika, dostawcę i sprzedawcę — w stosunku do wszystkich tych pracowników panuje cicho akceptowana zasada „przemawiania do ręki”, tego zwrotu może nie słyszałeś, to jest po prostu ludowe, szydercze określenie łapówki. Demoralizacja robotnika i kierownika wszystkich szczebli jest największym marnotrawstwem jakie sobie można wyobrazić, bez porównania większym niż straty czasu, straty pieniędzy i cierpliwości, bo tego rodzaju marnotrawstwa nie da się praktycznie odrobić, przemawianie ludziom do ręki, a nie do ich rozumu i ich godności musi dać paskudne wyniki i nie wiadomo kto i kiedy to zdoła odrobić.

GLUCHY: — Aksjomat, że jest mimo wszystko trochę lepiej, niż gorzej intelektualnie nie jest ciekawy, zgoda, to prostackie motto, a jednak sądzę, że — aby w sprawy i nastroje twojego kraju wgrzyźć się sprawiedliwie, po ludzku — trzeba to motto, tę minimalistyczną miarę uznać za obowiązujące. Trochę pobudowaliście, zamożniejsi jesteście.

SLEPY: — Juśkiewicz swoim chłopskim rozumem nijak pojąć nie może, że po 30 latach nie ma w sprzedaży mięsa.

GLUCHY: — Jednak Juśkiewicza nie traktuje się jak psa, daje mu się normalne mieszkanie, jego córka kończy technikum.

SLEPY: — To są minima, dlaczego każesz się cieszyć minimami, czy nie jest to jakiś bezlitosny snobizm człowieka żyjącego u siebie w szczytowej fazie *prosperity*, czy nie jest to nowa wersja kolonialnego stosunku do Murzynów znad Wisły?! Patrz w jakich okolicznościach i za jaką cenę wyprodukowano te minima, jak przy okazji zdewaluowano stosunek do pracy, wciąż jeden z najważniejszych motywów życia ludzkiego! Każda impreza tu z góry przegrywa jeżeli na jej drodze znajdzie się kwestia personalna, to znaczy partyjna, bo z punktu widzenia partii będzie się zawsze o p ł a c a ć zepsuć najważniejszą robotę, ponieść miliardowe koszty, niż wylać niedouka i zwykłego malwersanta, który spartolił robotę i ta niesłychana gdzie indziej o p ł a c a l n o ś ć różnych klęsk gospodarczych jest regułą, jedną z twardych reguł istnienia reżymu, który obok tego daje staremu Juśkiewiczowi mieszkanie i za darmo kształci jego córkę. Porównaj te miary, ogarnij całość — przecież nic innego nie robisz, tylko namawiasz mnie do zmiany ogniskowej! — zobacz jak szeroko sięga ten partyjny nepotyzm, na korzyść którego rozstrzyga się każdy konflikt w gospodarce! A ponieważ praktycznie wszyscy zaangażowani do prac są partyjni, więc to jest sieć powiązań niezmierna, od morza do morza, wiązanie oczek tu i ówdzie nic nie pomoże, żeby ten stół biesiadny naprawdę oczyścić trzeba

by ściągnąć cały obrus z wódką i piwem i golonką, rzucić na ziemię i rozbić w drzazgi: jeżeli ktoś mi zada nieścisłość, to tylko w tym, że rządcy powiatowi już od 10 lat nie piją zwykłej wódki tylko jarzębiak.

GLUCHY: — Żadnych motywów moralnych, *any moral principles!*?

SLEPY: — W grupie trzymającej się władzy bez oparcia z dołu i bez kontroli opinii społecznej, motyw moralny są niemożliwe — przecież to w ogóle luksus w psychologii władzy — zamiast tego są tu pewne cesje, pewne usługi minimalne, przedstawiane społeczeństwu jako dobrodziejstwa ustroju, co masa na ogół połyka, nawykła do gazety, radia i telewizji, a przede wszystkim nie czująca perspektywy, nie umiejąca używać skali: pomyśl jakim zdumiewającym powodzeniem cieszyłyby się wśród ludności broszura wyjaśniająca, przy pomocy liczb i faktów, że w trzydzieści lat po wojnie każdy reżym, bez względu na swój charakter, zrobiłby w Polsce więcej, niż zrobili to nasi hiperborejskiego pochodzenia komuniści. Każdy inny reżym miałby skuteczne powiązania z powojennym *boom'em* zachodnim, gdy tymczasem reżym zależny od Rosji, odrzucający wbrew interesowi narodowemu plan Marshalla (przykład opłacalności klęski gospodarczej) musiał przejąć metody i warunki najmniej skuteczne, zakute w politykę.

Zakute w politykę *ad personam*, pozbawione wielkiego środka przeczyszczającego, jakim jest publiczna opinia, te osobistości odczuwają dodatkowo znaczne trudności obserwowania stanu faktycznego życia, którym dysponują. Bo zakładam, że może rządzący chcieliby to i owo, w zakresie niezbędnych usług wobec społeczeństwa, ulepszyć: personel partii jest w końcu mieszkanką osobników różnego typu, składają się na nią co najmniej trzy typy, cynika, skrupulanta i urzędników wzruszających na wszystko ramionami dla świętego spokoju dostatniego życia. Byłoby pasjonująco ciekawe dowiedzieć się, czy jest tam jeszcze, w tym klasycznym składzie, osobnik-rekwizyt, to znaczy idealista w rodzaju Władysława Bieńkowskiego, w jakiej liczbie on przetrwał, czy też może wcale nie przetrwał wypadł po eliminacjach jak Bieńkowski i paru innych znanych przed laty z nazwiska. Rola skrupulantów jest bardzo ważna we wspomnianym układzie, należy sądzić, że obie pozostałe grupy chętnie się posługują skrupulantami jako ich zewnętrznym *porte-parole*, to oni tworzą wystawę i dbają o odmalowanie co pewien czas szyldu. Praktyka partii opiera się na trafnym i praktycznym szacunku bezwładu i ograniczonej pamięci masy społecznej, wiadomo im dobrze, choć słowo lud od dawna egzaltują, że masa społeczna to materiał do urobienia, o skórze słonia i wadze też słoniowej, ale bez nerwów

i bystrości słonia; że można tę masę ustawiać i odwrócić się, bo za oczami sama nie skoczy na inne miejsce. Krótka pamięć masy, to równie niewiarygodne co prawdziwe i nie wiem, jak to jest, że narody, jak się zwykło powtarzać, mają długą pamięć, natomiast to, co w narodzie jest trzonem fizycznym, roboczo-konsumpcyjnym, słowem masa społeczna — ma pamięć krótką, a krótka pamięć podwładnych jest solidnym oparciem dla władzy.

Łączy się to z bardzo ograniczonym zapotrzebowaniem władzy na intelektualistów i z wrogością wobec nich w wielu szczególnych przypadkach, gdy zdarzają się intelektualiści próbujący oddziaływać ożywczo na krótką pamięć swego społeczeństwa, pragnący, żeby masa przejęła jednak funkcje narodu.

GLUCHY: — Jest to przeciwstawienie w dialektyce nieznanne, twój neologizm, a może idiom, diabli cię wiedzą, radzę ci to uporządkować, jeżeli sam w ogóle pojmujesz o co chodzi.

SLEPY: — Trudne rozróżnienie, sam wiem najlepiej, cały kłopot z tym narodem bez ludzi i odsuwałem ten kłopot, jak długo było można, teraz zaczynając od frontu powiedzmy sobie od razu, że twoje motto LEPIEJ NIŻ GORZEJ, jeżeli nawet jest słuszne w zakresie materialnym, to w innym znaczeniu, w znaczeniu stopnia zachowania świadomości narodowej — powinno być odwrócone: GORZEJ NIŻ LEPIEJ. Czego nie można dowieść nie uczyniwszy przedtem założenia — czy choćby supozycji? — że naród w tym kraju to już nie liczba ludzi, ani ich dane statystyczne, tylko idea i tylko pewna grupa osób na wymarciu ma prawo utożsamiać się z tą ideą, co jest jednak za mało, więc trzeba ideę traktować osobno, niezależnie od ludzi, licząc się z całym niebezpieczeństwem takiego rozumowania, które może zejść na manowce, z czym zresztą liczę się cały czas, wiem, że to balansowanie na linie.

Unikam jak mogę założeń absolutyzujących, bo zawadzają rozumowi, uderzają w samą istotę otwartego myślenia, które jedynie ma sens, ale widać jest pewnego rodzaju koniecznością naszego gatunku, sprawą ludzką, choć wstydliwą — mieć gdzieś za plecami, pod ręką, choć jedną rzecz podobną do absolutu, takie własne, nielegalne w świecie racjonalizmu dynamo.

Sołżenicyn przyjechał do Szwecji i odebrał swoją nagrodę pierwszy raz w życiu nałożywszy frak, a tymczasem jakieś rozczarowanie otacza ten nowy etap Sołżenicyna — ze strony jego zachodnich przyjaciół — bo występuje z koncepcjami, z postawami, które Zachód nazywa mistycznymi i których nie kwapi się podzielać. Sołżenicyn wygłasza podobno gwałtowne monologi, kręcące się obsesyjnie wokół myśli, że tylko niestosowanie przemocy i pozbawiony ideologii politycznej ruch oporu, któremu muszą towarzyszyć nastroje religijne (*with strong religious over-*

tones) będą w stanie złamać system komunistyczny w Rosji i to nawet niedługo, bo w ciągu siedmiu lat, albo i wcześniej.

Niestosowanie przemocy — rasowo tożsame z Tołstojowskim niesprzeciwianiem się złemu — może być użytecznym sposobem w narodzie mającym dużo czasu przed sobą, takie przestrzenie wokół siebie, w społeczeństwie tak liczebnym, jak Rosjanie; nie wykluczone, że ilość czasu do dyspozycji zależy od masy, liczby i przestrzeni: ale to nie dla nas, u nas wszystko jest krótkie i ciasne, stąd zatrwajający brak czasu. Tym nie mniej mistyczne odruchy Sołżenicyna wydają się nam znacznie bardziej zrozumiałe niż na Zachodzie a gdy Andriej Sacharow twierdzi, że wygnany Sołżenicyn gra w Rosji jedyną w swoim rodzaju rolę, to my to rozumiemy, mamy swoje analogie i to jeszcze jakie, tak że w końcu się czuje, że odżegnywanie się od mistycyzmu w sposób definitywny byłoby z naszej strony nieoljalnością wobec własnego losu — trzeba coś z tego mistycyzmu przy sobie zostawić.

GLUCHY: — Słuchaj, jeżeli już tak się zdarzyło, że Głuchy wiezie Ślepego (choć było śmieszniej, gdyby Ślepy wioził Głuchego), to czemu sobie nie pozwolić na dalszy ciąg żartu wynikający z sytuacji: podwiozę cię do Sztokholmu, przedstawię komisji rozdającej nagrody Nobla, ty wbijesz się we frak i dasz przykład innego działania, niż Sołżenicyn.

SLEPY: — Nie można się powstrzymać od działania w żadnej sytuacji, póki w głowie nie ustaną myślowe procesy; oto ktoś powiedział, że mądrość polega na uznaniu niedoskonałego stanu człowieka, jego ułomnej kondycji, a nie na przeoczeniu tej niedoskonałości, co zwłaszcza się odnosi do sprawy działania. Człowiek jest istotą stworzoną bez pletw i skrzeli, ale wyrzucaną do morza; mądrość więc polega na uznaniu konieczności życia, w którym wiecznie się będzie odradzać dylemat idei przeciwstawionej naturze, dylemat moralności przeciwstawionej działaniu, dylemat utopijności przeciwstawionej świeckiej logice, sprawiedliwości — interesom materialnym. W naszym wypadku również dylemat sytuacji statystyczno-fizycznej w Polsce przeciwstawiony idei o narodzie, jako wartości moralnej i pod każdym względem ciekawszej, bogatszej, nadrzędnej. Głosić to przez wszystkie kanały i szpary — nie jest bynajmniej mistyką, to kawał roboty, w warunkach przymusowych abstrakcja, którą mi wyrzucasz, staje się orężem, jedynym atutem.

Czy zdajemy sobie sprawę z natury wojny wypowiedzianej tej NADRZĘDNOŚCI — z braku gotowych wyrazów używam tych nieczęstych symboli — czy zdajemy sobie z tego sprawę, bo wojna jest bez porównania sprytniejsza, zamaskowana i

w ogóle inna, niż w fazie Syzyfowych Prac, kto tej różnicy nie chwytą, ten niczego nie rozumie. Nie wzbrania się dziś nieszkodliwych nawyków, więc Sienkiewicz, Kraszewski i tańce „Mazowsza” są bardzo dobrze widziane, jeszcze lepiej jest widziany i opłacany szowinizm sportowy, nie chodzi też o wulgarną rasyfikację, celem jest przerobienie człowieka wewnętrznym odrębny, narodowo aktywnego, zaczepnego, traktującego tę swoją odrębność jako piękną otwartą postawę — na człowieka stadnego i konsumpcyjnego wedle schematu który kiedyś sklecił: „pieruński Ślązak w syrence”. O tym trudno mówić, jeszcze nie są stworzone narzędzia do tego rodzaju operacji, ale wracam do wspomnianego już greckiego terminu *paideia*: był to u Greków wzorzec wychowania, którego punktem wyjścia nie była jednostka tylko idea człowieka, z organicznymi powiązaniem we własnej kulturze, jako powszechnie ważny i obowiązujący obraz gatunku. Ten obraz Polaka nadrzędny do obrazu dzisiejszej jednostki składającej się na polski *mob*, ten wzorzec gatunku Polaka nie biologicznego tylko kulturalnego, jest dziś przedmiotem walki nam wydanej; chcąc wpisać nasze życie w ordynarnie ubogi system intelektualny partii, do tego nie swojej, do tego NIE SWOJEJ — co właściwie uniemożliwia z góry jakąkolwiek tej partii definicję, bo wystarczy drobny impuls z zewnątrz, który tę definicję podważy czy unieważni.

Nie mamy w historii doświadczeń, które by wskazywały, jak się w tej sytuacji odmiennie niż jeszcze 60 lat temu zachowywać, a już część z nas, na którą teoretycznie można by bardziej liczyć, podnosi nawet ręce do góry, tak właśnie uczynili literaci na poznańskim ostatnim zjeździe deklarując, że „trudne i bolesne chwile jakie były w ciągu tych lat 30, należą już do przeszłości”. Co mieli na myśli literaci, ich stwierdzenie jest jakąś wykrętną ćwierćprawdą — wyklucza nawet nazwanie po imieniu tych bolesnych i trudnych chwil — i wydaje się, że na tym zjeździe jedyną prawdą faktyczną było podniesienie rąk do góry, choć jakże ostrożnie to trzeba krytykować, nie wiadomo, kto tam podnosił ręce tylko taktycznie, żeby móc pisać książki, i kto podnosił ręce tylko na wysokość oczu, żeby nie widzieć, każdy tylko sam w sobie nosi miarę i ocenę swego postępowania, jak już Montaigne to w swojej epoce (widać też niewesołej) ujął:

MOIS SEUL SAIS SI JE SUIS LACHE OU COURAGEUX!

GLEUCHY: — Nie wiem, ja tu nie mieszkam, ja wolę przyjąć serio deklarację literatów, że już żadnych bolesnych rzeczy w tym kraju nie ma, po prostu dlatego, żeby móc tu bywać bez przeszkód, urządzić sobie dzikie wakacje w Beskidach, małe *wildlife* beskidzkie z żoną i synami, którzy mówią tylko po szwedzku,

wiesz chyba, że coś takiego jest na Zachodzie bardzo kosztowne, a u was jeszcze taniocha, tedy nie wnikam, nie wnikam, nie wnikam...

SLEPY: — A mówiąc tak naprawdę, przypomniawszy nasz pokój dziecięcy w starym domu koło parku nad Prosną, co? Odwołuję się do twojej przyjaźni, która nie istnieje, ale którą masz zakodowaną w pamięci, no nie? Więc tak naprawdę, co myślisz?

I zaraz dodałem: — No tak, dajmy sobie spokój, to się nie nadaje do gadania, a to wnikanie, wnikanie, wnikanie zostaw tutejszym specjalistom, na przykład pisarzom, którzy nie podnieśli rąk, pisarz nie ma nic innego do roboty poza myśleniem.

Do przerosu władzy państwowej, nawet bez tych cech importowanych, którymi się odznacza władza tutejsza, intelektualista może tylko jedno odczuwać: nieufność. Nawet gdyby to było jego własne państwo, z wyboru narodowego, nie powinien mu ufać jeżeli urzędnicy państwowe rosną w potęgę, bo mimo wszystkich usług jakie państwo jest zobowiązane świadczyć obywatelom, zawsze najbardziej usługne będzie sobie samemu, swemu instynktowi sprawowania władzy, który nie ma granic. Intelektualista głębiej od innych czujący swoją epokę to taki, który jej stawia opór nie dowierzając jej: żyje w swojej epoce ale stawia równocześnie opór, bo tylko rozumiejąc niebezpieczeństwo swego czasu można być ich naprawdę aktywnym uczestnikiem, a to generalne prawo określa jak najlepiej wyjątkowe okoliczności polskie wraz z ich zwyrodnieniem, tym bardziej w Polsce można istnieć tylko w postawie sprzeciwu, co oznacza ogromną osobistą niewygodę.

PELIKAN

PS. Dłuższy tej korespondencji są w zrozumiałej proporcji do ich rzadkości.

Dziennik pisany nocą

Neapol, 25 stycznia 1975

Z Rzymu wracałem samochodem ze znajomym, udając cały czas że drzemie dla uniknięcia rozmowy. Unikanie rozmów, zacięcie się w milczeniu od dwóch miesięcy... Zaniedbałem też dziennik, chociaż wiem że właśnie on mógłby mnie w jakimś stopniu otworzyć i poratować. *Nulla dies sine linea!*

W udawanej drzemce wspominałem poprzedni, listopadowy wypad do Rzymu. Straszna ulewa — ulicami dawnego getta, obok synagogi, przez wyspę na Tybrze, do Świętej Cecylii. Tylko dwa razy w tygodniu pokazują tam chętnym w godzinach rannych *Giudizio Universale* Cavalliniego. Byłem jedynym zwiedzającym, przy oględzinach asystowała stara zakonnica, wyraźnie zniecierpliwiona moim marudzeniem. Miałem przez chwilę trochę takie uczucie jakby mnie dopuszczono do czegoś tajnego i zakazanego, oczekując w zamian a nawet domagając się pośpiechu. *Sąd Ostateczny* powstał około roku 1293, o Cavallinim wciąż pisze się „tajemniczy poprzednik Giotto” czy „prawdopodobnie mistrz Giotto”. Signorelli w Orvieto, Michał Anioł w Sykstyń, to dramatyczna wizja sądzonych. Przed nimi malowano głównie Sądzących, mniej lub więcej hieratycznych. Arcydziełem spokojnej hieratyczności jest fresk Cavalliniego. Współczesny historyk sztuki twierdzi, a pustka u Świętej Cecylii potwierdza jego zdanie, że ten sposób przedstawiania *Sądu Ostatecznego* niezbyt odpowiada naszej „wrażliwości moralnej”.

Wjechaliśmy do Neapolu krótko przed północą, z wysokości Poggioreale odśloniły się chwytne płomyki na chodniku obok Domu Starców. Dla turysty czy przybysza nie obeznanego z naszym miastem byłby to pewnie z daleka sznur dziwnych pochod-

ni, ale ja mieszkam w Neapolu dwadzieścia lat, niedługo zaokrągli się w kalendarzu dokładna rocznica. To prostytutki z zaułków i z portu, ostatni etap przed wyrzuceniem na szmelc. Postarzałe, wybrakowane, zdarte, tu jeszcze mogą liczyć na wjeżdżającego późno do miasta klienta, pozbawionego lepszych informacji i adresów. A że noce są zimą i u nas chłodne, rozpalają z wszelkiego chłamu małe ogniska, podtrzymując je aż do szczęśliwego „wywołania” albo — częściej — do przegranego zejścia o świcie z posterunku. Stoją na ogół po dwie, łatwiej tak obsłużyć ogień i przeczekać noc.

26 stycznia

Przygłębił mnie wielki wywiad z Silonem w dzisiejszym *Corriere*. Świadomie czy mimowoli, dziennikarz nastroił go tak jak gdyby odpowiedzi Silonego dochodziły zza grobu, głosem „kadawerycznym” jaki słyszy się zazwyczaj w filmach o duchach. Z ogromnego dystansu wróżby zagłady. Duszą nas, zabijają „aparaty”: partyjne, instytucjonalne, państwowe. Włochy: korupcja „partiokracji” stała się chorobą nieuleczalną. Intellektualiści: „wrzeszczą kiedy wszyscy krzyczą, milczą kiedy powinni mówić”. W co może dziś wierzyć przeciętny Włoch? „Zaoszczędźmy sobie lepiej rozmowy na ten temat”. Co jest przyczyną niepewności, prowizoryczności sytuacji włoskiej? Nikt już teraz nie wie, kto w końcu zwycięży; dopóki panował Pius XII, kościół był przeciw komunistom; ta postawa wyraźnie się zmieniła a może i załamała, więc dawni antykomuniści zabezpieczają się na przyszłość, przygotowują się psychicznie do pobiegnięcia na pomoc zwycięzcom. Istnieje jakaś szansa ocalenia? „Nie widzę jej, idziemy w kierunku rosnącej biurokratyzacji życia”. Co nam gotuje przyszłość? „Kryzys sił tradycyjnych, które się jeszcze cudem uchowały; weźmy znowu kościół — o Marksie pisze się na serio w prasie katolickiej, kto go naprawdę zna wie że to stęchlizna i woli siedzieć cicho”. A zatem słowa zamykające *Fontamarę*: „Po tylu udrękach i żałobach, po tylu łzach i ranach, po takim zalewie nienawiści, niesprawiedliwości i rozpacz, co robić?”. „Otóż to, co robić? Jestem już stary, nie wierzę w żadne formułki i definicje, trzymam się hasła braci Rosselli i Salvemini *non mollare*; nie ustępować na własnym odcinku, być uczciwym”.

Odwiedziłem go w Rzymie w listopadzie. Męczą go dłuższe rozmowy, zachowuje jaką taką żywość najwyżej pół godziny. Przywitał mnie smętnym „zbliżamy się stopniowo do dna”. Usi-

lowałem go pocieszyć aforyzmem Leca: „Myślałem że to dno, ale z dołu odezwało się pukanie”. Na co on: „Kto puka?”.

Właśnie, kto puka? Czyli jak z „kwestią komunistyczną”, o której w nowym numerze *Kultury pisze* Dominik Morawski? W Rzymie, tym razem, wtajemniczono mnie u ołtarza w „świeżą nadzieję”. Murowane są już bogate złoża nafty w dolinie Padu, wykazały to próbné wiercenia, za dwa trzy lata zacznie się eksploatacja, fachowcy szacują zapas na dwadzieścia lat. Rzecz w tym żeby jeszcze dwa trzy lata dreptać w okolicy dna z dobrą miną do kiepskiej gry, nie zwracając uwagi na pukanie z dołu. Potem *compromesso storico* ulotni się jak przykry sen. Notuj, notuj, dzienniczku, to twój psi obowiązek...

27 stycznia

Rozmaite panie, *belle anime*, bardzo ubolewają od pewnego czasu nad tym, że zanadto zajmuję się w dzienniku „polityką”, a zwłaszcza „obsesyjnie obchodzącym mnie Wschodem”. Dość *à propos* będzie tu autentyczna historyjka, którą mi niegdyś opowiedział nieboszyk Grydzewski. Dostał od jednego ze swoich współpracowników sążnistą epistolę — literacką pochwałę impotencji. W tym niby sensie, że niemoc płciowa uniezależnia całkowicie mężczyznę od „wstrętnych babiszonów”, pozwala mu bez przeszkód i zawracania głowy skoncentrować się na pielęgnacji posiadanych przymiotów duchowych. Grydzewski, jak było w jego zwyczaju, odpisał odwrotną pocztą na wąziutkim skrawku papieru: „Dałem do przeczytania Pana list Stanisławowi Mackiewiczowi. Doszliśmy obaj do wniosku, że ma Pan stuprocentową rację. Ale jak to zrobić?”.

30 stycznia

Wyczuwało się to już w sympozjone *Iz-pod głyb*. W swoim omówieniu książki Kruczek napomyka o „nienawistnym” stosunku autorów do emigracji, którą w imię mistycznego obrazu narodu potępia się za ucieczkę i zdradę. Stosunek „nienawistny” to chyba za dużo, nie ulega jednak wątpliwości że Sołżenicynowi — jednemu, wśród siedmiu autorów, zagranicznemu uczestnikowi sympozjonu — przyznano status specjalny: „banity” a nie „emigranta”. Dobrowolnie wyemigrowali Siniawskij, Maksimow, Galicz, Niekrasow, Korżawin; Sołżenicyn został wyemigrowany.

Ten przymus ma mu w oczach mistycznego narodu zapewnić coś w rodzaju przywileju orwellowskiego: wszyscy emigranci są równi, jeden jest równiejszy od innych czyli krajowy. Starąłem się w trakcie lektury sympozjonu nie zauważać subtelnej implikacji (i ukrytego w niej bałamuctwa podziału na „dobrowolność” i „przymus”), sądząc że cała sprawa rozejdzie się szybko po kościach. Nie rozeszła się, co więcej — nabrała nieoczekiwanej ostrości. Z artykułu Julija Daniela we wczorajszym *Le Monde* widzę, że w aluzyjnie dotąd traktowanym przedmiocie emigracji zostały teraz postawione kropki nad i; zrobił to Igor Szafarewicz w wywiadzie dla *Russkoj Mysli*. Byłoby głęboko zasmucające, gdyby Sołżenicyn okazał się bezpośrednio zamieszany w tę jałową kłótnię w dysydenckiej rodzinie.

„Krajowiec” Szafarewicz wyrokuje że emigrując „dobrowolnie”, pisarze rosyjscy dali dowód nie wytrzymywania skierowanej na nich presji; nie zdołali presji wytrzymać, gdyż brak im dostatecznych „bogactw duchowych”, niezbędnych dla stawiania czoła w podobnej próbie; bez takich zaś „bogactw duchowych” nie można wnieść żadnych cennych wartości do własnej kultury narodowej. „Krajowiec” — na szczęście! — Daniel zbija punkt po punkcie te głupstwa w oparciu o przykłady wybitnych emigrantów z przeszłości i z naszej epoki. Z szczególną, w pełni uzasadnioną, irytacją atakuje pomówienie emigrantów o ucieczkę od krajowych „niewygód” (jakby chodziło, pisze, o zamianę mieszkania bez wygódki na mieszkanie z wygodką). Dla mnie osobiście to jest w swojej toporności najbardziej zaskakujące u człowieka pokroju Szafarewicza, jednego z ideologów *zertwieńnoji elity*: niedowład wyobraźni tak wielki, że emigracja istnieje w niej jako synonim „wygody”. Bo reszta, mimo szkodliwej straty czasu i jeszcze szkodliwszego zamętu, jakoś w końcu przyschnie. Przeważa trzeźwy pogląd Daniela, że nie ma istotnej różnicy między pisarzem którego państwo totalitarne wprost wpakowało do samolotu i pisarzem któremu zamknęło wszystkie drogi z wyjątkiem najcięższej na obczyźnie.

2 lutego

Nowe badania przesunęły datę urodzenia Caravaggia z roku 1573 na 1571. Drobiazg bez znaczenia? Nie, jeśli przyjmujemy że chłonność pięcioletniego dziecka jest wystarczająco duża, by odcisnąć ślad na całe życie. 1576, rok dżumy w Lombardii. Ile z niej przeniknęło do dziecięcego oka przyszłego malarza? Wolno się nad tym zastanawiać, oglądając obrzękłe zwłoki kobiety

w *Morte della Vergine*, płótnie które wywołało skandal swoim „brutalnym i niemal makabrycznym realizmem”; albo martwe, ziemiste ciało w *Złożeniu do grobu*; albo neapolitańskie *Biczowanie* (widziałem je wczoraj). Nigdy nie przestanę się zachwycać drugim, rzymskim, *Dawidem z głową Goliata* (pierwszy, wiedeński, jest bardziej konwencjonalny). Na czarnym tle wstrząsające zestawienie gorzkiej twarzy młodego chłopca z żywą jeszcze głową deliranta o szeroko otwartych ustach. Caravaggio sportretował w niej siebie tuż przed śmiercią. Ten impetyk, furia, awanturizm, tułacz ścigany za zabójstwo człowieka o błahostkę, miał nadzieję wrócić nareszcie do Rzymu, gdy w Porto Ercole aresztowano go omyłkowo podczas postoju w morskiej podróży. Omyłka się wyjaśniła, lecz statek odbił od brzegu. Caravaggio umarł na plaży, w lipcowym żarze, „rażony nagłą i gwałtowną gorączką”. W czarnym piasku *Argentario* ucięta głowa z autoportretu.

5 lutego

Diabeł czyli „ten, który upraszcza”. Piovene utrafił w sedno diabelskiej pokusy: upraszczania wszystkiego, co proste nie jest i nie będzie. Dałoby się wymienić sporo aktywów w bilansie omamniającej działalności diabła-simplifikatora. Cudowny kiedyś w swej prostocie Postęp, któremu dziś towarzyszy cień Apokalipsy. Arcyprosty w przeszłości Socjalizm, który wielu poparzonych pcha obecnie w diabelskie objęcia równie uproszczonego Antysocjalizmu. Objuczona nad stan prostymi zadaniami i celami Demokracja, która w momentach chaosu i rozprzeżenia każe nawet mądrym wzdychać po kryjomu do Silnej Ręki. Szatańskie jest zachwianie zmysłu miary. Kto, powiedzmy, wierzy w zalety Demokracji powinien na jej cześć wznosić *tylko* dwa wiwaty. Jak Forster w *Two Cheers for Democracy*. Albowiem jest ona i będzie tylko *less hateful than other contemporary forms of government*, „mniej odrażająca niż inne współczesne formy rządów”.

7 lutego

Jerzy Stempowski zastępował sobie epistolografią druk, którego Bogiem a prawdą nie lubił. Był z usposobienia konwersatorem-monologistą, wystarczało mu małe audytorium, tym lepiej im bardziej zasłuchane i nie zanedbano skłonne do przerywania. (Kiedy mu się w żywej rozmowie przerywało, oczekiwał z grzecznym uśmiechem, po czym spokojnie ciągnął swój monolog

dalej). Według własnego wyznania dezorientowała go również w druku anonimowość czytelników, wołał mieć przed oczami konkretnego adresata. W ostatnim okresie życia — przed chorobą i w pauzach między jej atakami — epistolarne „czernienie papieru” stało się nałogiem: „Z wiekiem piszę coraz dłużej, listy zmieniają się w dysertacje i wymagają czasu”. W samotności formułowanie myśli i ich stylistyczne szlifowanie doszło do takiej perfekcji, że zasiadając do maszyny wystukiwał je przypuszczalnie bez wahań i poprawek. Często, w sprawach wyjątkowo go absorbujących czy przejmujących, były to odlane w mózgu sztance gotowe do powielenia. Zdarzało się, że powielał je w listach do kilku korespondentów równocześnie. Wydawał prywatny periodyk listowny, aneks do eseistyki drukowanej w *Kulturze*. Gdyby Giedroyc miał się w przyszłości zdecydować na tom jego korespondencji, musiałby to chyba być wybór nawet nie listów lecz fragmentów listów. Taką też, w pewnej przynajmniej mierze, wskazówkę daje pierwsza próbka edytorska: *Listy z Ziemi Berneńskiej* do Krystyny Marek.

Odczytując dziś listy Stempowskiego do mnie, zatrzymałem się nad jednym (bardzo długim) z kwietnia 1960 roku.

„Od paru lat zaczęto z różnych stron podważać ustalone od czasów romantycznych prawidła i kryteria. Od początku ubiegłego stulecia ulegano złudzeniu, że najcenniejszą rzeczą w utworze literackim jest autentyczność przeżyć, szczerość wzruszeń i doznań. Owidiusz został potępiony za to, że pisząc tyle o miłości nie wyglądał wcale na zakochanego. Idąc po tej linii, literaci doszli do ostatnich granic złudzenia, mianowicie do literatury omphaloskopicznej, czerpiąc z odkrytego na nowo przez Freuda świata snów i majaceń. Odkrycie to przeżywałem w dwudziestym roku życia z wielkim przejęciem. Rzecz była nowa i nieznana. Od tego czasu minęło wiele lat. Każdy kto zajmował się psychoanalizą wie, że cały freudowski Acheron psychiczny można za kilka godzin obejść dokoła. Jest to zakątek pośepny i wulkaniczny, ale także jałowy i już wydeptany mocno przez turystów. Jedni odwrócili się po prostu od tych wzorów, wracając do wzorów znacznie starszych, przednaturalistycznych nawet, jak Tomasi di Lampedusa w *Gattopardo* i Pasternak w *Doktorze Żiwago*... Atak frontalny na pozycję omphaloskopistów przypuścił Robbe-Grillet, potępiając używanie metafory i radząc opisywanie przedmiotów. Jego rozprawa teoretyczna zawierała wiele dobrych uwag, ale powieści były znacznie poniżej tego, czego by można się było po zajęciu takiej pozycji spodziewać. Przedmioty jego i jego towarzyszy nie żyją, są martwymi fragmentami, pływającymi w jakimś pośepnym sosie, nie mówiąc już o tym, że brak im wszystkim rzetelnego talentu. W tym stanie wielkiej debaty literackiej Pań-

skie dwa opowiadania przyniosły pewien element nowy. Okazało się mianowicie, że istnieje też własne majaczenie przedmiotów i ich sny, toczone się w innych jednostkach czasu niż te, jakie pozwalają obliczyć zegary i kalendarze. Życie wewnętrzne posiadają różne kategorie przedmiotów. Kiedyś próbowałem odcyfrować sny i majaczenia ziemi i drzew. Pan odcyfrował... sny i majaczenia południowych wież i murów...".

Opisywanie przedmiotów, odkrycie że posiadają własne życie wewnętrzne, własne majaczenia i sny nie do uchwycenia w zwykłych jednostkach czasu, prowadzi jednak do swoistej metafory, która jest zastyganiem w znak, po części podlegający odcyfrowaniu po części zagadkowy dla samego autora. Był to przypadek *Skrzydła Ołtarza*; i później, raz jeszcze, opowiadania *Most* (co dostrzegł Chmielowiec). Natomiast rozplynęło się, nie zastygło w znak, trzykrotnie szkicowane opowiadanie „weneckie”. Myślę bez żalu o spalonych brulionach. Wenecja jest do tego stopnia zarośnięta pleśnią literatury, że żadne nowe słowo nie przebije się do jej śniących i majających poza czasem murów.

10 lutego

Blisko rok temu odnotowałem w dzienniku ujawniony przez komunistów włoskich list Dubczeka do wdowy po Smrkowskim; i komentarz Jiri Pelikana, który uznał ten list za akt autokandydatury ex-sekretarza partii do sukcesji po Husaku („Rosjanie muszą jakoś wybrnąć z impasu pointerwencyjnego w Czechosłowacji, zwłaszcza że zeszli ze sceny politycznej trzej główni promotorzy interwencji, Szelest, Ulbricht i Gomułka”). Kulisy hipotezy Pelikana stają się nieco jaśniejsze dzięki wydaniu książeczki *Nove lettere da Praga*.

Dziewięć listów z Pragi, otrzymanych od anonimowego i dość wysoko postawionego animatora „nowego kursu” w roku 1968, ogłosił wicesekretarz włoskiej partii socjalistycznej Bettino Craxi. Trzeci jest nekrologiem Smrkowskiego. W latach 1972-73 Smrkovsky był przedmiotem dyskretnej, jeśli nie potajemnej atencji sowieckiej. Złożono mu kilka wizyt, skarżono się na husakowski *slepoj tupik*, zachęcano go do przedsięwzięcia energicznych kroków. Wstępnym miał być list do Breżniewa. Smrkovsky wahał się, jego przyjaciele weszli w imprezie prowokację policyjną. Ale że w ostatnim stadium raka miał niewiele do stracenia, chwycił za pióro. Po czym zaniósł osobiście oryginał listu do ambasady sowieckiej w Pradze, gdzie go zapewniono że zostanie doręczony adresatowi przez specjalnego kuriera. Na wszelki wy-

padek posłał kopię Berlinguerowi, z prośbą o przekazanie. Druga kopia, dla pokrzyżowania z góry ewentualnej prowokacji policyjnej, poszła do Husaka. Berlinguer potwierdził odbiór i doniósł o natychmiastowym przekazaniu. Husak w ogóle nie potwierdził odbioru. Co do kuriera, to był rzeczywiście, chociaż inny trochę od spodziewanego: mianowicie kurier praskiego MSZ, który zwrócił nadawcy oryginał listu z lakoniczną adnotacją urzędnika „odsyłamy obywatelowi pismo z dnia... dostarczone nam dnia... przez sowieckie przedstawicielstwo dyplomatyczne”. Trochę inne też były odtąd kolejne wizyty: miejsce potajemnych rozmówców sowieckich zajęli oficerowie tajnej policji czeskiej. Co zresztą nie przeszkadzało Smrkovsky'emu uspokajać przyjaciół, że według jego poufnych informacji list dotarł do rąk Breżniewa, wywołał „bardzo pozytywną reakcję” i zapowiedź rychłych przemian w Czechosłowacji. Na tym prawdopodobnie Pelikan oparł swoją ocenę doniosłości listu Dubczeka do wdowy po Smrkowskim...

Muszę tu znowu sięgnąć do mojego dziennika, do belgradzkiej rozmowy z Džilase w roku 1969: „Zdaniem Džilasa wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby wojska Paktu Warszawskiego musiały się liczyć z tym, że nie obejdzie się bez walki. A tak? Zostały w praktyce zaproszone do przejechania się czołgami po Czechosłowacji, do zdławienia biernego oporu niemal bez strzału. Tylko Kriegel rozumiał o co naprawdę chodzi. Może jeszcze Smrkovsky. Dubczek miał niestety do zaofiarowania niewiele więcej poza swoją dobrą wolą i naiwnością”. Może jeszcze Smrkovsky... Nie bez podstaw widocznie Džilas zachował wobec niego półrezerwę. O ile wiem, po powrocie rozkutyh przywódców „nowego kursu” z Moskwy do Pragi jedyny Kriegel zdobył się na oczywistą konkluzję: „Będzie się mówić w kołach partyjnych, że pertraktowaliśmy na Kremlu z towarzyszami-dogmatykami; nonsense, wysłuchaliśmy dyktatu towarzyszy-gangsterów”. Nasuwa się pytanie po co gangsterom potrzebna była maleńka, dodatkowa zagrywka gangsterska ze stojącym nad grobem Smrkowskim? Po pierwsze, żeby zasiać konfuzję wśród niedobitków „praskiej wiosny”; po wtóre, żeby tanim kosztem pogrozić lekko Husakowi i umocnić w nim postawę „bezwartunkowej dyspozycyjności”.

Przed tygodniem Pelikan, wydający w Rzymie miesięcznik *Listy*, dostał pocztą przesyłkę książkową. Po naddarciu opakowania zaczął się z niej wydobywać czarny, gęsty dym. Błyskawicznie odrzucona pod okno, wybuchła nie raniąc adresata. (Co, dodam w nawiasie, jest niezłą ilustracją emigracji jako synonimu „wygody”).

W szóstym liście do socjalisty włoskiego anonimowy kores-

pondent donosi, że perłą samizdatu praskiego jest wiersz Jaroslava Seiferta:

Nie dajcie się przekonać
że skończyła się dżuma.
Widziałem dużo trumien
wynoszonych bramą
która nie jest jedyną..
Dżuma wciąż szaleje,
ale lekarze
nazywają ją inaczej
bojąc się paniki...

11 lutego

Kogo dzisiaj porwali? Ile milionów/miliardów okupu żądają? Włoskie powitania dnia przy śniadaniu. Porywania ludzi przepłatane są kradzieżą obrazów. Z Palazzo Ducale w Urbino wykradzono nocą *Biczowanie* i *Madonnę z Senigallii* Piero della Francesca, oraz *Niemą* Rafaela. Najmniejsza nieostrożność i *Biczowanie*, o dwóch poziomych rysach ledwo zabliznionych przez restauratorów ćwierć wieku temu, przetrwa tylko w reprodukcjach i w błędnych opisach.

Biczowanie onieśmiela opisujących, nawet elokwencja Malraux cofa się tu w zakłopotaniu. Jest cudem w który można (można było?) wpatrywać się godzinami, podziwiając i daremnie dociekając gdzie tkwi źródło jego magii. Co warte są słowa „geometria”, „harmonia”, wieczysta cisza”? Kogo zadowoli „kryształiczny rygor struktur architektonicznych i figur”? Jaką ma przydatność historyczne ustalenie, że osoby na pierwszym planie to brat przyrodni Księcia Urbino, Oddantonio da Montefeltro, i jego dwaj doradcy którym zawdzięczał śmierć z rąk spiskowców? Herbert pisze słusznie: „Jakichkolwiek szukalibyśmy do niego kluczy, *Biczowanie* pozostanie na zawsze jednym z najbardziej nie poddających się interpretacji obrazów świata. Oglądamy je przez cienką szybę lodu, przykuci, zafascynowani i bezradni jak we śnie”.

Właściwością snów jest ich opór przeciw nazwaniu, są wspomnieniami bez imienia. Obraz Piera wspominam jak tchnienie dwudzielnego świata: męczeństwa i obojętności.

14 lutego

W przemówieniu Balińskiego wzmianka o mojej słabości do Henry James'a. Stare, londyńskie dzieje. James, raczej nowelista

niż powieściopisarz, był dla mnie wtedy rzeczywiście rewelacją. Z Balińskim dzieliłem kult *The Turn of the Screw* i *The Aspern Papers*. Po latach bliższy prawdy wydaje mi się inny ówczesny „jamesista” Andrzej Ciołkosz, który dawał pierwszeństwo noweli *The Beast in the Jungle*.

James'a mało się teraz czyta i rzadko wznawia, również przysięgli niegdyś wielbiciiele widzą lepiej jego ograniczenia. Finezje słynnych „labiryntów psychologicznych”, piętrowe meandry „aluzyjności”, pajęczynowe konstrukcje zdań, składają się na prozę zdolną udźwignąć tylko skromny odłamek tak przez niego zawzięcie tropionej i mozolnie analizowanej „świadomości człowieka”. Był w gruncie rzeczy snobem, bałwochwałcą „stylu” i „kłasy”, bierze prawie ochota powiedzieć (z umyślną przesadą) że psychologię uważał za ezoteryczny wykwit dobrych manier i ogłady towarzyskiej. Do Flauberta miał pretensję o powierzenie Emmie Bovary i Fryderykowi Moreau ról, do których jako „zbyt ubodzy i mali” nie dorastali... W *The Beast in the Jungle* wywikłał się z tych ograniczeń, opowiadanie ociera się o czystość mitu. Mitu wiecznego, egotycznego oczekiwania od życia na coś, co dawno już nastąpiło a potem wypaliło się przeoczone i zlekceważone.

18 lutego

Nie pamiętam już dokładnie kiedy w prasie angielskiej objawił się nowy „sowieolog” o węgierskim nazwisku Tibor Szamuely, musiało to być około roku 1965. Pamiętam natomiast czyjaś późniejszą znacznie uwagę, że w Anglii „osieroconej przez Deutschera” czytelników podbił erudycją i znajomością przedmiotu „jego następcą odwrotnego znaku”. Kariera Tibora Szamuely była meteoryczna: umarł w roku 1972, w wieku lat czterdziestu siedmiu. Pośmiertnie ukazuje się teraz jego wybitne tomisko *The Russian Tradition*, w opracowaniu i z przedmową Roberta Conquesta.

W stosunku do biografii Deutschera krok naprzód, jeśli chodzi o tak zwane „przygotowanie życiowe”. Tibor urodził się w Moskwie, w rodzinie komunistów węgierskich. Jego wuj był jednym z protagonistów poronionej rewolucji Beli Kuna w roku 1919. Jego ojciec pracował w Komisariacie Handlu Zagranicznego, i z tego tytułu spędzał z rodziną długie okresy za granicą. Wezwano go do Centrali w roku 1934, zgnojono bez śladu podczas Wielkiej Czystki. Tibor skończył gimnazjum i odbył służbę wojskową w Czerwonej Armii, po czym doktoryzował się na

Uniwersytecie Moskiewskim. Aresztowano go w roku 1951, odsiedział dwa lata w łagrach workuckich. Po zwolnieniu przeniósł się do Budapesztu, dochrapał się tam stanowiska wice-rektora uniwersytetu. W roku 1964 udało mu się wraz z żoną i dziećmi wyjechać do Anglii, gdzie szybko dostał katedrę w Reading.

Tradycja rosyjska jest studium ściśle historycznym, ale z gatunku mentorskich, z morałem do którego prowadzi każda stronica. Co z „tradycji rosyjskiej” trwa, pozostało nadal żywe, w „pierwszym socjalistycznym kraju świata”? Do jakiego stopnia korzenie „ojczyzny międzynarodowego proletariatu” tkwią w historii Rosji, karmią się sokami nie wysuszonymi przez rewolucję? I jakież to soki? W rozdziale wstępnym *Śpiąca przeszłość* Szamuely ustawia temat piórem dwóch francuskich podróżników. De Custine w roku 1839: „Gdyby kiedykolwiek wasze dzieci miały się okazać niezadowolone z życia we Francji, skorzystajcie z mojej recepty; niech za waszą namową jadą do Rosji. Pożyteczna to dla cudzoziemca wyprawa; kto się dobrze przyjrzy owemu krajowi, rad będzie żyć gdzie indziej”. W sto lat później André Gide: „Jak to często bywa gdy doceniamy znaczenie pewnych zalet dopiero po ich utracie, nie ma lepszego niż pobyt w ZSSR sposobu na uprzytomnienie nam beczennej wolności myśli którą cieszymy się jeszcze we Francji”. Mogliby być (powiada Szamuely) towarzyszami tej samej podróży, a nie dwoma podróżnikami przedzielonymi stuleciem i rewolucją. I dodaje, przed przystąpieniem do właściwego wykładu historycznego: „Ze wszystkich ciężarów jakie musiała dźwigać Rosja, najbardziej ugniatającym i niemiłosiernym był ciężar jej przeszłości”.

Pierwsza część książki nazywa się *Rosyjska tradycja państwa*. Ukształtowało ją jarzmo tatarskie, którego „dobroczynne skutki” podkreślało wielu historyków rosyjskich. Rosja została podbita dwukrotnie — najpierw przez wojska mongolskie, potem przez mongolską ideę państwową. Przez ideę autokratyczną, która (według Wernadskiego) drogą absolutnego podporządkowania jednostki państwu wiodła do swoistego „socjalizmu państwowego”, ze wszystkimi klasami społeczeństwa wtłoczonymi w ramy organizacji państwowej. Dla Bierdiajewa Ruś moskiewska była „królestwem tatarskim powleczonym chrystianizacją”. Kiedy Iwan III ogłosił koniec panowania mongolskiego, nowa struktura „państwa nad społeczeństwem” (albo po prostu społeczeństwa upaństwowionego) była gotowa. Wzmocnił ją i przekazał przyszłym wiekom Iwan Groźny, którego rządy podsumował Kluczewskij w genialnym zdaniu: „Państwo spuchło, naród schudł”. Szamuely cytuje je jako *the basic pattern of Russian history*. Bettiza, w eseju *Od Iwana Groźnego do Stalina*, cytuje je również jako *un giudizio tacitano*.

Zabawa w cytaty jest pouczająca. Szamuely przytacza fragment raportu dyplomatycznego Sir George Macartney'a, ambasadora angielskiego w Rosji w latach sześćdziesiątych osiemnastego wieku, czyli po intronizacji Katarzyny: „Rosja zawdzięcza despotyzmowi swoją wielkość i swoje dominia, tak że gdyby kiedykolwiek monarchia miała stać się bardziej ograniczona, utraci swoją potęgę i swoją siłę w proporcji do postępu na polu cnót i ulepszeń obywatelskich”. Marksistowski werdykt Plechanowa o panowaniu Piotra I: „W swojej europeizacji Rosji Piotr pchnął do krańcowej, logicznej konkluzji całkowitą bezradność społeczeństwa wobec państwa, typową dla despotyzmu orientального”. A przecież ten werdykt nie tylko jest kwestionowany przez historyków sowieckich, lecz byłby z oburzeniem odrzucony przez większość dziewiętnastowiecznej inteligencji rosyjskiej, od dekabrystów poczynając. Gdyż obowiązywało przekonanie, że wszelkie zmiany podstawowe mogą przyjść wyłącznie z góry: kanonizując Piotra, inteligencja rosyjska kanonizowała państwo („totalitarne” według Wernadskiego) którego był najdoskonalszym wcieleniem.

Tu zaczyna się druga część książki, *Rosyjska tradycja rewolucyjna*. W sposób na ogół przekonywujący, a miejscami wręcz rewelacyjny, Szamuely pokazuje jak nie rewolucji czysto politycznej, w praktyce obojętnej wobec konieczności powolnego dojrzewania społecznego, zabarwiła stopniowo cały rosyjski ruch rewolucyjny. Ton definitywny nadał mu Tkaczew, blanquistowski teoretyk zamachu stanu, prawdziwy mistrz i prekursor Lenina. W pewnej chwili nawet Marks i Engels, byle tylko doczekać się wybuchu rewolucji choćby w Rosji, ochłodli w stosunku do autentycznych marksistów rosyjskich i łaskawszym okiem spojrzeli na ich przeciwników. „Wyborna ironia: współtwórca marksizmu broniący blanquizmu przed jego marksistowskimi krytykami! Engels zaakceptował główne rysy poglądów jakobińskich i *narodnowolskich*: gloryfikację młodości, kult żądzy władzy, prymat polityki nad ekonomią, pożytki zacofania. Posunął się jeszcze dalej: nieważne kto robi rewolucję (twierdził) i w jakim celu. Rosja jest ciężarna rewolucją i jeśli teoria stoi na przeszkodzie położowi, należy ją cisnąć w kąt. W prywatnej rozmowie podwyższył dozę: czego Rosja potrzebuje, oznajmił w roku 1885, to nie programu lecz rewolucji”. (Zabawne *curiosum* na marginesie. Marks pokpiwał sobie z „partii propagandowej”, która działała z emigracji w przeciwieństwie do terrorystów narażających życie w Rosji: „By uprawiać propagandę w Rosji, pojechali do Genewy! Jakież *quid pro quo!*”. Naturalnie sam był emigrantem równiejszym od innych...).

Dwie tradycje rosyjskie, państwowa i rewolucyjna, połączyły

się w jedną w osobie Lenina. Na łożu śmierci, zaatakowany przez kogoś z pozycji ortodoksyjnego marksizmu, nie znalazł w odpowiedzi nic lepszego jak maksymę Napoleona: *On s'engage et puis... on voit*.

Na długo przed rewolucją Róża Luksemburg, z myślą o Leninie, naszkicowała portrecik rewolucjonisty rosyjskiego: „Wywijając pirueta na głowie, ogłasza się wszechpotężnym dyrektorem historii, tym razem z tytułem Jego Eksceleńcji Centralnego Komitetu socjal-demokratycznej partii Rosji”.

19 lutego

Załóżmy że Szamuely to i owo bądź przerysował, bądź przedstawił nie zadbawszy o użycie światłocienia. Pozostaje bezsporne znaczenie książki. Czytelnicy Kucharzewskiego powiedzą o niej zapewne: „Nie wnosi wiele nowego, mogłaby mieć podtytuł *O białego caratu do czerwonego*”. Skoro jednak Kucharzewskiemu nie powiodło się niestety wyjść poza nasze polskie podwórko, dobry i Szamuely. Istotna jest orientacja jego *Rosyjskiej tradycji*: i tutaj pasowałby znakomicie tytuł szkicu Opalińskiego o Kucharzewskim w *Kulturze — O duchu bezprawia*.

Gdybyż to były jedynie roztrząsania akademickie! Nie są. Pora może (i niezła okazja), żebym zarejestrował w dzienniku moje (delikatnie mówiąc) mieszane uczucia wyniesione z lektury *Listu do przywódców sowieckich* Sołżenicyna. W jego polemice z Sacharowem jestem po stronie Sacharowa. Nie tylko dlatego, że Sołżenicyn przecenia wagę „ideologii marksistowskiej”, niemal całkowicie dostosowanej w ZSSR do potrzeb imperium i przystrojonej na modłę „tradycji rosyjskiej” (co nie było zresztą takie trudne). Dlatego również, że „pragmatyczny” pomysł zachowania w stanie plus minus nietkniętym obecnej struktury państwowej i ustrojowej, przy przeweksławianiu z wąskiego toru „ideologii marksistowskiej” na stary szeroki tor prawosławia, wydaje mi się metodą leczenia rozdętej narośli złośliwej za pomocą łagodnej perswazji.

No ale Sołżenicyn jest wybitnym pisarzem, porywa i często zniewala. Jeśli po przeczytaniu *Listu* miałem mimo wszystko jakieś wahania i wołałem milczeć (wyjawszy udział w dość ogólnikowym dialogu z profesorem Collettim na łamach *L'Espresso*), to rozwiewa je teraz mniej krasomówczy rzecznik Sołżenicyna, cybernetyk moskiewski Agurskij, w świeżym numerze paryskiego *Wiestnika*. W jego ujęciu rdzeniem programu Sołżenicyna jest wymiana totalitaryzmu na „zwykłą dyktaturę”. Skosztowanie

„słodkich owoców demokracji” i wprowadzenie „nieograniczonych swobód politycznych” oznaczałoby w Rosji chaos i morze krwi. Zwłaszcza w wypadku narodów *na okrainach strany*, których niewątpliwie konstytucyjne prawo do oderwania się od wspólnego pnia (*prawo wychoda*) musiałyby być w zmuszonym procesie swojej realizacji pod stałą kontrolą „silnej władzy”. Zważywszy że imperia kolonialne nie zdradzają przeważnie skłonności do samouszczuplenia (czy choćby przejścia na status autentycznego *commonwealth'u*) w warunkach dyktatury, mało zachęcająco brzmi trafna obserwacja Agurskiego: „W jednej bardzo ważnej sprawie Roy Miedwiediew jest znacznie bliższy Sołżenicynowi niż Sacharow, jako że uznaje celowość zachowania w ZSSR nie parlamentarnego systemu politycznego, co wiąże się z wydatnym ograniczeniem swobód politycznych”. (Przypomniała mi się nowela Dostojewskiego o trzech generałach *Skwinierny aniekdot*, z refrenem: „Wytrzymamy reformy? Nie wytrzymamy!!”).

Zgoda, stawianie znaku równości między totalitaryzmem i dyktaturą jest błędem, jakkolwiek Agurskij zapęda się za daleko nazywając je „i błędem i bluźnierstwem”. Na miano bluźnierstwa zasługuje raczej bagatelizacja niebezpieczeństw zakorzenionej głęboko „tradycji rosyjskiej”, opisaniej przez Kucharzewskiego i Tibora Szamuely. Istnieje też inna tradycja rosyjska — prawda że słaba, wątła, rachityczna, ledwie uczeplona płytkiego gruntu; lecz bez pracy nad nią szansa rzeczywistych zmian będzie minimalna.

21 lutego

W sierpniu ubiegłego roku, po wybuchu bomby w wagonie pociągu Rzym-Monachium z bilansem dwunastu zabitych, drwiłem w dzienniku z lansowanej w prasie włoskiej teoryjki, która falę terroryzmu zapisywała na konto „strategii napięcia” niezbędnej dla sprowokowania faszystowskiego zamachu stanu. Dla mnie istotne były „narodziny nowego typu wilka stepowego we Włoszech”, ani czarnego ani czerwonego: „Nienawidzi wszystkich i wszystkiego trawiony gorączką na pograniczu obłędu, zabijanie traktuje jak igraszkę jeśli nie jak emocjonujący sport, pożera łapczywie literaturę o masowych mordach i eksterminacjach, pluje na religię, gardzi „frazesami i hipokryzją demokracji”, przemierza sobie tylko znanymi tropami fanatyzmu pustynię moralną”. Przełożyłem ten kawałek dziennika moim włoskim znajomym. Reakcja była więcej niż sceptyczna.

Od kilku dni zasiada w Mediolanie na ławie oskarżonych Gianfranco Bertoli. Dwa lata temu rzucił przed Kwesturą bombę, przeznaczoną dla szefa policji i ministra spraw wewnętrznych. Nie dosięgnęła adresatów, natomiast zabiła w tłumie cztery osoby i raniła czterdzieści sześć. Na pytania sądu odpowiada jak w febrze potokami wymowy, ale zawsze logicznie i do rzeczy. Podaje się za anarchistę, kiedyś kumał się przelotnie z komunistami i faszystami. Samotny, z upodobaniem do włóczęgostwa, objechał pół świata. Bombę ukradł w izraelskim kibucu. Żałuje że nie zakatrupił głównych adresatów, żałuje że zabił i ranił tak mało osób w tłumie. Żałuje że nie ma we Włoszech kary śmierci, ta farsa zafajdanej sprawiedliwości demokratycznej szybciej by się skończyła. Wielka szkoda, proszę sądu, że nie mogę rzucić bomby na wasze sędziowskie podium...

Dopiero wczoraj, po całym dniu zeznań osób ranionych i rodzin osób zabitych, wychodząc z auli nadział się na ostre okrzyki sprawozdawców sądowych. Nie obeszły go dzisiejsze opowiadania?! Nie dotarły do niego łzy i lamenty?! Osaczony, jakby wytracony ze snu kataleptycznego, mamrotał: „Przykro mi... nie chciałem... łatwo coś obmyślić nie biorąc w rachubę konsekwencji...”. W jednej z gazet czytam, że cofnął się ku eskortie z opuszczoną głową; inne nie zauważyły tego gestu.

25 lutego

Na pierwszy w życiu kongres międzynarodowy pojechałem w roku 1950. Był to kongres sekcji kulturalnej Ruchu Europejskiego w Lozannie. Zorganizował go Józef Retinger, sekretarz generalny Ruchu (któremu patronował Churchill). Z biedy londyńskiej przeskoczyłem za dotknięciem retingerowskiej różdżki czarodziejskiej do apartamentu z tarasem w największym lozańskim hotelu. Moim sąsiadem był profesor Folkiński. Organizatorowi podsunęła go według „klucza partyjnego” endecja, jak mnie PPS. Trzecim delegatem polskim był Jerzy Stempowski, zaproszony osobiście przez „Jusufa” (tak Stempowski nazywał Retingera).

Zrozumiałem niebawem, że kongresy tego rodzaju spełniają rolę biur bezpłatnych podróży dla intelektualistów, którzy w zamian za bilet samolotowy, hotel, wikt, opierunek i wycieczko-recepcyjne nadprogramy zjawiają się codziennie na sali obrad, żeby doczekać wreszcie chwili zaznajomienia zebranych w krótszych lub dłuższych przemówieniach z instrukcjami, jakie przed

wyjazdem otrzymali od swoich ojczystych ministerstw spraw zagranicznych (co nie dotyczyło emigrantów). Ostatniego dnia kongresu lozańskiego na sali panowało wyjątkowe podniecenie — wieczorem miał się odbyć pożegnalny *torch-light dinner* w *Château Chillon*. Przewodniczący jednak zachował jeszcze na tyle przytomności umysłu, by nie dopuścić do dyskusji na temat okaleczonej przez podbój sowiecki kultury europejskiej i skierować ją w mniej kontrowersyjne łożysko dostawy ołówków dla pewnych plemion murzyńskich w Afryce. Kiedy zebrani powzięli bez większych przeszkód w tej słusznej sprawie odpowiednią uchwałę, rzucili się hurmem do szatni, a stamtąd (mówiąc po sowiecku) *rynuliś w stołowoju*, to znaczy popędzili do *Château Chillon*. Tam, przy blasku pochodni w pięknej sali rycerskiej, oglądałem jedną z najdzikszych orgii obżarstwa i opilstwa w życiu. Lecz były to jeszcze, o czym nie wolno zapominać, lata powojennych trudności aprowizacyjnych i racjonowania.

W trzy lata później byłem na kongresie PEN-Klubów w Dublinie. Poziom skromniejszy, zasada ta sama. W drodze powrotnej z Dublina do Monachium zatrzymałem się w Londynie, gdzie na jakimś prywatnym *drinku* poznałem Koestlera. Zapytałem go dlaczego nie przyjechał na dubliński kongres — miał przecież być głównym mówcą na obiedzie w Belfaście — i, rzecz prosta, nie ukrywałem przed nim co o tym kongresie myślę. Roześmiał się, powiedział że tak sobie to właśnie wyobrażał i dlatego nie pojechał, ale czy to takie ważne jeśli Cel Numer Jeden został w rezultacie osiągnięty? Jakiż to Cel? Niedopuszczenie do wyboru na przewodniczącego PEN-Klubów Tomasza Manna i preferowanie konkurencyjnej kandydatury Charlesa Morgana. Moja kongresowa edukacja wzbogaciła się o kolejne PEN-spędy w Amsterdamie, Wiedniu i Frankfurcie, bez istotnych poprawek.

Ten przypływ wspomnień skąd mi się wziął? Przeczytałem powieściową „tragikomedie” Koestlera *The Call-Girls*, czyli dziewczynki wydzwaniane przez telefon. Tak ochrzczono uczestników i uczestniczki niezliczonych — kulturalnych, literackich, naukowych — kongresów, seminariów i sympozjów międzynarodowych. „Tragikomedia” Koestlera jest dowcipna i zмайstrowana z zupełnie małą zręcznością, i chociaż rozgrywa się w ciągu tygodnia seminarium naukowego o „perspektywach przetrwania gatunku ludzkiego”, odnajduje się w niej rysy charakterystyczne wszelkich spędów intelektualnej międzynarodówki naszych czasów Postępu w Triumfalnym Marszu Naprzód. Celna jest dedykacja: „Cieniom panów Bouvarda i Pécucheta”. Byłoby jeszcze śmieszniej, gdyby „tragikomedie” Koestlera zamykały notatki Flauberta do zakończenia urwanego dzieła: „Tak oto wszystko

rozpadło im się w rękach. Życie nie ma już dla nich żadnego uroku. Dobra myśl żywna w sekrecie przez obu. Wzajemnie ją ukrywają. Od czasu do czasu uśmiechają się, gdy ich nachodzi, wreszcie obaj zwierają się z niej jednocześnie. *Kopiować jak niedyś... Zasiadają do biurka*".

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

PETER RAINA

STOSUNKI POLSKO-NIEMIECKIE 1937-1939

Prawdziwy Charakter Polityki Zagranicznej
Józefa Becka

ukazuje się w: OFICYNIE POETÓW I MALARZY,
146 BRIDGE ARCH, SUTTON WALK,
LONDON, S.E.1. 8XU. — W. BRYTANIA.

Praca ta jest oparta m.in. na dotąd nie opublikowanych raportach konsularnych z polskiego MSZ-tu. „Uważam ją za bardzo pożyteczny przyczynek do naszej historii” (Prof. W. Jędrzejewicz). Autor „znalazł tyle niezbitych dowodów na to, jak słuszną i właściwie jedyną była polityka Becka” (Ludwik Lubieński).

„Bodło cię dąb...”

Ukazanie się w grudniu 1962 roku w *Nowym Mirze* „Jednego dnia Iwana Denisowicza” nie tylko odkryło wielkiego pisarza, nie tylko — po raz pierwszy oficjalnie — uchyliło kurtynę przerażającej tajemnicy GUŁagu, ale ponadto ujawniło zupełnie nowe, nieznane i zupełnie nieoczekiwane zjawisko: wolnego pisarza w kraju niewolników. Od tego czasu zagadka Aleksandra Sołżenicyna nie przestaje zdumiewać. „Sołżenicynoznawstwo” staje się specjalnością.

Nowa książka pisarza „Bodło cię dąb...”, która ukazała się w marcu bież. roku, jest całkowicie poświęcona „zagadce” Sołżenicyna. Są to notatki pisarza, robione na przestrzeni siedmiu lat: główna część została napisana w maju 1967 roku, pierwsze uzupełnienie w listopadzie 1967 roku, drugie w lutym 1971, a trzecie w grudniu 1973 roku, wreszcie czwarte — w czerwcu 1974 już w Szwajcarii.

Istnieje wiele rosyjskich przysłów wyrażających odwieczną mądrość: „Niech słaby nie walczy z silnym”, „Głową muru nie przebijesz”. Sołżenicyn wybrał bardziej rzadkie przysłowie: „Bodło cię dąb...”. Podtytuł podkreśla ironię tytułu: „Szkice z życia literackiego”, czyli naturalnie — z życia antyliterackiego, ściślej: z życia prawdziwego pisarza w społeczeństwie, które prowadzi nieustanną walkę z literaturą. Rezultat tej walki — tysiące stron sołżenicynowskiej prozy — może świadczyć o tym, że „cięż” bynajmniej nie jest ciężkiem, a i „dąb” też nie bardzo jest dębem.

Książka zawiera cztery główne epizody: historię wydania „Jednego dnia Iwana Denisowicza”; historię listu do Zjazdu pisarzy, w którym Sołżenicyn domagał się zniesienia cenzury; historię Nagrody Nobla i nagonki na laureata w prasie sowieckiej;

historię walki, prowadzonej w sierpniu-wrześniu 1973 przez Sołżenicyna i Sacharowa przeciwko władzy sowieckiej, co doprowadziło do aresztowania i wygnania autora „Archipelagu GUŁag” ze Związku Sowieckiego. Ale jednocześnie jest to opowieść o jednym z najbardziej liberalnych periodyków sowieckich, *Nowym Mirze*, o jego redaktorze Aleksandrze Twardowskim i jego współpracownikach, o sekretarzach Związku Pisarzy i sekretarzach KC, o Andrzeju Sacharowie i najbliższym współpracowniku Sołżenicyna, Igorze Szafarewiczu, o dziennikarzach zachodnich, Willi Rostropowiczu i wiejskim domku pisarza, o celi w więzieniu Lefortowskim i domu sowieckiego pisarza... 480 stron książki (nie licząc 140 stron przypisów) gęsto nabitych wydarzeniami, ludźmi, ocenami, myślami.

Ale, ma się rozumieć, jest to przede wszystkim książka o Aleksandrze Isajewiczu Sołżenicynie. Jego spowiedź, jego ocena ludzi i wydarzeń, jego myśli i uczucia. Książka często drażniąca, pobudzająca do dyskusji, zdumiewająca subtelnością obserwacji i nie wiarygodnymi błędami. Wstrząsająca książka.

Jeśli spojrzeć na wydane już prace, jeśli przeczytać wykaz książek już napisanych (jest on zamieszczony w „Cielęciu”), to wydaje się nieprawdopodobne, by mógł tego dokonać jeden człowiek. Ale zapoznawszy się z projektami Sołżenicyna — gdyż wszystko co zrobił dotychczas, to tylko początek — z zamiarem napisania głównego dzieła: o rewolucji 1917 roku w dwudziestu tomach, nieprawdopodobne staje się zrozumiałym. Przed 70-ciu laty jeden z zachodnich socjal-demokratów zapytał ze zdumieniem znanego marksistę rosyjskiego, Akselroda: czy rzeczywiście wszystkie spory, rozłamy, frakcje rosyjskiej partii socjal-demokratycznej, to dzieło jednego człowieka, Uljanowa — Lenina? Na co Akselrod odpowiedział: „Cóż Pan chce? Ten człowiek myśli o rewolucji dwadzieścia cztery godziny na dobę”.

Aleksander Sołżenicyn myśli o swojej misji także dwadzieścia cztery godziny na dobę, nie zostawiając ani minuty wolnej dla innych spraw. „Trudno wyjaśnić — pisze o sobie — że w miesiącu, czy w roku, w święta... człowiek nie ma wolnej chwili...”.

Opętanie Sołżenicyna, jego fanatyzm — trudno znaleźć inne określenie — tłumaczy się jego głębokim przekonaniem: „Ja nie jestem ja — moje literackie powołanie nie jest moim powołaniem, a powołaniem tych milionów, które się nie dodrapały, nie doszeptały, nie dochrypiały do swego więziennego losu, do swoich spóźnionych łagiernych wyznań”. Tak pisał o sobie po „Jednym dniu Iwana Denisowicza”. W grudniu 1973 roku, po Nagrodzie Nobla, po walce z władzą sowiecką, która 20 lat temu byłaby bezsensowną mrzonką, pisze: „... Często prostuje moją drogę Najwyższa Ręka... to mnie i raduje i utwierdza w przekonaniu,

że nie wszystko sam projektuję i realizuję, że jestem tylko mieczem, dobrze wyostrzonym na nieczyste siły, przeznaczonym do ich rąbania i niszczenia”.

I ta niezachwiana, nieugięta, nie tknięta nawet najmniejszymi wątpliwościami wiara w siebie, w swoją misję, tworzy cuda: „Z daleka wydaje się: wyklęty przez państwo, zakolczykowany przez władze bezpieczeństwa, jakże się mogą nie załamać? Jak mogę to wytrzymać samotnie, a do tego zajmować się przepisywaniem — czasami udaje mi się dotrzeć do archiwów i bibliotek, zbierać informacje, sprawdzać cytaty i przepytwać starych ludzi i pisać i przepisywać i wystukiwać na maszynie i rachować i oprować — i wychodzi książka za książką w Samizdacie — jakimi siłami, jakim cudem?”. W tym okresie Sołżenicyn pisze powieść „Krag pierwszy” (pełny tekst obejmuje 96 rozdziałów, a opublikowany wariant — 87), powieść „Oddział chorych na Raka, trzy tomy „Archipelagu GUŁag”, scenariusz filmowy „Czołgi znają prawdę” o stłumieniu powstania więźniów w łagrach sowieckich, jeszcze nie opublikowaną książkę „Dekabryści bez grudnia”, poświęconą losowi żołnierzy sowieckich, którzy po zwycięskim marszu przez Europę powrócili do ojczyzny, pisze też opowiadania. Wreszcie kończy „Sierpień 1914”, pierwszy „węzeł” gigantycznej epopei o rewolucji 1917 roku. Właśnie tę pracę, książkę o rewolucji, którą nazywa „R-17”, uważa pisarz za główne dzieło swojego życia.

Sklonność — i zdolność — Sołżenicyna do skrucy przeżyła się już w „Archipelagu”. W nowej książce pisarz obnaża się jeszcze bardziej. Ze spokojnym przekonaniem że miał rację przyznaje się do ofiar, które składał na ołtarzu swej misji, swej twórczości. Po krótkiej „odwilży”, która przeminęła jak sen, rozpoczynają się w kraju przymrozki, następują aresztowania. Aresztowano Siniańskiego i Daniela, potem Bukowskiego, potem innych... Ale sławny autor „Jednego dnia Iwana Denisowicza” — milczy. Przyznaje się do tego i dzisiaj pisze: „Nie wystąpiłem w obronę Bukowskiego, aresztowanego tej wiosny, nie broniłem Grigorienki. Nikogo”. I wyjaśnia dlaczego: „Prowadziłem daleki rachunek terminów i działań”. Powtarza: „... Milczałem, składając wszystko w ofierze R-17”.

Specjalnie ciężką była dla niego decyzja niepublikowania napisanego już, składającego się z kilku słów protestu przeciwko okupowaniu Czechosłowacji, w którym parafrazując Herzena, napisał: „Wstyd być obywatelem sowieckim”. Napisawszy ten protest Sołżenicyn schował go: „W takiej chwili gotów jestem krzyczeć! Ale czy ten krzyk jest rzeczą zasadniczą? Krzyknąć teraz i na tym skończyć znaczyłoby: *takiej* okropności nie widziałem w swym życiu. A ja widziałem i znam rzeczy o wiele gorsze, z tego cały

'Archipelag'... Trzeba zachować gardło do głównego krzyku...'. Sołżenicyn przyznaje: „Przemilczałem. Z tą chwilą dźwigam na plecach dodatkowy ciężar. Przy Węgrzech byłem niczym, by krzyżeć. Przy Czechosłowacji — przemilczałem. Jest to tym haniebniejsze, że za Czechosłowację ponoszę również osobistą odpowiedzialność: wszyscy twierdzą, że zaczęło się u nich od Zjazdu pisarzy, który wynikał z mojego listu, przeczytanego przez Kohouta¹. I tylko jednym zmyję z siebie to piętno: jeśli kiedyś znowu zacznie się ode mnie u nas, w ojczyźnie”.

Opowiedziawszy o powodach odmowy złożenia protestu, Sołżenicyn zadaje pytanie, które wyłania się jakby zupełnie naturalnie: Czy wszystkie jego argumenty w obronie odmowy to „usprawiedliwianie tchórzostwa, czy argumenty racjonalne”. Sto stron dalej znajdujemy odpowiedź na to pytanie. Gdy KGB wymusiło na starej kobiecie, Elizawiecie Woroniańskiej, maszynistce, która przepisywała „Archipelag”, wskazanie miejsca w którym został zakopany maszynopis, gdy nieszczęsna Woroniańska powiesiła się, a w rękach władz znalazła się ta straszna książka, Sołżenicyn zestawia listę prawdopodobnych posunięć władz w celu niedopuszczenia do opublikowania „Archipelagu”. Na pierwszym miejscu zapisuje: „Wzięcie moich dzieci jako zakładników — naturalnie przez 'gangsterów'”. A w nawiasach dodaje do tego punktu: „Nie wiedzą, że i tu została podjęta nadludzka decyzja: nasze dzieci nie są droższe od pamięci zamęczonych milionów, tej książki w żadnym wypadku nie zatrzymamy”. Gdy tylko Sołżenicyn dowiedział się o zdobyciu przez władze tekstu „Archipelagu”, dał rozporządzenie, by go natychmiast drukować. Gotów jest poświęcić życie swoje i swoich dzieci.

Osip Mandelsztam szczylił się tym, że pisarzy w Związku Sowieckim zabijają: dowodzi to, że traktują nas serio. Władze sowieckie traktowały pisarzy serio i zabijały ich. Aleksander Sołżenicyn jest pierwszym z sowieckich pisarzy, który sam siebie potraktował serio; który wierzył do samego końca w moc słowa. A jego słowo osiągnęło nieprawdopodobną wprost siłę. I tu nagle odkrył, że w tym właśnie leży tajemnica walki i zwycięstwa. Gdy po liście do Zjazdu pisarzy wezwano go nagle do sekretariatu Związku Pisarzy i gdy zobaczył urzędników od literatury zmieszanych i przestraszonych: „W tym dniu, po raz pierwszy w życiu, odczułem to czego przedtem się tylko domyślałem: co to znaczy okazać siłę i jak dobrze oni rozumieją ten język! Tylko ten język! Jedynie ten język — i to odkąd przyszli na świat!”.

Pisarz przestaje być cieleciem, które głupio bodzie potężny

1. Kohout odczytał list Sołżenicyna do IV Zjazdu pisarzy sowieckich o cenzurze i wolności słowa.

dąb. Odwaga, przekonanie o własnej słuszności, dodają mu siły, która pozwala wstrząsnąć fundamentami najpotężniejszego w świecie państwa. Sołżenicyn zostaje aresztowany. Ale do jego mieszkania przychodzą ciągle nowi i nowi przyjaciele. Do domu aresztowanego wzywają też nocą korespondenta zagranicznego, który się zjawia: „Nie — zauważa pisarz — osłabił, osłabił bolszewicy. Gdzie jesteś, płomienny Feliksie Dzierżyński?”. I Sołżenicyn podsumowuje: „A jednak ta masa nieustraszonych, współczujących w mieszkaniu aresztowanego, to nowe czasy. Jak nie obliczać — przepadliście bolszewicy!”.

Pisarz zostaje wygnany, wyrzucony z ojczystego kraju, ale jego książki, jedna za drugą, ukazują się na Zachodzie. W pierwszym rzędzie „Archipelag GUŁag”, dla którego Sołżenicyn gotów był na największe ofiary. „Archipelag GUŁag”, który i autor nazywa książką „zabójczą dla ich ustroju”.

Wyjątkowość nowej książki Sołżenicyna polega na tym, że mówi ona o pojawieniu się w państwie totalitarnym wolnych ludzi, którzy zdecydowali się wypróbować siłę potwornego mechanizmu. Do tej pory, już od pół wieku, sowiecki Lewiatan bezlitośnie niszczył tych, którzy mu się nie sprzeciwiali i wszyscy uwierzyli w jego wszechmoc i niezniszczalność. I oto znaleźli się ludzie, którzy zdecydowali się zmierzyć z potworną siłą. W „Szkicach z życia literackiego” — jak nazywa swą nową książkę Sołżenicyn — jest czterech ludzi, którzy według niego „stworzyli, lub tworzą naszą obywatelską historię”. W pierwszym rzędzie to sam autor książki, dalej, redaktor *Nowego Mira* Aleksander Twardowski, akademik Andriej Sacharow i matematyk Igor Szafarewicz.

Sołżenicyn w swojej książce jest jakby punktem odniesienia. Pierwsza połowa książki, to pojedynek Sołżenicyna z Twardowskim. Początkowo Twardowski, redaktor najbardziej znanego i najbardziej liberalnego sowieckiego periodyku, opublikowawszy „Jeden dzień Iwana Denisowicza”, uważa siebie za protektora nieznanego jeszcze wczoraj, byłego Zeka i riasańskiego nauczyciela fizyki. Stopniowo, zresztą dosyć szybko, Sołżenicyn nie tylko wyzwala się spod opieki Twardowskiego, ale zaczyna zachowywać się — z punktu widzenia redaktora *Nowego Mira*, członka KC i ideowego komunisty — w sposób oburzający. Sołżenicyn rysuje niezmiernie ciekawą, skomplikowaną i tragiczną obraz człowieka rozdartego między miłością do prawdziwej literatury i oddaniem Partii. Twardowski, po przeczytaniu drugiej części „Oddziału chorych na raka”, oświadcza autorowi: „Nawet jeśli by druk zależał tylko i wyłącznie ode mnie, to bym tego nie drukował... Tam jest odrzucenie władzy sowieckiej. Nie chcecie jej niczego wybaczyć... Dla was nie ma nic świętego”. Ale ten

sam Twardowski z tęsknotą marzy: o gdyby uwolniono mnie od marksizmu-leninizmu. Ten sam Twardowski, gdy Sołżenicyn znajduje się u niego w mieszkaniu, nagle sobie przypomina: „Przegapiliśmy trzy minuty! Chodźmy słuchać BBC!”.

Gardząc urzędnikami kierującymi literaturą (o sekretarzach Związku Pisarzy Twardowski mówi: ja z nimi na jednym polu srać nie kucnę), redaktor *Nowego Mira* gotów jest na niezliczone upokorzenia, aby zachować pismo. Sołżenicyn rozumie, że w pewnym sensie on i Twardowski znajdują się w jednakowym położeniu: broniąc własnego dziecka i redaktor *Nowego Mira* i autor *Archipelagu* są gotowi do ofiar. Z tą różnicą, że ręce Twardowskiego związane są legitymacją partyjną i niemożnością wyzwolenia się od diabelskiego opętania: wiary w rewolucję i władzę sowiecką. I to go zabija. Dobrze wiedząc co to jest rak — choroba, która zabiła Twardowskiego, Sołżenicyn pisze: „Rak to jest przeznaczenie wszystkich, którzy poddają się palącemu, żółciowemu, obrażonemu, dławionemu nastrojowi. Taki jest punkt widzenia onkologów: komórki rakowe całe życie istnieją w każdym z nas, a zaczynają się rozwijać gdy tylko zachwieje się... powiedzmy duch”.

W drugiej części książki — pojedynek Sołżenicyna z Sacharowem. Portret Sacharowa jest mniej udany, niż portret Twardowskiego. Twardowski w swej konstrukcji psychicznej bliższy jest Sołżenicyna, niż Sacharow w którym nie ma cienia fanatyzmu i u którego w pierwszym rzędzie widzimy dobroć i współczucie ludziom. Sołżenicyn myśli o losach ojczyzny, o historii, Sacharow przede wszystkim myśli o żywym człowieku, który potrzebuje pomocy. Nie sposób sobie wyobrazić Sacharowa odmawiającego złożenia protestu przeciwko niesprawiedliwości z jakiegokolwiek odległego wyrachowania.

Sołżenicyn zarzuca Sacharowowi jakieś taktyczne błędy, to np. że przez pewien czas był pod wpływem marksisty Roya Miedwiediewa. Przede wszystkim — jednak najcięższym zarzutem Sołżenicyna jest to, że Sacharow dopuszczał myśl o wyjeździe z ZSSR. Ironia historii przekreśliła ten zarzut: Sacharow pozostał, a Sołżenicyna wygnano i stał się — choć niedobrowolnym — emigrantem.

Z trzech ludzi „którzy tworzą historię”, Sołżenicyn całkowicie uznaje tylko jednego — Igora Szafarewicza — swego przyjaciela i wiernego wyznawcę.

„Bodło ciełe dąb...” wielokrotnie pobudza do dyskusji, często rozdrażnia, zdarza się nawet, że wywołuje zdumienie porwością sądów, spowodowanych niedostateczną informacją. Wystarczy powiedzieć, że znany zwolennik *détente*, adwokat największych amerykańskich kapitalistów, marzących o handlowaniu

z ZSSR, Samuel Pissar, jest dla Sołżenicyna „niespotykanym wizjonerem”, występującym w obronie wolności człowieka.

Wszystko to jednak nie ma żadnego znaczenia. Mamy przed sobą nie zwykłą biografię pisarza, lecz historię pisarza którego książka wstrząsnęła reżymem i która może zmienić bieg historii. Sołżenicyn był przekonany, że „Archipelag” natychmiast po wyjściu z druku zmieni bieg historii, ale w końcowych rozdziałach książki pisze: „Rola 'Archipelagu' — jestem o tym przekonany — jest zmienić historię, lecz nie tak szybko i widocznie nie zaczynając od Moskwy...”.

„Bodło ciełe dąb...” to historia pisarza, który potrafił własnoręcznie, samotnie, zmienić stosunek społeczeństwa światowego do Związku Sowieckiego. Jeśli dziś problem odpowiedzialności Lenina za wszystko co działo się w Rosji, a następnie i w sąsiednich krajach, przestał być tabu, jeśli odpowiedzialność Lenina, a nie wyłącznie Stalina, jest powszechnie uznana, jeśli stopniowo odbywa się przewartościowanie roli rewolucji październikowej — jest to zasługą Sołżenicyna. Trudno przewidzieć kiedy wpłynie to na bieg historii, ale nie ulega wątpliwości, że wpłynie.

Zdarzało mi się czytać wypowiedzi ludzi, którzy nazywają siebie wrogami władzy sowieckiej, a jednocześnie z chorobliwą zawiścią obliczają dochody Sołżenicyna. Od dawna już wiadomo, że rachowanie cudzych pieniędzy jest jedną z większych przyjemności. Ale jeśli zwrócimy się do liczb innego rodzaju, to zobaczymy, że „Archipelag GUŁag” rozchodzi się we wszystkich językach świata w milionowych nakładach. Miliony ludzi czyta to najstraszniejsze oskarżenie państwa, stworzonego przez Październik.

Swój wykład o literaturze z okazji Nagrody Nobla Sołżenicyn kończy słowami:

„JEDNO SŁOWO PRAWDY CAŁY ŚWIAT ZA SOBĄ POCIĄGNIE. Na takim oto, pozornie fantastycznym odchyleniu od prawa zachowania masy i energii oparta jest i moja własna działalność i ten oto mój apel do pisarzy całego świata”.

Gdy ten wykład był pisany w Moskwie w 1970 roku, świat nie znał jeszcze „Archipelagu GUŁag”. Dziś, po przeczytaniu ostatniej książki Sołżenicyna, można się przekonać, że rzeczywiście cała jego działalność wyrasta z płomiennej, fanatycznej wiary w siłę słowa i siła ta stworzyła cuda. Sołżenicyn zwracał się z wezwaniem do pisarzy całego świata, by brali z niego przykład. Wydaje mi się, że głównymi adresatami są pisarze jego rodzinnego kraju i pisarze tych krajów, w których dławią prawdę. Odwaga i wiara w siłę słowa — nic więcej. I świat się wywraca.

Adam KRUCZEK

Archiwum polityczne

Korespondencja z Rzymu

PROWOKACJE W WATYKANIE

Czechosłowacja ma też swego Czechowicza i jego następców. Z tą różnicą, że agenci czeskiej służby wywiadowczej wykonywali powierzone im zadania nie w radiostacji „Wolna Europa” w Monachium, lecz w Rzymie. Dwaj księża (dziś już „zredukowani do stanu świeckiego”), Jaroslav Fojtl i Jaroslav Kuncik, wybrali azyl w Austrii, po czym zjawili się w Rzymie, gdzie gościli w kolegium czeskim św. Jana Nepomucena, uczęszczali na studia teologiczne i nieoficjalnie odbywali „studia” inwigilacyjne. Wrócili do Pragi dość dawno: Fojtl w 1969 roku, Kuncik w 1971 roku. W ub. roku ukazała się w Czechosłowacji książka, raczej pamflet, pt. „aWtykan na rozdrożu?” (autor: Vaclav Vysohlid, prawdopodobnie kryptonim), oparta w nieznacnej części na materiałach przekazanych przez ex-księży, ale głównie na odgrzewanych paszkwilach antykościelnych. Trzy lata z górą trwała „elaboracja” tekstu i oczekiwanie na stosowny moment ogłoszenia „rewelacji”. *Timing* — jak zobaczymy — nie był rzeczą przypadku. Jak donosi włoska, katolicka agencja prasowa (ASCA), powiązana ściśle z partią *Democrazia Cristiana*, która przeprowadziła dochodzenia w tej sprawie, Fojtl i Kuncik na początku „przejęci szczerym powołaniem duchownym zeszli ze słusznej drogi i zawikłani w kłopotliwe przygody z kobietami, stali się łatwym łupem dla szantażu i rekrutacji szpiegowskiej”.

Kuncik, po ukończeniu studiów na papieskim uniwersytecie laterańskim i święceniach kapłańskich w Rzymie w 1958 roku, mając lat 30 zakochał się na prowincji włoskiej (gdzie pełnił funkcje wikariusza) w dorastającej panience. Odwołany z tej placówki duszpasterskiej (bo zwierzchnicy coś zwąchali) posłany został do Niemiec pomiędzy uchodźców czeskich. Wrócił jednak

do Rzymu, dziwnym trafem wtedy kiedy pojawił się tu kard. Beran, któremu rząd praski zezwolił na emigrację. Jak donosi ASCA, Kuncik latem 1969 roku został jego sekretarzem-szoferem i był w tym okresie „dobrze wprowadzony” w Watykanie. Miarodajne, czeskie źródła kościelne w Rzymie dementują jednak stanowczo ten fakt, precyzując że *inchiesta* (ankieta) przeprowadzona przez katolicką agencję włoską, zawiera wiele nieścisłości. Potwierdzają jednak, że Kuncik nagle znikł z horyzontu Wiecznego Miasta, a w ślad za nim wyruszyło dziewczę z włoskiej prowincji. Po pojawieniu się w Pradze ożenił się i posiada troje dzieci. Nie wiadomo gdzie pracuje, ale można się domysleć. Nie zwrócił się do lokalnych władz duchownych o „redukcję do stanu świeckiego”, co świadczy o tym, że studia, święcenia i cała działalność duszpasterska stanowiły jedynie kamuflarz zlecony przez praską bezpiekę.

Fojtl, starszy od kolegi o przeszło 10 lat, jest kapłanem wyświęconym w Pradze w 1948 roku i nie wygląda na to by fingował, tak jak tamten, szaty duchowne dla wykonania misji szpiegowskiej. Wydaje się, że stał się ofiarą szantażu jeszcze w kraju, skąd polecono mu wyemigrować w 1958 roku. Jak już wspomniałem, wybrał azyl w Austrii, gdzie przebywał przez pewien czas w obozach dla uchodźców, po czym wybrał się do Rzymu na „studia”. Po kilku latach wrócił najpierw do Austrii, po czym zameldował się w Pradze. Ożenił się z kuzynką (po otrzymaniu dyspensy od władz duchownych), ma dwoje dzieci i pracuje w centrali policji bezpieczeństwa.

Według informacji prasowych, opartych na indagacjach przeprowadzonych przez agencję ASCA, obaj agenci mają na sumieniu fotografowanie baz NATO we Włoszech, sporządzenie kartotek czeskich i słowackich emigrantów politycznych, duchownych i świeckich oraz rzekome informacje *inside the Vatican* (kurialiści rzymscy twierdzą, że chodzi o plotki personalne, *una roba da niente*, tj. bagatele). Obaj fałszywi kapłani dobrze maskowali swą robotę — nie wzbudzili bowiem podejrzeń u swych dobroczyńców (analogicznie jak kpt. Czechowicz i tow. Lach).

Skandal wybuchł kilka dni przed wyjazdem mons. Casaroli do Pragi. Rewelacje agentów wywiadu posłużyły już wcześniej do kampanii anty-emigracyjnej (i antywatykańskiej) w prasie czechosłowackiej. Jej opóźniony refleks w Rzymie świadczy o tym, że wybrano chwilę zbieżną z przygotowaniami do oficjalnej misji mons. Casaroli w Pradze. Rzecznik prasowy Watykanu, prof. Alessandrini, oświadczył, że cała afera jest „powieścią kryminalną — nie mamy na ten temat nic do powiedzenia”. Między innymi, kościelne koła czeskie i słowackie w Rzymie zgadzają się z tą oceną lecz dodają: „Nie ma dymu bez ognia, jest to oczywista machinacja mająca na celu skompromitowanie emigracji (wobec Watykanu), oskarżenie jej o przeszkadzanie w procesie normalizacji” (przed mającymi zacząć się rokowaniami pomiędzy Pragę

a Watykanem). Według tych źródeł, afery była dawno zaplanowana i zgodnie z docierającymi wiadomościami z Czechosłowacji, wybrano właściwą chwilę dla ujawnienia tej imprezy. Jest to „prowokacja” nie nowa w walce z Kościołem, jaką posługują się reżymy komunistyczne. W czasie trwania Soboru Watykańskiego II — przypominają te źródła — biskupi czescy i słowaccy ostrzegali dygnitarzy Kurii Rzymskiej, że bywają wzywani po powrocie z Rzymu przez władze lokalne: podczas przesłuchań oskarżano ich o wypowiedzi antypaństwowe, które faktycznie miały miejsce, lecz ... w czterech ścianach budynków watykańskich („nie ma tam chyba aparatów podsłuchowych?”). Wniosek więc jasny: władze komunistyczne są *au courant* niektórych, najbardziej poufnych rozmów odbywających się na terenie Stolicy Apostolskiej.

Nie po raz pierwszy władze praskie oskarżają czechosłowackich duchownych-emigrantów o działalność antypaństwową. W roku 1968, po inwazji sowieckiej, reżym okupacyjny nazwał ich „renegatami” usiłującymi wraz z „siłami rewizjonistycznymi przywrócić demokrację burżuazyjną w Czechosłowacji”. W grudniu ub. roku słowacka *Pravda* przypuściła gwałtowny atak, oskarżając tym razem emigrantów o „wywrotową akcję ideologiczną”, która zmierza do „podważenia odprężenia międzynarodowego”. Zdaniem *Pravdy* „tym renegatom nie uda się nawet z pomocą Watykanu spowodować zmiany obecnego układu stosunków politycznych, który znamionuje wyższość socjalizmu nad kapitalizmem”.

Kulminacyjny punkt tej kampanii przypadł na tydzień przed wizytą mons. Casaroli w Pradze. 17 lutego odbył się zjazd stowarzyszenia „Pacem in Terris” („księży-patriotów” z dawnego, a zniesionego w czasie wiosny praskiej, „ruchu księży dla pokoju”). Organizację tę autorytatywny przedstawiciel Kościoła w Czechosłowacji określił następująco: „Jest to 'koń trojański' przeznaczony do dalszego rozkładu struktur kościelnych, zbiorowisko ludzi o słabym lub wręcz złamanym kręgosłupie moralnym, szantażowanych lub po prostu oportunistów jakich niestety nie brak. Jest to kapłańska przybudówka partii komunistycznej. Nie było u nas i nie ma człowieka na czele hierarchii kościelnej o takiej indywidualności jak wasz Prymas. Skutki są widoczne, bolesne i tragiczne”.

Minister kultury Klusak, któremu podlega administracja d/s kościelnych, wygłosił na tym zjeździe przemówienie o sensie nader jasnym: zakreślenie granic rokowań z Watykanem i zarazem podwyższenie ich ceny. Klusak przestrzegł Watykan: „nie będziemy tolerować dyskryminacji wobec szczyrych kapłanów, wchodzących w skład waszego stowarzyszenia, a zamiast tego preferowania tych, którzy nie potrafili odnieść się pozytywnie do naszego ustroju socjalistycznego i mu szkodzą... Nie będziemy negocjować na temat naszych spraw wewnętrznych. Podstawy naszej polityki kościelnej pozostaną niezmienione także w

przyszłości”. Czy można jaśniej? Na zjeździe przemawiał bp Vrana, administrator apostolski z Ołomuńca, mianowany w ub. roku, który zrzekł się wtedy stanowiska przewodniczącego stowarzyszenia „Pacem in Terris”, ale nie członkostwa, do czego zobowiązał się. Vrana nawoływał zebranych do „dobrego działania”.

W tych warunkach trudno było spodziewać się by mons. Casaroli miał szanse na odniesienie sukcesu. Mógł jednak na tę „próbę sił”, podjętą przez reżym Husaka — ba, na wyraźne wyzwanie — zareagować. Domagając się nie tylko i nie tyle obsadzenia wakujących stolic diecezjalnych (według czechosłowackich duchownych nie jest to najważniejszy postulat), ile uwolnienia uwięzionych kapłanów i zakonnic z ośrodków pracy przymusowej, przywrócenia praw zakonom męskim (w całości zdelegalizowane) i 500 duchownym *impediti*, czyli pozbawionym koniecznej autoryzacji do spełniania funkcji kapłańskich (na 3.500), zniesienia *numerus clausus* w seminariach, uregulowania nauczania religii, położenia kresu dyskryminacji rodziców posyłających, mimo gróźb, dzieci na tę naukę itd., itd. Nie bądźmy zbyt wymagający. Trudno domagać się wszystkiego naraz, ale mógł postulować i podać do wiadomości publicznej choćby jedno z tych żądań. Tymczasem zadowolił się „gestem pojednawczym” władz czeskich: tym samym samolotem, którym poleciał do Pragi, przyjechała do Rzymu godzinę przedtem matka-przełożona zakonu Franciszkanek nauczających, Eliska Pretchnerova (przetrzymana w Pradze przeszło rok). Miałyby mu zapewne wiele do powiedzenia.

Po dwudniowym pobycie w Pradze i rozmowach z ministrem spraw zagranicznych, wice-premierem i dyrektorem urzędu d/s religijnych, szef dyplomacji watykańskiej oświadczył m.in.: „biorąc pod uwagę, że rozmowy nie miały na celu konkretnych rokowań, lecz kontakt na odpowiedzialnym szczeblu dla przedyskutowania spraw o ogólnym charakterze i niektórych kwestii bilateralnych — mogę stwierdzić, że były one wysoce pozytywne, zarówno w tonie jak i treści, a także przez wspólną decyzję ponownego spotkania dla pogłębienia dialogu”. Rzecznik prasowy Watykanu dodał zaś: „niezależnie od spraw dotyczących stosunków pomiędzy Stolicą Apostolską a rządem czechosłowackim, przedmiotem rozmów były również problemy międzynarodowe odnoszące się specjalnie do pokoju światowego i bezpieczeństwa w Europie”. W rzeczy samej, jak zapowiedział przed wyjazdem i co prasa powtórzyła tu bez komentarzy, mons. Casaroli dyskutował w Pradze na temat konferencji w sprawie bezpieczeństwa europejskiego w Genewie i redukcji zbrojeń w Wiedniu. Mons. Casaroli znalazł więc czas w Pradze na zajmowanie się sporną kwestią stanu liczbowego wojsk stacjonujących na obszarze Europy Środkowej („ile dywizji ma Papież?” — ironicznie zapytał kiedyś Stalin), a nie uznał za stosowne powiedzieć po powrocie (choćby w zawołanym, dyplomatycznym stylu), co myśli o trwających prześladowaniach duchownych.

Przemilczanie prawdy w obawie o nie wywołanie zadrażeń sprawia wrażenie słabości, ułatwia im grę, zachęca, a nie zniechęca do dalszych szykan antykościelnych i antyreligijnych.

Komentarz wysokiego dostojnika kościelnego: „Oto jeszcze jeden *show mons. Casaroli*, nowy dowód, że dyplomacja kurialna wciąż myśli i postępuje w kategoriach politycznych jak mocarstwo świeckie, zamiast stawiać na pierwszym miejscu postulat wolności religijnej, problematykę praw indywidualnych i obywatelskich. Jest to wielkie i tragiczne nieporozumienie. Niestety w czasie obecnego pontyfikatu nie możemy spodziewać się radykalnej zmiany, najwyżej pewnej korektury”. Jeśli Stolica Apostolska jest mocarstwem — sprecyzujmy — to tylko w kategoriach duchowych i moralnych. A i tę szansę może zaprzepaścić (już niestety naraża na szwank!) poprzez swój ekshibicjonizm światowy i przesadne dyplomatyzowanie, imitujące obyczaje świeckich mężów stanu.

Czeskie i słowackie koła kościelne w Rzymie nie są zawiedzione — są bowiem pozbawione wszelkich złudzeń po dotychczasowych, smutnych doświadczeniach. Nikt tu nie liczył na to by wizyta mons. Casaroli miała inny przebieg. Krytyczne oceny pracy Kurii Rzymskiej, a zwłaszcza jej aparatu dyplomatycznego, jakie zewsząd tu docierają, nie mogły minąć bez echa. Nawiązał do nich Paweł VI, przemawiając niedawno w bazylice św. Piotra do zgromadzonych kardynałów, biskupów, i duchownych pracujących w organach Kurii Rzymskiej. Wezwał ich do autokrytyki i wzmocnienia „uczuć pokory” i zapytał: „Czy jesteśmy pewni, że nasze postępowanie jest zawsze wierne zasadom ewangelicznym?”. Nie jest to pytanie retoryczne.

Komisarz i Kościół

W Czechosłowacji wysłannicy Stolicy Apostolskiej muszą traktować ze stalinistami nie ukrywającymi swych intencji kompletnego podporządkowania instytucji kościelnych i programów bezwzględnej ateizacji. *Questa è gente rozza, politicamente rigida e impermeabile* — ludzie ci są prostakami i sztywniakami, politycznie nieprzemakalni — mówią dyplomaci watykańscy w prywatnych rozmowach. Inaczej w Polsce: mons. Luigi Poggi, nuncjusz apostolski do specjalnych poruczeń (udał się do Polski 25 lutego, nazajutrz po wyjeździe mons. Casaroli do Pragi), ma do czynienia z ludźmi odmiennego pokroju, oglądzonymi i gietkimi. W kompetentnych kołach watykańskich ocena kontrahentów polskich jest pozytywna, a nawet nie pozbawiona pewnych pochlebnych akcentów.

Mons. Poggi złożył min. spraw zagr. Olszowskiemu pismo akredytujące go jako szefa delegacji watykańskiej dla „stałych kontaktów roboczych z rządem PRL” (analogiczne jakie jego

kontrpartner, radca Szablewski, złożył w watykańskim Sekretariacie Stanu). Jest to pierwsza wizyta pełnomocnika Stolicy Apostolskiej w kraju po ustaleniu, że będzie okresowo dojeżdżał dla prowadzenia rokowań z rządem PRL. Pobyt wysłannika Watykanu w kraju potrwa około miesiąca — niezależnie bowiem od rozmów z przedstawicielami rządu odbędzie podróż do wielu diecezji jako gość episkopatu. Misja mons. Poggi, uzgodniona z episkopatem polskim, miała początkowo sprowadzać się do kilkudniowej bytności i zapowiadała się jako ewenement natury biurokratycznej. Zwyciężyła jednak teza episkopatu: wysłannik papieski nie może ograniczyć się do rozmów oficjalnych, winien zapoznać się z warunkami panującymi w terenie, porozmawiać z biskupami. Obecnie w Watykanie mówi się, że ma zbadać „nastroje wśród duchownych i wiernych”. Jeśli odwiedzi przypadkiem w Przemyślu bp. Tokarczuka dowie się zapewne szczegółów niedawnego odkrycia aparatów podsłuchowych w jego rezydencji. Kiedy ten numer dotrze do rąk czytelników — będą już wiadome rezultaty tej podróży i dalszy program rokowań.

O tym jak relatywnie duży postęp nastąpił w polityce kościelnej od czasów „długiej mowy” Gomułki i jego współpracowników, świadczą wypowiedzi szefa Urzędu d/s Wyznań, min. Kąkola, opublikowane przez znany amerykański tygodnik *Newsweek* (10 luty, 1975). Pismo to wpadło na dobry pomysł: wysłało do kraju młodego redaktora, Polaka, urodzonego w USA. Andrzej Nagórski (czy wnuk prof. Zygmunta Nagórskiego i Zygmunta, juniora, którego gościnność w Waszyngtonie w roku 1958 dotąd mile wspominam?) spłodził doskonały reportaż z podróży do krajów Europy Wschodniej (najprzenikliwsze są obserwacje z Polski) i przeprowadził w Warszawie wywiad z min. Kąkolem. *Newsweek* zamieścił ten wywiad pt. „The Commissar and the Church” w ramce i z fotografią Kąkola obok reportażu. Szkoda, że redakcja pisma uznała, iż nie wymaga on komentarza, czy choćby zarysowania tła historyczno-politycznego rozwoju stosunków Kościół-Państwo, pokładając, jak mi się wydaje, nadmierne zaufanie w wyrobienie i rozeznanie czytelnika. Kąkol wykazuje pragmatyzm typowy dla nowej ekipy Gierka, zręczność i dobre wyczucie mentalności amerykańskiej.

Kąkol przyznaje otwarcie, że istnieje „rozbieżność poglądów” na temat tego co ma stanowić normalizację stosunków Kościół-Państwo. Akceptuje więc pośrednio prawo Prymasa Polski do posiadania własnej opinii w tej materii, precyzując zresztą: „bylibyśmy zdziwieni gdyby był zadowolony z wszystkiego co robi komunistyczne państwo”. Na pytanie czy sądzi, iż kardynał Wyszyński prowokuje konflikty pomiędzy Kościołem a Państwem, odpowiada: „Nie używałbym tak mocnych słów dla określenia postawy człowieka o takim wysokim standardzie moralnym. Działalność zgodna z własną koncepcją jak powinny rozwijać się sprawy w tym kraju. Oczywiście nie podoba nam się sposób w jakim reaguje na pewne wydarzenia w Polsce ponieważ często

wyduje się nadmiernie pobudliwy (*overly temperamental*) i przyjmuje rolę jaką niektórzy obywatele mogą kwestionować".

Kąkol neguje, że stosunki Kościół-Państwo ostatnio pogorszyły się. Twierdzi, że czteroletnie rządy Gierka przyniosły pozytywne wyniki na tym odcinku i precyzuje: „W krótkim okresie czasu od objęcia kierownictwa urzędu spotkałem się 13 razy z sekretarzem episkopatu dla dyskusowania całokształtu problematyki”. Dodaje, że kontakty z Watykanem uległy również intensyfikacji, po czym przyznaje wręcz: „wszystko to nie oznacza, iż nie ma zakłóceń — istnieją i jestem pewien, że będą nadal istnieć, ale to nie koliduje z postępami jakie osiągnęliśmy!”.

Istotne, największe znaczenie posiada wypowiedź szefa Urzędu d/s Wyznań na temat udziału katolików w partii. Na pytanie sformułowane w typowo amerykańskim stylu: „Czy może być ktoś zarazem członkiem komunistycznej partii i członkiem Kościoła?” — odpowiedź brzmi: „Nie sądzę. Wstąpienie do partii nie polega jedynie na płaceniu składek. Jest to zaangażowanie ideologiczne. Skoro podstawę działania partii stanowi materializm dialektyczny, to nie można być równocześnie materialistą i wierzącym w Boga. Zachodzą jednak pewne sytuacje kiedy partia nie odnosi się do tej kwestii w sztywny sposób. Na przykład chłop wstępujący do partii, lecz nieznający jej filozoficznej doktryny i pozostający praktykującym katolikiem, może być oceniany inaczej niż intelektualista. Człowiek jednak o pewnym poziomie rozwoju intelektualnego musi dokonać wyboru. Jeśli go dokonuje, może być aktywny poza partią. Nie istnieje dyskryminacja wymierzona w wierzących”. Przynajmniej jasno i bez ogródek. Za czasów Gomułki (nie mówiąc o Bierucie) panowała inna teza: „nie czynimy podziału na wierzących i niewierzących; aktywnymi członkami partii są również wierzące masy społeczeństwa; sprawa przekonań religijnych członka partii jest jego sprawą osobistą”. Obecnie partia odrzuca zatem sztuczne rozszczepienie życia członka partii na aspekt publiczny i prywatny. Kto wierzy w partię nie może wierzyć w religię z przeciwnego biegu (taryfę ulgową otrzymują jedynie pogardzani „chłopi”) i *vice versa*. Co zaś do rzekomego braku dyskryminacji w stosunku do katolików (deklarujących się), to praktyka zadaje kłam konstatacjom Kąkola. Dementują go nawet słowa jakie padły w grudniu 1973 roku z trybuny sejmowej ze strony przedstawiciela katolickiego Koła „Znak”. Praktyka życia społecznego nadal dowodzi, że bezpartyjni katolicy mają utrudniony start i karierę zawodową, a wyższe stanowiska w aparacie państwowym (prywatny nie istnieje poza sektorem prywatnym PAX-u) są zarezerwowane wyłącznie dla partyjnych. Istnieje niepisany *numerus clausus* zamykający katolikom drogę do obejmowania stanowisk od dyrektora departamentu wzwyż (to samo odnosi się do stanowisk kierowniczych w wielkich zakładach pracy oraz przedsiębiorstwach przemysłowych i handlowych). Stosowanie podwójnej miary w korzystaniu z praw publicznych jest jedną z podstawowych cech wszelkich totalizmów. Jeśli

nawet w pewnych przypadkach zachodzi równouprawnienie, to niektórzy (partyjni) są „bardziej równi od innych”. Taki jest już klimat totalitarnych systemów komunistycznych — szkoda że *Newsweek* nie wytłumaczył tych subtelności czytelnikom. Gołych faktów nie ukryją propagandowe chwytły (mogą nabrać się jedynie na to naiwni czytelnicy amerykańscy) jak końcowa wypowiedź Kąkola w cytowanym wywiadzie: „nie martwi nas — może nam się to nie podobać — ale nie sprawia nam kłopotu, że ludzie chodzą do kościoła”.

Na konferencji moskiewskiej w roku 1945 (w wykonaniu uchwał jałtańskich) w sprawie rozszerzenia bazy Komitetu Lubelskiego i przekształcenia go w Tymczasowy Rząd, przedstawiciel USA amb. Harriman pytał Mołotowa: *Where is the party of the church-going people?* (gdzie jest stronnictwo ludzi chodzących do Kościoła). Wszyscy wiemy jak skończyła się ta „demokratyczna” tragifarsa. 30 lat minęło i poczciwi Amerykanie ponownie dopytują się o *the church-going people*. Kąkol mógł odpowiedzieć, że nie tylko nie ma z tym kłopotów, ale toleruje również trzy ugrupowania katolickie (nawet jedno korzystające z moralnego poparcia episkopatu). Oczywiście sedno rzeczy nie na tym polega czy są trzy czy jedno ugrupowanie uznane za „katolickie”, lecz pozbawione możliwości niezależnego działania politycznego, zmonopolizowanego, jak wiadomo, przez partię. Światopoglądowe kryterium, jakim partia posługuje się w akcji ideologicznej i propagandowej, jest mistyfikacja blokująca wszelkie możliwości formułowania programów społecznych i zrzeszenia się ludzi na odmiennych platformach ideowo-politycznych (*Życie Warszawy* z 24 lutego w komentarzu przed wizytą mons. Poggi powtarza wyświechtany frazes: „światopogląd naszego społeczeństwa nie jest jednoznaczny”). Katolicki rezerwat, chroniony przez partię, skazany jest na sztuczne podtrzymywanie — jest więc przedmiotem manipulacji zanim zamieszkuje w nim rzadka fauna nie wymrze. Nie zmienia tego plany modyfikacji aktualnego stanu rzeczy. Istnieje projekt stworzenia jednego ugrupowania, surogatu stronnictwa politycznego, wyposażonego w ok. 50 mandatów w sejmie (obecnie łącznie 12). Ten nowy twór, oparty ma być o trzon PAX-u po postaniu na emeryturę Piaseckiego i kilku jego najbliższych współpracowników z przedwojennej „Falangi” (z Przetakiewiczem na czele). ZNAK miałby ulec likwidacji i w nowej konstelacji niektórzy jego przywódcy opuściliby scenę działalności publicznej.

W poprzedniej korespondencji pisałem, że wyrok śmierci politycznej na Piaseckiego i ex-falangistów nie zależy od Warszawy, lecz od Moskwy (KGB posiada m.in. dokumenty, znane na Zachodzie, dotyczące rozstrzeliwania partyzantów sowieckich podczas akcji „Uderzenie”, zorganizowanej przez „Konfederację Narodu” Piaseckiego zanim doszło w 1944 roku do podporządkowania jej oddziałów bojowych Głównej Komendzie AK). Taki wyrok jakoby zapadł. „Zielone światło” polscy towarzysze już otrzymali — zastanawiają się jedynie jak przeprowadzić całą

operację (odłożono ją do jesieni, tj. do zjazdu partii, który ma zadecydować o wyborach w 1976 r.). Skąd ta nagła zmiana w stosunku do tak wiernego sojusznika?

„Kompromis historyczny” — wielki plan strategiczny zachodnich partii komunistycznych (reklamowany głównie przez włoską partię, najsilniejszą z nich) przy poparciu Moskwy, wymaga przynajmniej „mini-kompromisu” na Wschodzie. Trzeba więc pozbyć się kompromitujących sojuszników z faszystowskiej „Falangi”, jeśli „kompromis” pomiędzy marksistami i chrześcijanami, komunistami i katolikami na płaszczyźnie życia publicznego ma nabrać wiarygodności. „Już dawno zwracaliśmy uwagę polskim towarzyszom, że alians z Piaseckim, popieranym ongiś przez Mussoliniego, trąci skandalem” — powiedział mi pewien dziennikarz współpracujący z wydziałem zagranicznym włoskiej partii komunistycznej. Polityczne poparcie i finansowanie Piaseckiego przez włoskich faszystów (o czym pisałem w nr. 7/8 1974 r.) przed wojną i nieudane próby finansowania jego akcji podczas okupacji poprzez kard. Sapiechę (który tego kategorycznie odmówił) są udokumentowane w pracy pewnego polskiego historyka, jaka niedługo ujrzy światło dzienne. O poparciu udzielanym Piaseckiemu przez ustosunkowaną rodzinę włosko-polską pisze również L. Blit w książce pt. „The Eastern Pretender” oraz autorzy broszury pt. „Prawda o 'Paxie' i Piaseckim”, wydanej przez Rozgłośnię Polską Radia Wolna Europa. Od „Falangi” poprzez „Konfederację Narodu”, grupę „Dziś i Jutro” i wreszcie PAX — poprzez różne pozorne metamorfozy od skrajnego antykomunizmu do służalczego filokomunizmu — biegnie ciągła linia totalitarna, faszystująca, szowinistyczna i antysemicka. PAX ma na sumieniu dywersję antykościelną, korupcję ludzi znajdujących się w trudnościach życiowych, szkodenie episkopatowi (m.in. czynny udział w likwidacji przez UB placówek kościelnych i katolickich oraz aresztowaniu Prymasa Polski).

Rzecz w tym, że odejście „wodza” i jego pretorianów z PAX-u sprawy nie polepszy. Jeśli ktoś myśli, że przejęcie steru kierownictwa przez ambitnego neofitę J. Stefanowicza coś zmieni, to się grubo myli. Piasecki był przynajmniej wytrawnym graczem i politycznym awanturnikiem dużego kalibru (jedynie pewna włoska starsza pani uważa go od 40 lat za „bohatera narodowego”). Ewentualni następcy nie dorastają mu do pięt. Nowe ugrupowanie katolickie będzie parodią i jeszcze jedną próbą zamydlenia oczu. *The commissar* już się jednak postara o to by parawan, osłaniający jego prawdziwe oblicze, był jak najmniej przyczyną! Jak zareaguje na tę blagę hierarchia kościelna? W ciągu 30 lat Kościół w Polsce wiele gorszych rzeczy oglądał i wytrzymał. A Zachód? I to przetrzyma, zwłaszcza, że ma własne zmartwienia.

Dominik MORAWSKI

Pisane 4 marca 1975

Widziane z Brukseli

ROSYJSKI SZCZEP NA ŻYDOWSKIM SERCU

„... Niech Pan napisze, że przytłaczająca większość Żydów sowieckich, którzy przez jakieś pomieszenie zmysłów opuścili ojczyznę i wyemigrowali do Izraela, wyrzywa sobie teraz włosy z głowy... Taka nienawiść otaczała nas w Izraelu, że dziesiątki nieszczęśliwców popelniły już samobójstwo... Rząd izraelski dostaje z Ameryki 40.000 dolarów za każdego Żyda z ZSSR, ale my nie widzimy ani centa... Osiem dni wystarczy, aby przekonać się, że żaden człowiek urodzony i wychowany w ZSSR nie jest w stanie zapuścić korzeni w tym kraju przekupstwa, nietolerancji religijnej, wykorzystywania biednych... Było nam dobrze w Rosji, nie wiemy co nas napadło, to ta przekłeta propaganda syjonistyczna... Nie mamy żadnej pretensji do władzy sowieckiej, teraz chcemy tylko jednego: wrócić do naszej ukochanej ojczyzny... Boimy się o tym głośno mówić, bo niektóre bojówki syjonistyczne grożą zamachem na nasze życie... Oni chcą nas wysłać na tułaczkę do USA, Kanady czy Australii, ale my chcemy do domu... Jeżeli postanowią odesłać nas do Izraela, to wolimy się powiesić...”.

To straszne, pomyślałem, zwłaszcza, że wypowiedzi nie pochodzą, wbrew pozorom, z *Komsomolskiej Prawdy* czy *Gwiazdy Biorbidżanu*. Słowa, od których zaczynam ukazywać się w Brukseli, w piśmie poświęconym zbliżeniu narodów, wydawanym przez Towarzystwo Przyjaźni Sowiecko-Belgijskiej, organie instytucji oficjalnie niepartyjnej, we władzach której zasiadają bardzo poważne osobistości belgijskiego świata politycznego i kulturalnego.

Skoro tak, powiedziałem sobie, to warto się tym tematem zainteresować bliżej. W końcu z własnego doświadczenia wiemy, że emigracja to nie wycieczka na „Batorym”. Porobiłem większą ilość fotokopii wstrząsającego reportażu z organu, rozesłałem między kompetentnych ludzi, a sam wybrałem się w drogę, aby sprawdzić na miejscu. Nic tak bowiem nie uczy jak podróż...

Jednokierunkowa agencja

Zanim jednak uleciałem biało-niebieskim Boeingiem postanowiłem odwiedzić rodziny deportowanych, powieszonych lub zgładzonych przez syjonistyczny KGB. Od razu opadły mnie wątpliwości. Nikt się mianowicie nie powiesił, natomiast większość czeka niecierpliwie (nie wiedzą na co się narażają) na wizy do USA czy Kanady, a inni starają się urządzić na miejscu, w Bel-

gii. Kilkudziesięciu z 800 rosyjskich Żydów, którzy do Belgii przyjechali z Izraela, już wróciło nad Jordan. Wszyscy oni znajdowali się w Belgii początkowo pod opieką... katolickiego Caritasu, a później niekoniecznie ongiś filosemickiej Fundacji Tołstoja. Teraz czynne są już charytatywne organizacje żydowsko-belgijskie. Syjoniści i Izraelczycy raczej unikali udziału w akcji pomocy czy w ekspedycji w dalszą emigrację. Jak mi to wyjaśnił pewien terrorysta syjonistyczny zamaskowany pod postacią tysawego urzędnika: „Agencja Żydowska, proszę pana, to nie agencja turystyczna. My załatwiamy podróże tylko raz i tylko w jednym kierunku, do Izraela, reszta nas nie interesuje...”.

Ale mnie interesuje, powiedziałem. Kilkanaście tysięcy Żydów sowieckich nie dotarło bowiem do Izraela, albo dość szybko go opuściło, tuła się po świecie, uczy się na własnej skórze Zachodu. Najpierw cierpieli, bo chcieli być emigrantami, teraz cierpią bo chcą przestać nimi być. Dlaczego?

W tzw. *medias res* wdepnąłem na lotnisku w Lod, pod Tel-Avivem. Czy ktoś z państwa spędził już cztery godziny w unieruchomionym, rozżarzonym samolocie, w pełnym słońcu, bez wentylacji? Nikt. A ja tak! Nie mogli nas podkolewać i wypuścić, bo był strajk całego personelu naziemnego. Odmówili podstawienia schodów i podłączenia wody, wentylacji, nie wiem zresztą czego, nie znam się na tym. Leczyłem się więc *whisky and soda*, i gdy koszmar się skończył, byłem w bojowym nastroju. Kiedy ujrzałem u dołu drabiny pikietującego Gruzina (poznałem po fizys i czapce) wybuchnąłem: „Co za cholera, po cóż żeście opuścili Gruzję, strajków wam się zachciewa. Cóż my jesteśmy winni, że was syjoniści męczą, że otacza was nienawiść, że chcecie do domu, że nie możecie się urządzić w tym kraju przekupstwa i nietolerancji religijnej...”. Już mu chciałem pokazać kopię artykułu „Przyjaźni” kiedy usłyszałem, żebym się ten tego, bo jak nie to... i że po pierwsze strajk jest, bo tu można strajkować, po drugie, żeby lepiej zarabiać, bo jest ciężko żyć, i po trzecie żebym najpierw wytrzeźwiał, a potem rozmawiał z ludźmi.

U następcy Mojżesza

„Panie Ministrze, dopiero 100.000 sowieckich Żydów przyjechało, a już macie tyle curesów. Wysiadają w Wiedniu, kręcą się po świecie, opuszczają Izrael, wybrzydzają na pracę, na mieszkanie, na Żydów, zupełnie jak w tym dowcipie, że dobrze to się oni czują tylko po drodze. Po co wam to, mało macie zmartwień bez nich? Co zrobicie, jak się w końcu okaże, że Jackson wygrał i że Rosja zacznie wam dostarczać 60.000 osób rocznie. Przecież Pańskie ministerstwo się zawali...”.

Minister Szlomo Rosen to też emigrant... sprzed 50 lat. W ministerstwie absorpcji był już wiceministrem, na pytania reaguje ze spokojem starszego człowieka, który już wszystko

widział. Przyjmuje mnie o 8 rano (to taki fatalny zwyczaj w Izraelu, oni cierpią na bezsenność), w gabinecie na 30 piętrze Migdał Szalom, czy Wieży, oczywiście, Pokoju. Rosen należy do nielicznych ministrów, którym, poza biurem w Jerozolimie, pozwolono utrzymać „lokal zastępczy” w Tel Avivie. Ma cudowny widok na Morze Śródziemne, aż po Cypr chyba...

— *To na pewno po to, dodają dowcipy, aby sprawdzać kiedy, skąd i w którym kierunku jadą emigranci...*

— Nie — odpowiada minister — od tego są inni. Mam tu biuro, bo Tel Aviv to centrum ekonomiczne, a absorpcja to przede wszystkim ekonomia. Ten widok to zresztą nie jedyny mój przywilej. Moi koledzy musieli okroić swoje budżety, mój pozostał nietknięty. A chodzi o poważne sumy, pierwszy, podstawowy etap absorpcji, kosztuje 40.000 dolarów na rodzinę.

— *A właśnie — wrzucam — pokaż coś Panu. — Wyjmuję kopię z brukselskiego organu. — Dlaczego nie dzielicie się dolarami?*

— Przecież to brednia. Oczywiście, fundusze pochodzą również z diaspory, ale państwo dużo do tego dokłada. A co do Jacksona, to my potrzebujemy wszystkich Żydów, którzy chcą wśród nas mieszkać. Nasza stopa przyrostu naturalnego nie sięga nawet 2%, stopa przyrostu zaś, naszych izraelskich Arabów już przekracza 4%...

Alija, czyli „wstępowanie” do Izraela było od zawsze mieszaniną mistycyzmu i cudów, powodem bezsenności wszystkich poprzedników ministra Rosena. Pierwszy izraelski minister Absorpcji nazywał się Mojżesz, był emigrantem z Egiptu i, mimo zdolności to robienia cudów, miał ze swoimi Żydami egipskimi podobne zmartwienia co Szlomo Rosen z rosyjskimi.

— *Panie Rosen — mówię do następcy Mojżesza — niektórzy powiadają, że Izrael bardzo kocha emigrację, ale nie lubi emigrantów. Tych z ZSSR nazywają tu „ruskimi”. To dobre dla pierogów, ale ludzie tego nie lubią. Byli „parchami” w Moskwie, nie chcą być „ruskimi” w Izraelu. Może oni mają inne poczucie humoru od was?*

— Na pewno inne, od pańskiego zresztą również. Powiedzonko o emigrantach jest stare, wymyślił je Katzenelenson, ideolog naszej socjal-demokracji jeszcze w latach dwudziestych. Każda fala emigracyjna była tu przyjmowana ze sporą dozą nieufności i ostrożności, a przede wszystkim z zawiścią, albowiem absorpcja każdego nowego pokolenia emigranckiego dokonywała się z dogodniejszych od poprzednich pozycji wyjściowych i w lepszych warunkach bytowych...

Daj Boże!

Do ogromnego budynku Sochnutu, czyli Agencji Żydowskiej (faktycznego ministerstwa emigracji) w Jerozolimie wchodziłem bez uczuć mieszanych. Jest to niewątpliwie instytucja najbardziej powszechnie i zupełnie jednomyślnie krytykowana w społeczności żydowskiej, tak w Izraelu jak w diasporze. Obecny prezes Sochnutu, p. Sapir, byłby minister skarbu, nie zmienił *hobby* i ciągle lata po świecie wydzierając, coraz trudniej z uwagi na kryzys, pieniądze na koszt emigracji i absorpcji. Przyjmuje mnie jego zastępca rabin Kirschblum. Urodzony oczywiście w Białymstoku, jakie 65 lat temu, wyjechał w 1923 roku do USA, tam skończył studia i funkcjonował jako rabin w jednej z gmin żydowskich w Nowym Jorku.

— Pan wie, w New Yorku jest więcej Żydów niż w Izraelu. Staram się ich tu ściągnąć i wierzę, że mi się to z pomocą boską uda. Wyrażenie jest na miejscu — nawet na emeryturze rabin nie przestaje być rabinem.

— *Na razie jednak nie chodzi o Pańskie pobożne życzenia (to także jest wyrażenie na miejscu), a o rzeczywistość, a ta mówi po rosyjsku. Czy Pan kocha Ruskich?*

— My kochamy wszystkich Żydów i w ogóle wszystkich ludzi dobrej woli. Czy panowie, tam w Europie wierzą (przepraszam, znowu język fachowy) czy panowie sądzą, że można wchłonąć 100.000 ludzi tylko przy pomocy buchalterii i pieniędzy. Zaczniemy od „ruskich”. Tutaj wszyscy noszą przezwiska. Niemieccy emigranci spod Hitlera do dziś zwą się „jeki”, od żakietu, którego nie zdejmowali nawet przy pracach rolnych. Niektórzy łwowiacy, którzy tu przyjechali przed 50 laty do dziś zwani są „galicjanerami”. No i co z tego?

No, a teraz bądźmy poważni. Spójrzmy na cyfry, cudów nie ma, no, pan rozumie, cuda oczywiście są, ale nie w tej dziedzinie. W 1948 roku żyło tu 650.000 Żydów i w pierwszym roku istnienia naszego państwa przyjęli oni 250.000 emigrantów. W ciągu swych trzech pierwszych lat państwo żydowskie przyjęło 750.000 „olim” czyli „tych co wstępują”. Ale jakie to było państwo i co to byli za olim?! Biedny, niedorozwinięty, pustyanny kraj, stale napadany przez sąsiadów, potrafił wchłonąć 750.000 byłych więźniów obozów hitlerowskich, dipisów, pensjonariuszy Kołymy czy pogrobowców z Kielc i innych pogromów i wreszcie Żydów z krajów arabskich często prymitywnych, bez grosza przy duszy oczywiście. Ten kraj liczy dziś trzy miliony Żydów, których połowa pochodzi z emigracji. I pan, poważny człowiek, wyraża wątpliwości czy my potrafimy wchłonąć bez dramatów i katastrof w ciągu kilku lat 300 czy 500 tysięcy Żydów z Rosji, oby Pan Bóg ich tu przywiódł w dobrym zdrowiu...

50.000 Arabów i jeden generał

7 lipca 1882 roku trzynastu mężczyzn i jedna kobieta wyładowali po długiej podróży z Rosji na piaszczystym brzegu Hajfy, otwierając, o czym nie wiedzieli, epopeję nowożytnej aliji. Przyjął ich ostry hamsin, wroga natura, dziwni ludzie. Ta czternastka to byli pionierzy. Niecałe 100 lat później ich potomkowie, często nawet krewni tych z żydowskiego „Mayflower’a”, wysiadają z Jumbo-jeta w Tel Avivie nie tylko bez żadnych pionierskich ambicji, ale, wprost przeciwnie, z przekonaniem, że wszystkie ich doczesne, nie mówiąc już o wiecznych, sprawy zostaną natychmiast i po ich myśli, z powodzeniem, sprawnie przez innych rozwiązane.

Oni się oczywiście mylą. Cały sztab czuwa nad tym aby to nieuchronne rozczarowanie było jak najmniej bolesne. Ponieważ tkwimy w terminologii wojskowej, to powiedzmy, że całością operacji kieruje prawdziwy generał Uzi Narkiss, sławny od chwili, kiedy dowodził komandosami, którzy wyzwolili wschodnią Jerozolimę w 1967 roku. Ze opuścił wojsko (staruszek przekroczył już 45 lat), to wiedziałem, ale skąd on wiedział, że ja nigdy nie wyszedłem poza stopień niewyszkolonego szeregowca rezerwy (specjalność bojowa: pisarz, bibliotekarz, kreślarz) to jest tajemnicą. W każdym razie potraktował mnie jakbyśmy obaj byli w naszych stopniach, w służbie czynnej, w tym samym wojsku.

— To wszystko brednia. Nikomu nie wierzę, a przede wszystkim Rosjanom. Do Jacksona daleko. Mamy największe na świecie możliwości absorpcyjne. Możemy wchłonąć 500 intelektualistów miesięcznie. 50.000 arabskich robotników przybywa codziennie do pracy z terytoriów administrowanych. I gdzie tu problem!

I generał znikł. Nie powiedział nawet „cześć”, ani chociażby „szalom”.

Na szczęście inni rozmówcy byli mniej napoleońscy. Poskładałem więc jakoś absorbcyjny puzzle. Absorpcja nie byłaby, zapewniam was, zajęciem wypoczynkowym nawet dla sprawniejszej niż izraelska administracji.

Operacja „absorpcja” zaczyna się od razu na lotnisku, z chwilą „nadejścia towaru”, jak to mało dowcipnie określił pewien urzędnik pana generała. Najłatwiej jest z robotnikami, coś kiedy alija sowiecka jest w ogromnym procencie uniwersytecka. To bardzo miło witać panów doktorów, inżynierów i profesorów, ale to nie łatwy „towar”. Muszą z reguły obniżyć ambicje, zmniejszyć specjalności, przestawiać się, uczyć się nowego i trudnego języka, dokształcać się w zawodzie, unowocześniać swój warsztat naukowy i fachowy, a często rezygnować z pretensji i, z ich punktu widzenia, „deklasować” się.

„Szare komórki” na sprzedaż

Instytut Weitzmana, pół godziny od Tel Avivu, nie potrzebuje reklamy. Cisz, zieleń, słysząc lot myśli i terkotanie komputerów, sława ponadustrojowa. Liczba geniuszów na metr kwadratowy jedna z największych na świecie. Prof. Zarecki, specjalista od spektrometrii (nie pytajcie mnie o co chodzi), jeden z pięćdziesięciu naukowców dawniej sowieckich tutaj dziś zatrudnionych, przyjmuje mnie w małym i starym gabinecie, ale natychmiast prowadzi do nowego budynku imienia Rapaporta (podpisał czek), gdzie jego zakład zajmuje spory parter.

— Ta maszyna kosztowała 300.000 dolarów — profesor pokazuje coś niewielkiego, ale bardzo skomplikowanego. — W trzy tygodnie potem jak ją instytut dla mojego zakładu zakupił, mój był zakład w Moskwie także ją w tej samej firmie w NRF zamówił... Ja, proszę pana, przedstawia się Zarecki, jestem osobistym podarunkiem Breżniewa dla Nixona. Wypuścili mnie na chwilę przed pierwszą wizytą Nixona w Moskwie w 1972 roku. Ale ja jestem przypadek szczególny. Znałem płynnie hebrajski, miałem specjalność właśnie poszukiwaną w Izraelu, a moje prace były tutaj od dawna znane. Zresztą ci dwaj młodzi ludzie, których Pan widział przy maszynie, to moi asystenci... jeszcze z Moskwy...”

Niektórzy koledzy Zareckiego mieli mniej szczęścia. Dla ludzi wolnych zawodów najważniejsza rzecz to ich dyplom, tym cenniejszy, że uzyskany często w ZSSR za cenę wielu wyrzeczeń i upokorzeń. Ale co zrobić w Izraelu z dziesiątkami fachowców od literatury rosyjskiej, filologii tadżyckiej, prawa kołchozowego, historii WKP(b), a nawet za wąsko wyspecjalizowanymi, albo i niedoszkołonymi inżynierami czy lekarzami...

— Kwestia cierpliwości, pieniędzy, no i biurokracji... — mówi Zarecki. — Trzeba szukać rozwiązań na szeroką skalę. Trzeba np. pomyśleć o eksporcie szarych komórek, o zakładzie produkującym pomysły i rozwiązania na zamówienie zagranicy, lub z własnej inicjatywy, na już, i na jutro, na wyrost. Izrael od razu nie jest w stanie wchłonąć całego kapitału intelektualnego, jaki niesie z sobą alija sowiecka...

Zanim do tego dojdzie, dwie instytucje starają się ułatwić start. Specjalna fundacja uruchamia kredyty na stworzenie przy już istniejących instytutach czy uniwersytetach dodatkowych miejsc pracy badawczej. Oczywiście jednak, temat musi być interesujący nie tylko dla zafascynowanego naukowca... Goryczy tu nie mało.

Druga instytucja przekształca ludzi sowieckich w zwyczajnych kapitalistów. Specjalny bank udziela kredytów na uruchomienie — możliwie z dala od przeludnionego Tel Avivu — normalnych przedsiębiorstw prywatnych, pod warunkiem, oczywiście, przydatności rzeczowej i kwalifikacji kandydata. Trzech inżynierów z Rygi prowadzi już prosperujący świetnie warsztat samochodowy, niezawodny interes w kraju, gdzie większość kierowców

przeżywa wyłącznie cudem swój pierwszy tysiąc kilometrów. Chemik z Leningradu przywiózł w kieszeni krótką formułkę. Dziś prowadzi spore laboratorium, produkuje doskonały, jak się wydaje, deodorant, także na eksport. Zatrudnia już 10 robotników, też emigrantów z Rosji. Nawet teatr w *jidisz* założyli — 10 aktorów z Rosji gra już Alejchemą...

— Ale ilu aktorów *jidisz* my możemy zatrudnić, ile teatrów otworzyć? — pyta mnie p. Gwili, tak jak bym ja się nazywał Sol Hurok i był największym impresario na świecie. Gwili zna życie, pracuje w Sohnucie już 25 lat, ale „nie udało im się zrobić ze mnie biurokraty”. Rzeczywiście, biuro nie generalskie, ale za to pełne emigrantów złych, wściekłych, rozgoryczonych lub zwyczajnie zrezygnowanych. Gwili pełni dziwną funkcję, czegoś w rodzaju „ombudsmana”, piorunochronu, zderzaka, między rozżalonymi emigrantami a samozadowolną biurokracją.

— Może potrzebuje pan skrzypków, albo całe zespoły kamealne. Mamy już dziś stosunkowo najwięcej orkiestr na świecie, a nowi muzycy ciągle przyjeżdżają. Przecież cały Izrael nie może wyłącznie grać albo słuchać muzyki.

Aktorzy i skrzypkowie nie wyczerpują sprawy. Pokazano mi statystyki, z których wynika, że aczkolwiek 95 % emigrantów otrzymuje w ciągu dwóch lat stałe mieszkanie i stałe zajęcie, tylko 75 % (a i to chyba na wyrost) wyraża zadowolenie „z całości”.

Dlaczego? Jak to się dzieje, że ludzie, którzy po to aby się z ZSSR do Izraela dostać ryzykowali prześladowania, więzienie, a czasem więcej, po kilku miesiącach opuszczają Izrael z goryczą w sercu i pustką w duszy. Dlaczego kilka tysięcy osób wysiadło i skręciło z drogi od razu we Wiedniu? Dlaczego kilka innych tysięcy wyleciało na wirażu już w Izraelu?

Stowiański szarm i żydowska cierpliwość

— *Spasibo, gaspadin redaktor* — ja już zapomniałam co to dzentelman. Tu inne obyczaje — mówi Larysa Weissblat, kiedy podałam jej krzesło, pomogłam zdjąć palto, przyniosłam z baru kawę i podałam zapałkę.

Nie trzeba się mylić. Żydzi rosyjscy przyjeżdżają z kraju okrutnego, ale nowoczesnego. To nie nędza ich wygnała, a ustrój sowiecki i jego pogarda dla człowieka, terror duchowy, nędza moralna. W ZSSR żyje trzy miliony Żydów, ale nie trzeba sobie wyobrażać, że chodzi tu o trzy miliony syjonistów, marzących jedynie o lamencie przy Scianie Płacu.

Emigracja nigdy nie jest spacerkiem, ale dwie emigracje, pierwsza z ZSSR, druga z Izraela, to prawdziwy, na ogół, dramat. Istota nieporozumienia sprowadza się do prostej formuły. Prawdziwa absorbcja zaczyna się mianowicie nie od mieszkania i pracy, a w momencie kiedy mieszkanie i pracę emigrant ma już z głowy.

— Emigrantów można z grubsza podzielić na cztery kategorie. — Laryssa wie co mówi. Adwokat z Moskwy, syjonistka od zawsze, jedna z pierwszych w obecnej fali emigranckiej, od czterech lat stara się ze słowiańskim szarmem i cierpliwością żydowskiej matki (dwoje dzieci w szkole), tłumaczyć sowieckim braciom co to jest Izrael, a Izraelczykom co to takiego emigrant z Rosji.

Decyzja opuszczenia ZSSR rodzi się z wielu przesłanek. Po pierwsze istnieją prawdziwi syjoniści. Ich integracja w Izraelu nie stanowi żadnego problemu, przyjechali na złe i na dobre, chcą żyć z Żydami i wśród Żydów. Druga kategoria to „syjoniści z wyrachowania”. Tacy uważają, że nie ma ucieczki od żydowskiego losu i że lepiej się z tym pogodzić w żydowskim kraju. Po trzecie, istnieje kategoria „syjonistów materialistów”, którzy przede wszystkim chcieli wyrwać się z ustroju sowieckiego i wybrali Izrael, bo nie mieli innych wygodniejszych możliwości. I są wreszcie „syjoniści turystyczni”, którzy wyjeżdżają, bo „można wyjechać” i powiedzieli sobie, że skoro tylu poważnych ludzi ryzykuje wolność i prześladowania, aby się wydostać, to gra jest chyba warta świeczki...

— Jesteśmy więc daleko od monolitu — mówi Laryssa. — A do tego trzeba dodać kolosalną nieznajomość rzeczywistości i to z obu stron. Kiedy tu przyjechałam przed czterema laty, obraz Rosji był taki, jaki ugruntowany tu został przez emigrantów z carskiego imperium w XIX wieku. Mnie, mieszkankę centrum Moskwy pytano np. czy potrafię posługiwać się nowoczesną windą. Z drugiej strony spotkałam emigrantów, którzy (patrz Łysenko) byli przekonani, że Izrael wyhodował kwadratowe pomarańcze, aby je było łatwiej pakować...”

Sowiecki syndrom

To co jeszcze na miejscu nazwałam „sowieckim syndromem” jest skomplikowanym układem psychologicznym, zrodzonym z wielu szoków i składającym się z wielu nieporozumień.

Jest to przede wszystkim sprawa poczucia osobistego bezpieczeństwa. Emigranci przybywają z ogromnej Rosji, szowinistycznej, dętej super-potęgi, kraju faktycznie niedotykalnego, bardziej groźnego niż zagrożonego, o kolosalnym poczuciu bezkarności, pewności przetrwania, nie mówiąc już o nieskończonych przestrzeniach do wycofywania się, skądkolwiek by nie nadszedł wróg. Przybysze z takiego kraju lądują w nocy na małym skrawku pustyni, na stercie piasku, w państwie świadomym stałego zagrożenia militarnego i kruchej ekonomicznie, codziennie napadanego przez terrorystów, coraz łatwiej sprzedawanego za naftę, coraz bardziej izolowanego w tzw. rodzinie narodów. O ONZ i UNESCO już nie wspominam, bo emigranci wychowani w ZSSR i tak tych instytucji nie szanowali.

Jest to, po drugie, trudna sytuacja gospodarcza. Nie ulega kwestii, że dla wielu emigrantów przejście z ZSSR do Izraela zakłada obniżenie stopy życiowej, a w każdym razie bardzo brutalną zmianę warunków bytowania. Emigranci, to jasne, nie kochają socjalizmu (albo raczej sowietyzmu, ale dla nich to wszystko jedno), są jednak przyzwyczajeni do tego, że państwo załatwia za nich cały szereg codziennych spraw.

Tutaj tymczasem, państwo załatwia tylko najbardziej podstawowe zagadnienia, reszta należy i zależy od obywatela. Niech sobie radzi... „Aby przypodobać się emigrantom nie możemy wszakże zaprowadzić u nas systemu sowieckiego”, powiedział mi jeden z Sochnutu. Nie, broń Boże, ale w oczach petenta biurokracja izraelska tak bardzo nie różni się od sowieckiej. Najlepiej ujął to zdumiony szewc z Odessy: „Ześmy brali w d... od biurokratów w Rosji, to normalne, ale żeby jeden Żyd drugiego Żyda ... tego nie rozumiem...”.

Jest to, po trzecie, nowa sytuacja psychiczna w Izraelu. Pierwsi emigranci z Rosji witani byli kwiatami i orkiestrą dętą. Dziś to już chleb powszedni i towarzyszy mu w najlepszym razie obojętność. Dlaczego? To jasne. Izraelczycy mają swoje własne zmartwienia. Euforia zrodzona z sześciomiesięcznej zwycięstwa przekształciła się, w październiku 1973, w świadomość wojskowej kruchości. W rok później drakońskie zarządzenia gospodarcze wykazały kruchość wieloletniego boom'u.

Młody Izraelczyk, 30-letni weteran trzech wojen, inaczej pojmuję sens, a zwłaszcza formy, przyjaźni niż ludzie z komunizmu, gdzie tylko poczucie więzi osobistej rodziło zaufanie, pozwalało na szczerość, umożliwiało swoistą schizofrenię dwóch równoległych bytów: w biurze czy w szkole i w domu. Żydzi ze Wschodu fałszywie zaś interpretowali niewątpliwie złe maniere, ale pozorną tylko oschłość autochtonów. Mówił mi z goryczą pewien facet z Moskwy: „Oni już pozwalają nam umierać u ich boku, ale jeszcze nie widzą powodów aby żyć z nami w przyjaźni...”. Stąd integracja towarzyska, socjalna, kuleje...

Trudna szkoła demokracji

I wreszcie, największy paradoks, bardzo trudna okazała się nauka demokracji, wolności. Z jednej strony emigranci z Rosji mylą wolność z anarchią i bałaganem, o co w Izraelu i tak zresztą nie trudno. Z drugiej strony nie wierzą, że dziennikarz w telewizji czy gazecie może wyrażać coś innego niż poglądy szefa, KC, rządu. Odwiedziłem pewnego inżyniera, świetnie już urządzonego, ale ciągle mówiącego szeptem, nieufnego, pytającego: „a wy skąd, a kto was przysłał, po co, co napiszecie, tylko bez nazwisk i detali” itd. W końcu rozgadał się, po to tylko, aby napaść na popularnego pisarza Dan Ben Amoz'a, który w TV powiedział, że gdyby był o 20 lat młodszy to wywiałby z Izraela. Amozowi, znanemu z szybkości i ostrości myśli, chodziło, to jas-

ne, o prowokację intelektualną, o poruszenie wyobraźni słuchacza. Ale Rosjanie na żartach się nie znają, uważali, że to skandal, nie wierzyli, że państwo nie było w stanie przeszkodzić audycji.

Pewien były profesor uniwersytetu, to prawda, że z jednej z republik azjatyckich, wystosował memorandum do władz izraelskich domagając się zaprowadzenia cenzury pocztowej, kontroli listów wysyłanych przez emigrantów do ich rodzin lub przyjaciół w ZSSR. Ponieważ nie wszyscy są tu szczęśliwi, i dają temu wyraz w listach przechwytywanych przez władze sowieckie, a następnie wykorzystywanych w prasie w ZSSR. Ów profesor uważa, że należy je kontrolować, albowiem obniża to liczbę kandydatów do emigracji.

Jest to więc stanowisko dokładnie przeciwne do poglądów intelektualistów izraelskich, którzy uważają, że właśnie w kraju, gdzie sytuacja polityczna i wojskowa uzasadniałyby pewne tendencje bonapartystowskie, wolność słowa musi być całkowita, nawet jeżeli nieraz jest nadużywana. Jak to zauważył jeden z moich rozmówców: „Nowi nie są w stanie pojąć tego co przeżyli ci, którzy musieli stoczyć cztery wojny aby uratować cud, jaki się dokonał na tym skrawku pustyni. Starzy nie są w stanie pojąć tych, którzy musieli tyle przeczekać, aby oderwać się od ziemi rosyjskiej i trafić do ziemi obiecanej. Czy jednak, do jasnej cholery, nie nacierpieliśmy się wszyscy dosyć, aby przestać już nawzajem sobie zarzucać, żeśmy nie dość cierpieli...”.

Na którym przystanku...?

Pierwszy znak wolności dla Żydów wyjeżdżających z Rosji jawi się pod postacią austriackiego policjanta w asyście ogromnych wilczurów. Trzy razy dziennie, o godz. 7.20, 12.20, i 20.20 wjeżdża na Sud-Banhoff Wien express z żywym towarem. Przed wojną w Palestynie pytano emigrantów: „Czy pan przyjechał z własnej woli czy z hitlerowskich Niemiec? Dziś pierwsze pytanie na dworcu wiedeńskim brzmi: „Czy pan wyjechał z własnej woli aby mieszkać w państwie żydowskim, czy też uciekł pan z ustroju sowieckiego?”

Ze 100.000 Żydów sowieckich (do 15 listopada 1974), ponad 4.000 odpowiedziało „nie” od razu na dworcu austriackim i obecnie albo czekają na wizy do USA, Kanady, Australii (byłe dalej od granic ZSSR, powiadają) albo już tam dotarli. Dalszych kilka tysięcy powiedziało „lo” czyli po hebrajsku „nie” już w Izraelu, po paru miesiącach próby.

Jehuda Dominitz, wicedyrektor Sohnutu, obala, w swym indywidualnym przypadku, stereotypową fatalną opinię, jaką świat ma o jego instytucji. Po pierwsze mówi jasno i inteligentnie, konkretnie, sypie danymi, nie ukrywa trudności i błędów, traktuje dziennikarza nie jako kłeskę żywiołową czy zło konieczne, ale jako normalne zjawisko we współczesnym świecie, czasem nawet pożyteczne. Po drugie, zaprosił mnie na obiad do jednej

z nielicznych dobrych knajp w żarłocznym, kosmopolityczno-lewatynskim centrum Tel Avivu. Jest to kosztowna restauracja w gmachu wybudowanym przez religijnych (i bogatych) syjonistów amerykańskich.

Przy rybie (naprawdę po żydowsku) dowiedziałem się, że każda fala emigracyjna miała swoich „jordim” czyli tych co „schodzą” z Izraela. Z aliji Ben Guriona wyjechało ok... 90%. Między 1880 a 1967 dzisiejszy Izrael przyjął 20.000 emigrantów z USA, a wysłał do USA... 200.000 swych mieszkańców. Dobry interes, nawet dla USA. Jedna trzecia emigrantów, którzy przybyli z USA w euforii po wojnie sześciodniowej, już wyjechała z powrotem do domu. Odrzuty z przeszczepu sowieckiego są (na razie) najniższe ze wszystkich aliji. Oczywiście, częściowo bierze się to z braku innej perspektywy, ze strachu przed nową tułaczką. Ale, mówi Jehuda, większość tu zostaje, bo chce tu mieszkać, choć życie nie jest łatwe. Jak pan myśli — może oni kochają ten kraj?”

Może. Ok. 800 „jordim” dotarło do Belgii, 500 do Berlina zachodniego, kilkuset mieszka we Wiedniu, kilkuset w Rzymie, ponad 1.000 już jest w USA i gdzie indziej.

Przy kaczce pokazałem Dominitzowi artykuł z brukselskiego organu. „Orientujemy się w kampanii jaka rozpętała się w Europie Zachodniej (o Wschodniej nie warto nawet wspominać) wokół wyjazdów z Izraela. Nagle okazało się jak bardzo znowu nas kochają, pod warunkiem oczywiście, że się znajdujemy w trudnej sytuacji. Szmatławiec, który mi pan pokazuje, nie liczy się oczywiście, wystarczy zapytać dlaczego nie porozmawia z tymi, co opuszczają ojczyznę socjalizmu, albo z tymi co chcą, ale nie mogą stamtąd wyjechać. Nawet jednak poważne pisma łały krokodyły łzy. Czy wyobraża pan sobie co napisaliby, gdybyśmy tak zabronili wyjazdów z Izraela. To jest jednak kraj demokratyczny, pozwoli pan nieskromnie dodać, jeden z niewielu krajów demokratycznych w tej strefie świata: od nas można wyjechać, jeżeli dysponuje się odpowiednimi środkami finansowymi. Trudno przecież spodziewać się abyśmy finansowali emigrację, re-emigrację i re-re-emigrację, bo i taka jest...”.

Przy kawie porównaliśmy nasze wnioski. Przystanki, na których sowieccy Żydzi wysiadają z izraelskiego tramwaju nazywają się kolejno: strach przed wojną, ciężkie warunki gospodarcze, biurokracja, trudności integracyjne i oschłość otoczenia, wreszcie nadzieja na szybszą i lepszą karierę zawodową, artystyczną, studia, itd. Tak jak i inny powód, który przekazał mi pewien młody człowiek. Powrócił on już po raz drugi do Izraela. „Kiedy udało mi się nareszcie wyrwać z Rosji, pomyślałem sobie: teraz czas na turystykę. Póki można trzeba jeździć na cudzy, naturalnie, koszt, zobaczyć kawałek świata. Izrael mnie zawsze przyjmie”. I rzeczywiście. Tak jak wreszcie i ten ostatni powód, zreferowany przez 23-letniego kamasznika z Gruzji nazwiskiem Beberaszwilli. Facet zostawił w Izraelu 17-letnią żonę... z trojgiem już dzieci i pojechał do Belgii, bo w Izraelu kamaszników nie

trzeba, a kolega z Belgii mu napisał, że tam jest prawdziwy raj. Beberaszewi wszystko sprzedał, pojechał, teraz już wrócił do Izraela, bo Belgia to nie raj, kamaszników nie znają. Idzie do szkoły, będzie policjantem.

Kropkę nad „i” postawił kelner w wiedeńskim *snack'u*, gdzie przystanąłem wracając z Izraela. Był to Żyd z Rosji, trafił do wiedeńskiego baru via Tel Aviv. „Ja proszę pana, jestem technikiem dentystycznym, ale nie znalazłem pracy w Tel Avivie, ani w Jerozolimie, a nie po to opuściłem Leningrad aby robić protezy na pustyni...”.

— No, dobrze, ale dlaczego nie podaje pan kawy swoim w Izraelu, a tylko antysemitom w Wiedniu? — spytałem naiwnie.

— Co, u swoich mam się przyznać do deklasacji! Nigdy! — odpowiedział.

Munich connection

To właśnie ów osobnik opowiedział mi historię „*Munich connection*”. Kiedy w lutym 1974 roku grupa rozczarowanych Izraelczyków emigrantów, oczekujących beznadziejnie w Wiedniu na wizy do ZSSR, okupowała sowiecki konsulat, TASS ogłosił oficjalnie, że szlus, i że żadne zezwolenia na powrót do ZSSR nie będą już udzielane tym co zdradzili i ośmielili się zrezygnować z obywatelstwa sowieckich. Zaskoczenie było więc kolosalne, kiedy pewien bucharski Żyd, zdecydowany wrócić do swej Azji, otrzymał nieco później od urzędnika konsulatu taką dziwną odpowiedź: „W zasadzie, wiz nie ma, no, ale władza sowiecka czuła na ludzkie cierpienie, więc gdyby was tak była solidna grupa, no to ewentualnie...”.

Ruszyły listy i nawet emisariusze między Wiedniem a Tel Avivem. Po czym ruszyła *connection*. Kandydaci na powrót do ZSSR zgłaszali się najpierw do konsulatu NRF w Izraelu, otrzymywali tam wizę turystyczną po wpłaceniu 2.700 DM jako gwarancji czasowego charakteru podróży. Kiedy „turyści” lądowali w Monachium przejmowali ich pośrednicy, którzy za niewielką opłatą przetrzymywali ich przez faktycznie nieistniejącą granicę między NRF a Austrią. W Wiedniu zgłaszają się do konsulatu NRF, który zwraca im gwarancję, ok. 10.800 szylingów, po kursie dnia. Jest ich już ok. 90. Ciągłe czekają... Grupa, widać, nie dosyć solidna...

Dlaczego Rosjanie odmawiają powrotów, tak przecież wygodnych z propagandowych względów? Odpowiedź to: KGB i psychologia. Rosjanie mianowicie przekonani są, że izraelski wywiad postępuje dokładnie tak samo jak KGB i że tak jak w fali do Izraela znajdowali się agenci sowieccy, tak strumyk powrotny niesie szpiegów izraelskich. Ogromna większość (tak sądzą Izraelczycy) emigrantów zwerbowanych przez KGB zgłosiła się natychmiast po wyładowaniu do władz izraelskich, które oczywiście wyciszają sprawę. Tak było w przypadku pewnej znanej śpie-

waczki, która musiała podpisać zobowiązanie do pracy dla KGB, aby móc dostać paszport. Teraz już śpiewa bez żadnych fałszywych tonów. Tragiczny był natomiast przypadek pewnego inżyniera, który zgłosił się do władz w Tel Avivie komunikując, iż KGB kazało mu czekać na sygnał od szefa siatki na miejscu. Inżynier popełnił samobójstwo, kiedy okazało się, że szefem jest jego... żona.

Rosjanin na French Hill w Jerozolimie

Zapadł wieczór. Przysiedliśmy na murku na French Hill, nowym osiedlu w Jerozolimie, jednym z elementów rezydencyjnego pasa jaki otoczy całe miasto. Mieszka tu już wielu emigrantów z Rosji. Mój towarzysz wybitny intelektualista rosyjski, jeszcze przed kilku tygodniami brał udział w strajku *sit-in* przed najwyższym sowietem w Moskwie. Teraz rozciągał się przed nami pogrążony w dziwnym, różowawym świetle zmierzchu, niepokojący, niesamowity pejzaż Judei.

„Wyjazdy z Izraela, zagrożonego i biednego, są tak stosunkowo nieliczne, że choć za każdym takim wyjazdem kryje się ludzki dramat, to w warunkach izraelskich, stanowią one w istocie znak siły, a nie słabości tego kraju. Tak zwani postępowcy, którzy z wygodnej, dostatniej, burżujskiej Europy Zachodniej, gdzie jedną z racji bytu jest swoboda ruchu, udzielają nam lekcji, z których ma wynikać, że wyjazdy z Izraela stanowią dowód fiaska syjonizmu, to albo intelektualni małwersanci albo hipokryci. Sartre, którego oni tak ubóstwiają, powiedział: 'Los Żydów tak się układa, że cokolwiek zrobią, to się zawsze przeciwko nim obróci'. Postaramy się wykazać, że Sartre się mylił”.

Powiedział to jeszcze po rosyjsku, ale już z hebrajskim akcentem...

BRUKSELCHYK

Pisane 3 marca 1975 r.

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Z każdym dniem narasta w Związku Sowieckim ofensywa ideologiczna. Pojawił się nowy wróg, walka z którym przybiera jak najróżniejsze formy. Tak się szczęśliwie składa, że państwo sowieckie zawsze miało wrogów: ledwie jeden z nich został zniszczony — wyznaczano innego. Po zlikwidowaniu wszystkich białogwardyjców, kułaków, szkodników, terrorystów marzących o zamachach na Stalina, filatelistów i esperantystów, w ostatnich latach obowiązki wroga wykonywali syjoniści. Syjoniści jako wróg mają wiele zalet: są pod ręką — mądry naród sowiecki już od dawna się domyślił, że syjoniści to są po prostu Żydzi — ale ta wielka zaleta staje się jednocześnie niewygoda. We wszystkich przedsiębiorstwach, fabrykach, we wszystkich kolchozach i urzędach odbyły się zebrania demaskujące izraelską soldateskę i syjonistów, planujących przechwycenie władzy nad światem. Czas już wydać rozkaz: Bić Żydów i ratować komunizm! Jednak, z pewnych względów zwleka się z wydaniem takiego rozkazu. Co prawda na prowincji, z dala od kulturalnej Moskwy, przygotowują się już do tego: w Winnicy aresztowano doktora Michaiła Szterna i długo szukano najbardziej odpowiedniej formy oskarżenia. W liczbie proponowanych było również oskarżenie o trucie niemowląt (w swoim czasie mówiono: chrześcijańskich, obecnie — naszych, sowieckich). Na Zachodzie jednak rozległy się niezadowolone głosy (zawsze ci sami syjoniści!), trzeba więc było skazać doktora na 8 lat za branie łapówek. Tu już nie może być niezadowolonych: w Związku Sowieckim wszyscy obowiązani są brać łapówki.

Ale od niedawna z powodzeniem zastępują uprzykrzonych syjonistów — emigranci. O syjonistach ma się rozumieć nie zapomniano, ale stali się oni jedynie sosem, w którym podaje się główne danie — emigrantów.

Nowy wróg posiada oczywiste zalety. Nie ma go co prawda pod ręką, ale za to pod ręką są ci, którzy utrzymują z nim kontakt (albo potencjalnie mogliby utrzymywać). Po drugie emigrantów jest coraz więcej. Można więc ustalić całą hierarchię, całą gamę i wygrywać najbardziej złożone melodie. Niedawno na przykład *Literaturnaja Gazieta* wyliczyła następujące kategorie: „emigracyjne wyrzutki” nimi „powoduje nostalgia za przedpaździernikowym okresem”, „zdrajcy, służący nazistom”, ci „odczuwają żal, że w 1945 roku zwyciężył nasz naród i nasz ustrój”, wreszcie „literaccy własowcy” — ci zaś „wyobrażają sobie, że są bojownikami za wolność ducha”.

Jest jeszcze i inny powód, dla którego kierownictwo sowieckie otacza tak czujną uwagę emigrację: rosnąca fala nowej emigracji i ożywiona jej działalność — druk książek Sołżenicyna, ukazanie się czasopisma *Kontynent*, książek Siniawskiego, Maksimowa...

W walce z nowym wrogiem stosuje się metody w pierwszym rzędzie stare i wypróbowane, ale również i inne — nieoczekiwane. Do najbardziej wykorzystywanych, można by powiedzieć normalnych, należy proces. W końcu lipca 1974 został aresztowany pisarz Władimir Maramzin, który 19 lutego br. stanął przed sądem z oskarżenia o antysowiecką agitację i propagandę. 70 paragraf kodeksu karnego obejmujący to przestępstwo przewiduje karę do 7-miu lat pozbawienia wolności. Również 9 lat temu, w lutym 1966, Andriej Siniawski został skazany z tego samego paragrafu i oskarżenia na 7 lat łagrów a Julij Daniel na 5 lat.

Głównym oskarżeniem przeciwko Wł. Maramzinowi było opracowanie i przesłanie na Zachód 5-ciotomowych „Dzieł Zebranych” jego przyjaciela, poety Josifa Brodskiego. Ponadto Maramzin był oskarżony o wysyłanie na Zachód własnych utworów. Właśnie w przeddzień procesu, w 2-im numerze *Kontynentu* ukazało się znakomite opowiadanie Maramzina „Historia małżeństwa Iwana Pietrowicza”.

Przez 9 lat po procesie Siniawskiego i Daniela sowieckie organa śledcze miały nie mało sukcesów. Proces Maramzina był na takim samym ideologicznym poziomie jak proces Jakira i Krasina półtora roku temu.

Widocznie ten scenariusz jest już wypróbowany i zatwierdzony przez odpowiednie władze. Aresztowanych trzyma się szereg miesięcy w więzieniu, tam uzyskuje się od nich przyznanie się do winy i skruczę (możliwe, że niedługo będzie już wiadomo jakie stosuje się w tym celu metody), a potem prowadzi się na salę sądową. „Skruszony” dysydent demaskuje emigracyjnych agentów, którzy go uwiedli i wykręca się normalnym wyrokiem.

Sprawa Wł. Maramzina była rozegrana dokładnie według tego scenariusza, ale z charakterystycznymi modyfikacjami. Gdy tylko Maramzin w więzieniu, w przeddzień procesu, pokajał się, natychmiast napisał list do paryskiego pisma *Le Monde*. Sowiecka Agencja Prasowa TASS również natychmiast poinformowała o tym cały świat dodając, że list Maramzina przesłał do paryskiej gazety jego adwokat (jak wiemy, w Związku Sowieckim

jest to zupełnie proste: i uwięzieni i adwokaci nic innego nie robią, jak tylko korespondują z prasą burżuazyjną). *Le Monde* jednak oświadczył, że list Maramzina otrzymał nie od adwokata aresztowanego, ale z sowieckiego ministerstwa Spraw Zagranicznych. Drugą osobliwością procesu była rzadka nawet dla sądu sowieckiego niejasność oskarżenia: „Przygotowanie i rozpowszechnianie antysowieckiej literatury” ale jakiej — nie powiedziano. Sołżenicyn pisze, że Iwana Denisowicza Szuchowa oskarżono o zdradę ojczyzny, o to że uciekł z niemieckiej niewoli z zadaniem. „Z jakim zadaniem — ani sam Szuchow ani śledczy nie mogli wymyśleć. Tak więc po prostu zostawili — zadanie”. I Wł. Maramzinowi tak samo po prostu zostawiono: „antysowiecka literatura” i skazano na 5 normalnych lat.

W powołanym oświadczeniu TASS'a, w którym mówi się o liście Maramzina do *Monde'u*, wskazywano, że łączność z zagranicą — przesyłkę literatury — Maramzin załatwiał za pośrednictwem dwóch Francuzów. Paryż, gdzie, jak na gust sowiecki, zebrało się już (znowu) za dużo emigrantów, był głównym celem procesu Maramzina. Ostrzeżeniem dla władz francuskich.

Drugi front ofensywy ideologicznej wskazała *Literaturnaja Gazieta* 26 lutego br. W ogromnym, całostronicowym artykule wyłaniającego się z nicości Grigorja Kozłowa, pod atrakcyjnym tytułem „Rzym, ulica Lutezia, dom Nr 8” informuje on o działalności pewnej strasznej organizacji MLA (Międzynarodowa Literacka Agencja). W artykule mówi się, że MLA została stworzona przez CIA dla rozpowszechniania wśród ludzi sowieckich wszelkiego rodzaju wrogiej „literatury”. Grigorij Kozłow bierze słowo literatura w cudzysłów gdyż sprawa dotyczy dywersji ideologicznej, której zadaniem jest „podważenie naszego ustroju”. Z miejsca musimy odnotować, że w całym tym ogromnym artykule nie wymieniono ani jednego tytułu książki rozpowszechnianej przez MLA, za to szczegółowo wyliczono wszystkie adresy: w Rzymie, w Paryżu, w Londynie, w Sztokholmie i w innych miastach, w których bezpłatnie rozdaje się wrogą literaturę; podane są nawet nazwiska kierowników lokalnych ośrodków MLA.

Ta pożyteczna informacja była — jak można przypuszczać — przyjęta z zadowoleniem przez wszystkich obywateli sowieckich, którzy mają szansę wyjechania do „gnijącej ale jeszcze przepięknej zagranicy”. Ale naturalnie nie to było zamiarem Kozłowa i jego chlebobdawców. Grigorij Kozłow kokietuje swoją znajomością przedmiotu: chce powiedzieć — ja, to jest my, nasze organy — wszystko wiemy. A wiedzą dlatego, że zjawiał się u nas były kierownik MLA, Amerykanin Geither Stewart i wszystko opowiedział.

Kim jest Stewart — nie bardzo wiadomo. Czy jest to nowy doktor Sorge czy nowy kapitan Czechowicz? Zjawiał się on u swoich sowieckich kolegów w lipcu 1974 a wyprowadzono go na wszechzwiązkową i międzynarodową scenę w lutym 1975. Jed-

nocześnie z pokajaniem się Maramzina. To jest znowu ostrzeżenie — nie tylko dla ewentualnych sowieckich wizytantów centrów MLA, ale przede wszystkim dla emigrantów i dla rządów, które udzieliły im gościny: MY WSZYSTKO WIEMY.

Dzisiaj, kiedy demaskowanie działalności CIA jest tak modne, informacja o powiązaniach MLA z amerykańskim wywiadem i syjonistami, zdaniem KGB (dawno uznanego na całym świecie za fundament pokoju) powinna być poważnym ciosem dla emigrantów.

Trzeci front wojny ideologicznej jest bardziej oryginalny. W ostatnich czasach używa się w tej wojnie coraz więcej nieortodoksyjnych metod. Wystarczy powiedzieć, że w czasie procesu Maramzina władze moskiewskie pozwoliły „nieoficjalnym malarzom” zorganizować oficjalną wystawę w oficjalnym lokalu — mianowicie w pawilonie hodowli pszczoł na Wystawie Osiągnięć Narodowej Gospodarki. Był to — jak mówią wojskowi — manewr opóźniający. Do tego rodzaju manewrów można, jak mi się wydaje, zaliczyć ukazanie się w Moskwie 1-go numeru nowego samizdatowego „społecznego, politycznego i literackiego” pisma *XX Wieku*.

Założyciel i redaktor naczelny pisma, Roy Miedwiediew oświadczył, że pismo „będzie kierować się troską o rozwój społeczeństwa socjalistycznego w ZSSR na bazie połączenia socjalizmu z demokracją”. Pismo ma się ukazywać raz na dwa, trzy miesiące, jego łamy otwarte są zarówno dla marksistów jak i dla nie-marksiistów. Pismo jest interesujące z wielu powodów. Przede wszystkim ze względu na swoją treść. Zamieszczono w nim pierwszą część pamiętników starego łagiernika, Dmitria Witkowskiego, który powinien być być redaktorem „Archipelagu Gułag”. Witkowski — jak pisze Sołżenicyn — umarł „przeczytawszy tylko szereg wykończonych rozdziałów i przekonawszy się, że wszystko będzie tam powiedziane. Pamiętniki Witkowskiego chciał w swoim czasie ogłosić Twardowski w *Nowym Mirze*, ale nie otrzymał zezwolenia. Teraz ogłasza je Roy Miedwiediew jako odpowiedź na „Archipelag”, jako głos zza grobu człowieka „który przeszedł w łagrach nieporównanie więcej od Sołżenicyna, nie utraciwszy jednak wiary we władzę sowiecką”. Sam redaktor ogłosił w *XX Wieku* swoją pracę o autorstwie „Cichego Donu” w wielu wypadkach potwierdzając, a nawet powtarzając, wywody autora książki „Strzemię Cichego Donu” wydanej z przedmową Sołżenicyna. Anonimowy autor zamieścił w *XX Wieku* odpowiedź na „List do wódzów Związku Sowieckiego” Sołżenicyna nazywając go „nierealnym, utopijnym i reakcyjnym”. Siergiej Jełagin (możliwe, że jest to pseudonim) poświęcił artykuł „krwawemu chrześcijaństwu Władimira Maksimowa”, redaktora pisma *Kontynent*. Michaił Jakubowicz, były mienszewik, który stał się płomiennym bolszewikiem i odsiedział 26 lat w łagrze, napisał wspomnienia sprzed dnia rewolucji. M. Jakubowiczowi Sołżenicyn poświęcił prawie cały rozdział w I-szym tomie „Archipelagu Gułag”. Znana jest ich korespondencja. Jednak w ostatnich cza-

sach Jakubowicz prowadzi gwałtowną kampanię przeciwko autorowi „Archipelagu” i nawet wystąpił w antysołżenicynowskim filmie, przygotowanym przez Agencję Prasową „Nowosti”.

Nawet z tak skróconego podania treści pisma *XX Wiek* jego tendencja jest jak najbardziej widoczna. Pismo jest poświęcone demaskowaniu przestępstw Stalina — i tylko Stalina. Pismo wyrywa Sołżenicynowi monopol na demaskowanie stalinizmu, aby uniemożliwić rozszerzenie demaskacji na Lenina, na ustrój sowiecki. Pismo jest pomyślane — i tu nie ma żadnej wątpliwości — jako konkurencja dla *Kontynentu*. Będąc wydawnictwem „samizdatowym” *XX Wiek* ma niewątpliwie możliwość przeciwstawić się działalności emigracyjnego *Kontynentu*. Dziwnym zbiegiem okoliczności stanowisko Sołżenicyna, który lekceważąco traktuje emigrację, przydaje wagi *XX Wiekowi*.

Włączyłem pismo Roya Miedwiediewa do rządowej walki z emigracją — chociaż nie ma żadnej wątpliwości co do osobistej uczciwości historyka stalinizmu. Jednak jego artykuły, jego pismo, biorą aktywny udział w tej walce. Może nie jest zbyt właściwe cytowanie Sołżenicyna w związku z działalnością Roya Miedwiediewa gdyż tak zdecydowanie wrogo są oni do siebie nastawieni. Niemniej wydaje mi się ścisłą oceną Roya Miedwiediewa zrobiona przez Sołżenicyna na konferencji prasowej w Stockholmie: „Roy Miedwiediew nie należy w ścisłym tego słowa znaczeniu do inaczej myślących w ZSSR. Jemu osobiście nic nie zagraża, gdyż w zasadzie broni on reżymu bardziej inteligentnie i bardziej giętko niż może to robić oficjalna prasa”.

Ukazanie się *XX Wieku* jest znamienne nie dlatego, że „mądry i giętki” obrońca ustroju sowieckiego zaczął wydawać pismo, ale dlatego, że dano mu taką możliwość, że organizatorzy ideologicznej walki zdecydowali się wykorzystać tak nieortodoksyjną i bodajże bardzo niebezpieczną broń. Zgoda na „opozycję Jego Królewskiej Mości” jest świadectwem znaczenia przeciwnika. Niebezpieczeństwo polega na tym, że opozycja Jego Królewskiej Mości może się przekształcić w opozycję *tout court*.

Adam KRUCZEK

«Jeszcze Ukraina nie zginęła...»

Università rediviva

VERITAS ET AMOR SCIENTIÆ UNIT DISPERSOS, „prawda i miłość nauki łączy rozproszonych” (po świecie Ukraińców) — taki napis widnieje na fasadzie nowoczesnego budynku Katolickiego Uniwersytetu Ukraińskiego w Rzymie (via Boccea 478). Uczelnia, powołana do życia w roku 1963 dzięki staraniom kardy-

nała Slipyja, mieściła się początkowo w klasztorze grecko-katolickiego zakonu studystów w Castelgandolfo. W roku 1969 uzyskała stałą siedzibę kiedy ukończono budowę nowego budynku, jaki wzniesiono łącznie z bazyliką Santa Sofia na mało dotąd zabudowanym obszarze przedmieścia, na zachodnim krańcu Rzymu. Budynek uniwersytetu otoczony jest rozległą przestrzenią starannie utrzymaną. Przed frontem: pomnik Tarasa Szewczenki, narodowego wieszcza ukraińskiego, w todzie oratorskiej i wyrity na cokole napis: „Uczcie się bracia moi”. Nowoczesny budynek nie razi kontrastująco, jako że sąsiadujący kościół Santa Sofia, nie udaje zabytku. Jak wszystkie kościoły pod wezwaniem „świętej mądrości”, nowa bazylika w stylu bizantyjskim nawiązuje do pierwowzoru konstantynopolańskiego, jak również do katedry kijowskiej, wzniesionej przez ks. Włodzimierza. Jej architektoniczny i bogaty wystrój wnętrza — mozaiki, malowidła ściennie i ikonostaz — ma charakter tradycyjny, ukraiński. W czasie uroczystej inauguracji, na jaką przybyło kilka tysięcy delegatów z ukraińskiej diaspory, Paweł VI poświęcił obydwa budynki. Do kościoła przeniesiono wówczas relikwie papieża św. Klemensa (uważanego za patrona obrządków wschodnich), męczennika, zesłanego na wygnanie w I wieku przez cesarza Trajana do Chersonesu (rejon dzisiejszej Odessy). W IX wieku apostoł Słowian, św. Cyryl, dotarł z Bizancjum na Ukrainę i odnalezione relikwie papieża-męczennika przywiózł do Rzymu. Uniwersytet Ukraiński jest dedykowany patronowi San Clemente Papa. Do tych dwóch świętych, Cyryla i Klemensa, nawiązał Paweł VI w swym przemówieniu inauguracyjnym, podkreślając „tradycyjne i duchowe więzy jakie łączą Kościół rzymski i Kościoły wschodnie”.

Uniwersytet ten ma swą krótką historię związaną z Polską. W roku 1927 utworzono we Lwowie ukraińską Akademię Teologiczną. Nie mogła ona jedna nadawać dyplomów i stopni naukowych. Zabiegi o uzyskanie tego przywileju w watykańskiej Kongregacji dla Seminariów i Uniwersytetów, spełżyły na niczym. Akademia, gdyby miała pełne prawa publiczne, dysponując trzema fakultetami, przyciągnęłaby większą liczbę młodzieży, a nie tylko tych, którzy zamierzali poświęcić się stanowi kapłańskiemu. To co leżało w interesie Kościoła Powszechnego, tzn. przygotowanie inteligencji ukraińskiej do stawiania czoła wojującemu ateizmowi i penetracji komunizmu — Kuria Rzymska storpedowała. Młody wówczas ksiądz, wykładowca, a później rektor akademii, Josyf Slipyj, skierował swe starania w inną stronę. Skoro nie Rzym, może Warszawa okaże się przenikliwsza? Dzięki pomocy doskonałego dyplomaty i światłego człowieka, jakim był amb. W. Skrzyński, zabiegi te przyniosły pożądany skutek. Decyzja zapadła na wiosnę 1939 roku — przyszło lato, a potem wybuch wojny — zabrakło zarządzenia ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. W roku 1944 władze sowieckie uczelnię zlikwidowały. Po niemal 25-letniej przerwie zaczął się dla katolickiego uniwersytetu ukraińskiego nowy, rzymski etap. Kard.

Slipyj nie musiał zwracać się o pozwolenie do watykańskiej kongregacji. Powołał się po prostu na decyzję władz Rzeczypospolitej i uczelnię do życia wskrzesił. Istnieją dziś dwa fakultety: teologiczny i filozoficzny. Wykłady na razie mają charakter uzupełniający: obejmują te przedmioty jakich brak na papieskich uniwersytetach rzymskich, gdzie kształcą się studenci ukraińscy. Tu zaś uczą się liturgii i historii obrządku grecko-katolickiego, katechetyki i śpiewu. Latem odbywają się ponadto doroczne akademickie kursy dokształcające, przeznaczone dla studentów świeckich i seminarzystów, studiujących w obu Amerykach i Australii. Rzecz interesująca: oprócz tematyki z historii literatury i sztuki ukraińskiej, uczestnicy tych kursów zaznajamiają się również z problematyką religijną w dziełach współczesnych pisarzy rosyjskich! Każdy z nich wie kim jest Siniauskij, Maksimow i oczywiście Sołżenicyn, choć docierają do nich raczej przekłady angielskie, a nie oryginały utworów tych pisarzy. Istnieją plany, by przejść na wykłady kompletne po ukraińsku w zasadniczym programie akademickim, ale można to będzie zrealizować jedynie etapami z uwagi na wielkie trudności organizacyjne związane z doбором wykładowców i ściągnięciem ich z krajów zamieszkania oraz przygotowaniem skryptów. Nie napotykać natomiast na przeszkody coroczne przyjazdy studentów. Sytuacja w USA czy Kanadzie dla katolików ukraińskich jest łatwiejsza niż dla polskiej diaspory — podlegają bowiem jurysdykcji własnej hierarchii, dzięki czemu mogą skutecznie opierać się asymilacyjnym tendencjom. Uniwersytet posiada bogaty księgozbiór, archiwum i muzeum nauk przyrodniczych (muzeum sztuki mieści się gdzie indziej, w budynku wiekowego, dawnego kolegium rusińskiego, w starym Rzymie). Zdaniem ekspertów katolickich obrządku łacińskiego, teologia i filozofia wykładane na uniwersytecie ukraińskim są na wysokim poziomie. Z działalności pedagogiczną wiąże się działalność wydawnicza (wydano dotąd około setki prac naukowych, monografii źródłowych z zakresu teologii, historii i literatury ukraińskiej — zwraca uwagę poważna seria wydawnicza „Bohoslovija”) i ruch naukowy, promieniujący obecną w przyszłość. Sam kard. Slipyj przyjeżdża tu często, nie tylko na inspekcję jako rektor uczelni; czynnie sam pracuje naukowo nad przekładem na ukraiński tekstów liturgicznych z języka starosłowiańskiego (tzw. cerkiewnego). Ten niezwykle miary człowiek i dostojnik Kościoła powołał do życia uczelnię, która niezależnie od pełnienia właściwej misji dydaktycznej, stała się ośrodkiem kulturalnym łączącym rozproszony lud ukraiński i czyni go wrażliwym na wiekową aspirację urzeczywistnienia własnego patriarchatu w unii ze Stolicą Apostolską.

Wigilia u kardynała

W tej właśnie uczelni, 6 stycznia, przy stole wigilijnym („święta wczera”, wigilia Bożego Narodzenia, obchodzona przez ukraińskich unitów według starego stylu) zgromadziło się kilkadziesiąt osób: duchowni, profesorowie i studenci. Gospodarz, J. Em. kard. Slipyj, zaprosił do wspólnego stołu ponadto trzech przyjaciół włoskich i dwóch polskich: dominikanina, prof. „Angelicum”, Ojca Feliksa Bednarskiego i waszego korespondenta.

Kiedy kardynał obchodził wszystkich podając „prosfora” (hostia w obrządku unickim — kosteczki z wypiekanej maki uprzednio pobłogosławione) nie mogłem oprzeć się wzruszeniu. Odżyły mi w pamięci wspomnienia jakimi dzielił się ze mną w dzieciństwie mój zmarły ojciec, wielkopoleśnianin „po mieczu”, który po matce i babce duchowo zawsze był bliższy i serce go zawsze ku Litwie i Ukrainie ciągnęło. Przy barszczu, rybie, faszerowanej kapuście i kutii — rozmawiano po ukraińsku, po polsku i włosku. Śpiewaliśmy chórem kolędy — niektóre o tej samej melodyce jak nasze. Zabrało głos dwóch mówców. O. Bednarski, siedzący po prawej ręce kardynała, w imieniu własnym i moim, nawiązał do dawnej tradycji na Wschodzie, kiedy Polacy i Ukraińcy po bratersku wzajemnie zapraszali się do swych domów na Boże Narodzenie. „Tego rodzaju spotkania rodzinne jak dzisiaj — powiedział — powinny nie tylko odrodzić tę tradycję, lecz zapoczątkować zbliżenie i współpracę obydwu narodów”. Po tej polskiej inwokacji złożyliśmy hołd kardynałowi, który podziękował zwyczajowym objęciem przez ramię. Mniej może *à propos* przemówił po włosku młody prałat z watykańskiej Kongregacji dla Kościołów Wschodnich. Z typową włoską emfazą, choć na pewno w dobrej wierze, mówił o „Ukrainie katolickiej — źródle natchnienia dla wszystkich katolików”. Zagalopował się jednak kiedy, wspominając swą podróż do Kijowa z kard. Willebrandsem (prefektem Sekretariatu dla Jedności Chrześcijan) perorował z przejęciem na temat zaobserwowanej tam żywotności religijnej (podczas nabożeństwa w katedrze — oczywiście prawosławnej). Ukraińskich duchownych przecież nie widział, tak jak nie widział ani jednego otwartego kościoła, a jeśli to zamieniony na prawosławną cerkiew, muzeum antyreligijne czy skład. Nie mógł być aż tak nieorientowany, by nie wiedzieć o prześladowaniach duchownych unickich, których duża część przed przymusowym podpisywaniem deklaracji o przejściu na prawosławie, uciekła do Polski lub wywieziona została do łagrów. Kard. Slipyj wysłuchał tego potoku słów niewzruszony — zapewne jest już otrzaskany z tego rodzaju popisami krasomówczymi, stanowiącymi wyraz zapatrzenia się Watykanu w świat prawosławia i tzw. dialog, który nie może inaczej być podejmowany niż kosztem narodu ukraińskiego, kosztem Unii i także Polski (na szczęście reszta „dialogu” ten nie rozwija się zupełnie, włożony do lodówki, skąd wydobywa się go przy rzadkich okazjach dla propagandowych fajerwerków).

Jednym z głównych tematów rozmów jest zagadnienie polsko-ukraińskiego zbliżenia. Siedzący obok mnie i naprzeciw księży (m.in. salezjanin uczący w małym seminarium ukraińskim), wyrażają się z aprobatą o *Kulturze*. Wszyscy tu o niej wiedzą, wielu

stale czyta — z uznaniem kwitują nie tylko „kronikę ukraińską”, ale zwłaszcza wszelkie aktualne odniesienia do Ukrainy i koniecznego porozumienia naszych narodów, pochodzące z kraju (jak w przemówieniu ks. Zieji w Warszawie w rocznicę sowieckiego „noża w plecy” 17 września czy w programowej relacji „Polityczna opozycja w Polsce” w nr. 11 (1974) *Kultury*). Tematem wymiany zdań jest również *Kontynent*, nowe pismo, którego czołowi przedstawiciele, Sołżenicyn, Maksimow, Siniański i Niekraśow, przesłali telegram gratulacyjny kardynałowi Słipyjowi z okazji obchodzonej 22 grudnia 30-letniej rocznicy objęcia godności metropolity lwowskiego i głowy Kościoła Ukraińskiego (po śmierci metropolity Andrzeja Szeptyckiego). Ojciec Bednarski przypomina, że w roku 1940 we Lwowie składał mu wizytę razem z ojcem Jackiem Woronieckim, nie wiedząc, że był już wówczas od roku potajemnie konsekrowany na biskupa (jubileusz obchodzony był więc podwójny: także 35 rocznicy sakry biskupiej). Poruszamy również kwestię położenia Ukraińców obrządku grecko-katolickiego w PRL. Jeden z obecnych księży, który bawił kilka razy na ziemiach zachodnich i na innych terenach polskich, twierdzi że spotkał tam swych braci-kapłanów, odprawiających często w obydwu obrządkach; chwalił postawę proboszczy ułatwiających pracę duszpasterską w miejscach osiedlenia Ukraińców. W większych skupiskach przynajmniej jedna msza św. w niedzielę odprawiana jest po ukraińsku. Chwalił szczególnie bp. Tokarczuka za zrozumienie tej sprawy i opiekę nad świątyniami unickimi, ocalałymi przed grabieżą lub przejęciem przez Cerkiew Prawosławną (na terenie diecezji przemyskiej). Mam sposobność, by poinformować moich rozmówców że patriarcha Bazyli, głowa autokefalicznej Cerkwi w PRL, szykował w ub. roku operację dywersyjną w większym stylu na obszarze rzeszowszczyzny. Energiczny protest Prymasa Polski zapobiegł jednak tej akcji, na skutek czego odwołano nawet wizytę (u Bazylego) patriarchy Pimena z Moskwy. Prymas Polski jest z ramienia Stolicy Apostolskiej ordynariuszem obrządków wschodnich (także ormiańskiego) i sprawuje opiekę duszpasterską nad ukraińskimi unitami poprzez swego wikariusza mitrata (infułata) Hrynka. Ten z kolei wizytuje okresowo 40 ośrodków osiedlenia ukraińskiego (łącznie jest 70 duchownych unickich odprawiających także w kościołach rzymsko-katolickich, tam gdzie brak grecko-katolickich).

Panuje często wyobrażenie, że to kard. Wyszyński rzekomo nie zgadza się na ustanowienie biskupa czy egzarchy dla unitów zamieszkałych w PRL. Jest to mylny pogląd. Zależy to od Watykanu, który prawdopodobnie nie miałby nic przeciwko temu, gdyby nie to że rząd PRL, nie chcąc drażnić Moskwy, woli zachować *status quo* (rząd węgierski mniej zagrożony w tej materii wyraził ostatnio zgodę na mianowanie przez Watykan biskupa dla greko-katolików). Dowodem troski ze strony Kościoła w Polsce, roztaczanej nad tym obrządkiem, jest m.in. odezwa bp. Rechowicza z Lubaczowa (administratora apostołskiego dla skrawka

metropolii lwowskiej) z 30 grudnia „w sprawie cofnięcia ubezpieczeń dawnych świątyni grecko-katolickich przejętych przez Kościół rzymsko-katolicki po roku 1945”. W odezwie tej czytamy: „Po zniszczeniach wojennych kosztem wielkich ofiar odnowiliśmy także świątynie będące miejscami kultu Kościoła grecko-katolickiego. Uratowano je od całkowitej zagłady. Państwo zapewniło im ubezpieczenia oraz opiekę konserwatora zabytków... Ratowano je nie tylko jako świątynie, ale także jako zabytki będące ozdobą naszych ziem wschodnich. Odnowione świątynie są wspólnym skarbem obrządków łacińskiego i grecko-katolickiego... Państwo wy Zakład Ubezpieczeń, powołując się na to, że świątynie te są własnością państwa, wycofały ubezpieczenie ich jako budynków, wyposażenia ich wewnątrz i odpowiedzialności cywilnej... Wycofanie tych ubezpieczeń godzi w poczucie sprawiedliwości wobec ludzi, którzy budynki kościelne odnawiali i w przywrócenie im sakralnego charakteru i piękna głęboko się zaangażowali... Wobec tych bolesnych faktów apelujemy do was abyście te kościoły otaczali jeszcze większą miłością i czujnością, chronili je przed pożarami i zniszczeniem, abyście modlili się o ich bezpieczeństwo”. Cofnięcie ubezpieczeń stoi oczywiście w związku z tendencją do przejmowania tych świątyni przez Cerkiew Prawosławną, co spowodowało wyżej wymieniony protest Prymasa Polski.

O współpracę polsko-ukraińską

W drodze powrotnej do centrum Wiecznego Miasta dzielimy się z O. Bednarskim wrażeniami i staramy się je podsumować. O. prof. Bednarski, należący na pewno do najlepszych, polskich znawców problematyki ukraińskiej, mówi: „czas zamknąć wreszcie rozdział naszych wspólnych dziejów, nacechowany waśniami i nieporozumieniami, nie bez uprzedniego przyznania jednak, że winy były nie tylko po stronie ukraińskiej; w okresie przedwojennym nasze winy były na pewno większe”. Wtrącam: „rządy sanacyjne oscylowały między kursem twardym, asymilacyjnym a połowicznymi koncesjami, między batem a cukierkiem. Zabrakło wyobraźni i kultury politycznej by przeprowadzić to, co Włochy uczyniły z dwujęzycznego rejonu Wysokiej Adygi, udzielając mniejszości austriackiej (większości na tym obszarze) statusu autonomicznego w zakresie politycznym, społecznym i kulturalnym. Jeszcze przed 10 latami wybuchały tam bomby terrorystycznych organizacji — dzisiaj panuje spokój. O. Bednarski dodaje „wiele papieru zapisano na temat fali ukraińskiego nacjonalizmu, ale zapomina się lub rozgrzesza polski nacjonalizm; ze strony polskiej nie brakło prowokacji, fatalnych czy wręcz tragicznych pomyłek. Należy mówić zresztą nie tylko o tym co nas dzieliło. Nie brakło w czasie wojny solidarności w oporze wobec najeźdźców ze wschodu. Kiedy władze sowieckie rozpoczęły aresztowania i zsyłkę naszej ludności, to właśnie ukraińscy przyjaciele, świeccy i zakonnicy, przechowywali zagrożonych, pomagali. Sam

byłem tego świadkiem w Żółkwi. Bazylianie, nacjonaliści ukraińscy, ale lojalni wobec Rzeczypospolitej, wysłali zesłanym paczki do Kazachstanu...". Dziś znajdujemy się w analogicznej sytuacji, mamy za sobą podobne doświadczenia i wobec wspólnego wroga, jakim jest „sowietyzm” wyrażający duchowo nasze narody, należy patrzeć w przyszłość, szukać dróg do porozumienia. Zgadzam się z O. Bednarskim: z naszej strony powinniśmy m.in. poprzeć walkę ukraińskich katolików w diasporze o patriarchat, bo im się to należy. Cztery miliony Ukraińców odłączonych od macierzy ma na pewno większe znaczenie dla Kościoła Powszechnego niż wszystkie inne szczątkowe Kościoły wschodnie razem wzięte, które ani połowy tej liczby nie osiągają, nie mówiąc już o tym, że kulturalnie reprezentują znacznie mniej. Drugi Sobór Watykański wyraźnie *nota-bene* idzie po tej linii: nakłania wręcz do udzielania pełnej autonomii Kościołom wschodnim. Jeśli więc ten postulat nie ma być gołosłowny, to patriarchat dla katolików ukraińskich powinien być ustanowiony bez szukania sztucznych pretekstów eklezjologicznych, które stanowią jedynie zasłonę dymną dla politycznych wyrachowań. Cała dyskusja na temat tzw. sukcesji apostolskiej i historycznych praw do patriarchatu (których zdaniem niektórych speców brak Ukraińcom), operująca kontrowersyjnymi argumentami do niczego nie prowadzi i *de facto* nie ma sensu. Jest bowiem faktem, że Kościół na Ukrainie przed i tym bardziej po Unii brzeskiej nie był nigdy zależny od innych patriarchatów wschodnich — był całkowicie samą dla siebie. Dziś na obczyźnie patriarchat (ustrój organizacji kościelnej polegający na pełnej autonomii w zakresie jurysdykcyjnym i dyscyplinarnym, którego organ najwyższy w postaci synodu ma prawo wybierania biskupów) w Kościele Ukraińskim miałby głęboki i twórczy sens ponieważ Kościół ten odgrywa niezwykle ważną i polaryzującą rolę historyczną, moralną i kulturalną. W Małym Seminarium ukraińskim widziałem chłopców z Nowego Sadu, Bośni i Słowenii — co raz więcej ich przyjeżdża na naukę z Jugosławii — potomków Rusinów ze Słowacji i Rusi Zakarpackiej, wysiedlonych przez cesarzową Marię Teresę, a mówiących dialektem staro-słowiańskim, zbliżonym do używanego przez Łemków. Mają oni w Jugosławii biskupa grecko-katolickiego (Rusini tępieni przez Austriaków jako zwolennicy Rosji, byli przeciwni aspiracjom narodowym Ukraińców. Kościół polski byle tylko nie urazić carów, popierał wówczas Rusinów z namowy Watykanu, a nie Ukraińców. Był to zasadniczy błąd — zemścić się po odzyskaniu niepodległości).

O. prof. Bednarski zaczął pracę nad porozumieniem polsko-ukraińskim na własnym „podwórku”. Przedłożył mianowicie kard. Slipyjowi konspekt „O współpracy polskich i ukraińskich filozofów i teologów”. Warto przytoczyć tę propozycję, bo ma ona wymowę przekraczającą wąski zakres fachowy. Kard. Slipyj powitał tę inicjatywę z satysfakcją i zainteresowaniem i obiecał ją poprzeć.

„II Sobór Watykański podkreślił konieczność rozwijania dialogu pomiędzy różnymi wyznaniem chrześcijańskimi, głównymi religiami niechrześcijańskimi, a nawet z niewierzącymi. Zdarza się jednak że chętniej podejmuje się dialog z Kościołami 'odłączonymi' i ludźmi najbardziej nam obcymi niż z własnymi braćmi. Polacy, Ukraińcy, Białorusini, Litwini, Słowacy i Czesi — narody najbliższe sobie nie tylko geograficznie i językowo, ale także w zakresie kultury, zwłaszcza kultury religijnej. Przez wiele stuleci narody te współżyły w braterskich stosunkach, choć niejednokrotnie — jak to bywa w stosunkach rodzinnych — nie brakło bolesnych starć na skutek różnych uprzedzeń, ludzkich słabości oraz przede wszystkim intryg i podżegań wspólnych nam wrogów. Możliwość przetrwania naszych narodów, szczególnie w obecnej sytuacji, zależy od współpracy, pozbycia się uprzedzeń, niechęci, powierzchownych antagonizmów, wzajemnego wyrozumienia doznanych krzywd... W wielu dziedzinach kultury współpraca między Polakami i Ukraińcami istnieje na emigracji, np. w literaturze i nauce. Niestety ta współpraca najmniej ujawnia się tam gdzie najpierw i przede wszystkim powinna ujawniać się: w teologii i filozofii, tak polskiej jak i ukraińskiej. Ukraińscy i polscy teologowie i filozofowie o wiele więcej wiedzą o myślicielach francuskich, niemieckich, holenderskich czy amerykańskich niż o zdobywcach w tej dziedzinie pobratymców. A przecież filozofowie i teologowie powinni być pionierami braterskiego i zgodnego współżycia naszych narodów”.

Ojciec Bednarski proponuje nawiązanie dialogu teologów i filozofów polskich i ukraińskich w fachowych czasopismach poprzez wymianę artykułów, wzajemną informację (np. w formie recenzji o wydanych publikacjach) i zapraszania prelegentów lub przynajmniej obserwatorów na kongresy naukowe, sympozjony itp.

Na innych odcinkach należy próbować robić to samo i to nie tylko na niwie naukowej, zwłaszcza w historii i filologii słowiańskiej (co już *nota-bene* dzieje się, o czym świadczy ostatnia konferencja w Kanadzie), ale i w publicystyce, działalności społecznej i kulturalnej. Ziarno rzucane uporczywie od kilku lat przez *Kulturę* wyda wtedy owoce. Inicjatywa powinna nadal wychodzić z polskiej strony. Bo co tu dużo mówić: Ukraińcy są bardziej otwarci ku Polsce, lepiej znają nasz język, kulturę i problematykę współczesną — my natomiast mało ich znamy, wciąż operujemy szablonowymi pojęciami, i wiele istotnych zagadnień w ogóle ignorujemy. Nasze organizacje i prasa emigracyjna wciąż pograżona jest w rozpamiętywaniu przeszłości lub tak jak prof. Bromke uprawia oportunistyczne harce w pogoni za „nowymi formami organizacyjnymi diaspory” *made in Poland* (towarzyszy Gierka i Piaseckiego). Czas byłby położyć kres nostalgicznym ciągotom lub krótkowzrocznym rachubom na dogadanie się z dozorcami spetryfikowanej struktury władzy. Ustawienie się ku przyszłości oznacza podjęcie pracy syzyfowej nad nowym modelem organizacji życia zbiorowego w Polsce, jaki musi uwzględnić pierwszorzędnej wagi wymóg ułożenia stosunków i porozumienia z bratnimi narodami Ukrainy, Litwy i Czechosłowacji. Tylko ludziom bojaźliwego ducha i pozbawionym wyobraźni politycznej wizja ta może wydać się romantycznym przeżytkiem. Bez takiej wizji żaden realistyczny program nie jest

możliwy. To co niektórym majaczy się jako „realizm” jest tylko zgniętym kompromisem lub kamuflażem maskującym faktyczne poparcie totalizmu domowego chowu i jego sowieckiego prototypu.

Dominik MORAWSKI

Kronika ukraińska

16 lutego br. przybyła do USA delegacja Chrześcijańskich Kościołów w ZSSR pod przewodnictwem prawosławnego metropolity Filareta z Kijowa. Jak donosi prasa ukraińska, m.in. dziennik *Svoboda* (Jersey City and New York z 20 lutego) zapowiedziany był przyjazd patriarchy Pimena z Moskwy, który zrezygnował na skutek „waśni wśród rosyjskich wspólnot prawosławnych w Ameryce, kontestujących tę wizytę”. Nie zjawiał się też metropolita Nikodem z Leningradu, „zdemaskowany jako agent sowiecki przez Deriabina, b. współpracownika sowieckiego wywiadu w USA”. Wizyta delegacji sowieckiej jest „sponsrowana” przez Światową Radę Kościołów, której przedstawiciele odwiedzili ZSSR latem ub. roku. W skład tej delegacji wchodzi 20 osób, w tym 13 duchownych rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej, a ponadto przedstawiciele Cerkwi Gruzji i Armenii, Kościoła Luterańskiego na Łotwie i w Estonii. Nie zabrakło też delegata Kościoła Katolickiego (mimo że Stolica Apostolska i żaden z episkopatów narodowych nie jest członkiem Światowej Rady Kościołów w Genewie — Watykan ma tam jedynie obserwatora). W kościelnej delegacji sowieckiej uczestniczy również mons. Krivaitis, wikariusz kapitulny z Wilna. Na oficjalnej liście delegacji figuruje on jednak jako „administrator apostolski archidiecezji wileńskiej rzymskokatolickiego Kościoła na Litwie”. Jest to fałsz, przyswojony niezwłocznie przez kościelną emigrację litewską w Waszyngtonie i w Rzymie. W Wilnie nie ma administratora apostolskiego, a miejscowy ordynariusz jest impedito (zawieszony w funkcjach przez władze państwowe). Protest ze strony Watykanu prawdopodobnie jednak nie nastąpi.

Towarzystwo „Za Patriarchat” w Ukraińskim Kościele Katolickim w USA (w końcu grudnia ub. roku odbył się w Waszyngtonie zjazd ukraińskich organizacji „Za Patriarchat” i powstało światowe przedstawicielstwo) ogłosiło w związku z tą wizytą deklarację, w której czytamy:

„Delegacja sowieckich duchownych nie jest reprezentatywna dla żadnego Kościoła i należy ją traktować jako taką. Prawdziwi przedstawiciele Chrześcijańskich Kościołów w ZSSR są uwięzieni, wygnani lub zamordowani. Ci, którzy przybyli do USA są przedstawicielami rządu sowieckiego i partii komunistycznej. Przewodniczący delegacji, metropolita Filaret, jest znany jako prześladowca katolików ukraińskich. Światowa Rada Kościołów, tj. organizacja, która zaprosiła tych kapłanów sowieckich, odmówi uznania martyrologii Kościołów Chrześcijańskich w ZSSR, a zwłaszcza Katolickiego Kościoła Ukraińskiego. Oto niektóre nazwiska katolickich biskupów ukraińskich, zmarłych jako męczennicy, wyznawcy za wiarę:

Josafat Kocyłowski, zmarł w więzieniu, 21 sierpnia 1947 r.
Hryhoryj Chomyszyn, zmarł w więzieniu, 17 stycznia 1947 r.
Nykyta Budka, zmarł na wygnaniu na Sybirze, 6 października 1949 r.
Hryhoryj Łakota, zmarł na wygnaniu na Sybirze w 1951 r.

Iwan Latyszewskij, zmarł na skutek wyczerpania i ran po 10 lat więzienia, 2 grudnia 1957 r.

Mykoła Czarneckij, zmarł po 12 latach więzienia, 2 kwietnia 1959 r.

Petro Werhun, zmarł na Sybirze 7 lutego 1957 r.

Teodor Romża, zamordowany przez wojsko rosyjskie 1 listopada 1947 r.

Pawło Gojdych, zmarł w obozie koncentracyjnym w Czechosłowacji, 19 lipca 1960 r.

Martyrologia tych ukraińskich biskupów nie obchodzi jednak przywódców Światowej Rady Kościołów. Podobnie jak ich katolicki partnerzy, zwolennicy dialogu Moskwa-Watykan, negują oni istnienie MILCZĄCEGO KOŚCIOŁA KATAKUMB i ignorują cierpienia i prześladowania wiernych za żelazną kurtyną. Podczas kiedy ci ostatni są torturowani i skazywani na śmierć, oficjalni przedstawiciele sowieckich Kościołów (może nawet ci sami, którzy denuncjowali innych) są witani dziś z wielką pompą w USA. Metropolita Filaret mówi o „dobrowolnym powrocie wiernych ukraińskich na łono moskiewskiego prawosławia” i o „całkowitej wolności religijnej w ZSSR”. Jesteśmy przyzwyczajeni do tego rodzaju bezczelnych zniekształceń prawdy historycznej ze strony sowieckich funkcjonariuszy. Dlaczego, ostatecznie, duchowni sowieccy mieliby używać innego, bardziej wynuiansowanego języka? W końcu cała administracja rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej — jak to podkreślił Aleksander Sołżenicyn — tj. „nominacje kapłanów i biskupów (włączając duchownych dzięki którym przychodzi łatwiej ośmieszać i niszczyć Kościół), wszystko to jest tajnie kierowane przez Radę dla Spraw Religijnych”, organ rządu sowieckiego. W ten sposób — by zacytować ponownie Sołżenicyna — rosyjska Cerkiew Prawosławna jest „Kościołem rządzonym po dyktatorsku przez ateistów”. Nasze Towarzystwo stwierdza, że polityka prowadzona przez Światową Radę Kościołów wyrządza szkodę duchowemu rozwojowi wiernych, gdziekolwiek się znajdują, i przynagla ich do energicznego przeciwstawienia się tej polityce. Wzywamy wszystkich ludzi dobrej woli, by nie dopuścili aby Młot i Sierp zastąpił Krzyż.”

Delegacja sowiecka ma przebywać w USA ok. trzech tygodni i odwiedzić nie tylko wielkie ośrodki, ale i małe miasteczka. W Nowym Jorku, Chicago, Waszyngtonie i w innych miastach przewidziane są demonstracje ukraińskich katolików i solidaryzujących się z nimi osób innych wyznań, reprezentowanych przez delegację, której zadanie polega prawdopodobnie na próbie zatarcia złego wrażenia, spowodowanego przez zerwanie układu handlowego pomiędzy ZSSR a USA.

D. M.

Kronika czeska i słowacka

„PRZYPISANA DO ZIEMI”

Hana Jechova jest Czeską; ma 47 lat. Znana specjalistka literatury porównawczej, tłumaczka z polskiego i litewskiego, posiada doktoraty uniwersytetów paryskiego i warszawskiego. Mianowana w 1969 roku adiunktem na uniwersytetach Paryż III i Tours. Jechova w 1973 roku wróciła do Czechosłowacji i od tego czasu zabroniono jej ponownego wyjazdu z kraju.

bez jakiegokolwiek oskarżenia czy sformułowania jakiegokolwiek wymówki pod jej adresem. Po niezliczonych i bezowocnych staraniach Jechova zdecydowała się wyśłać do prezydenta Republiki Czechosłowackiej następujący list:

„W średniowieczu niewolnicy byli 'przypisani do ziemi'; ich pan decydował o ich czynnościach i zatrudnieniu nie pozwalając mi na opuszczenie swoich ziem, ponieważ ich praca była mu potrzebna i ponieważ wymagał tej pracy. Ale gdyby pan feudalny zabronił odejścia swojemu niewolnikowi, odmawiając mu jednocześnie pracy, uważano by go za wariata. Ale — jak już powiedzieli w latach trzydziestych Voskovec i Werich — 'na nie-szczęście nie żyjemy już w średniowieczu'.

Minął już przeszło rok od czasu kiedy powróciłam z Francji do Czechosłowacji, gdzie miałam zamiar spędzić wakacje. Nie musiałam prosić o skorystanie z amnestii, obejmującej ludzi którzy pozostali za granicą bez pozwolenia władz czechosłowackich. Mój paszport był w jak najlepszym porządku; w żadnym wypadku nie pogwałciłam czechosłowackiego prawa. Od początku września na próżno prosiłam o pozwolenie powrotu do Francji, gdzie wykładałam na dwóch uniwersytetach. Tak samo bezskutecznie szukałam zajęcia w Czechosłowacji. Na siedem podań o pracę otrzymałam trzy odmowy na piśmie, dwie ustne, a w dwóch wypadkach w ogóle mi nie odpowiadano. W ministerstwie Spraw Wewnętrznych urzędnik, z którym rozmawiałam, uważa że sprawy zatrudnienia nie wchodzi w zakres kompetencji jego ministerstwa. W ministerstwie Kultury powiedziano mi, że nie ma mowy o wysłaniu mnie do Francji, żebym tam zarabiała pieniądze. Sekretarz partii komunistycznej w Ołomuńcu przypuszcza, że ewentualnie, w przyszłości, będę mogła nauczać w polskiej szkole podstawowej na Śląsku. Jest to nie tylko dość dziwna interpretacja najbardziej pożytecznego zatrudnienia w Czechosłowacji kogoś, kto uzyskał doktorat państwowy z literatury porównawczej na Sorbonie, ale jednocześnie jest to sprzeczne z nakazami socjalistycznej Republiki Czechosłowackiej, według których jedynie obywatele, których językiem macierzystym jest polski, są uprawnieni do nauczania w szkołach polskich. Niestety to nie jest mój przypadek. Na dnie rozpaczy zwróciłam się do departamentu pracy i zatrudnienia przy Radzie Narodowej w Ołomuńcu. Zaproponowano mi, ewentualnie, pracę fizyczną, albo zatrudnienie w administracji. Czyż nie jest zbrodniczym marnotrawstwem kwalifikacji i całkowitym brakiem szacunku — zaproponowanie tego rodzaju pracy komuś, kto otrzymał stopień doktorski na trzech uniwersytetach, kto opublikował ponad sto prac naukowych i kto przez osiemnaście lat wykładał na uniwersytecie zarówno w Czechosłowacji, jak i za granicą?

Wyda się że, przynajmniej oficjalnie, nikt u nas dzisiaj nie wątpi w prawo narodów do samostanowienia. Dlaczego więc nie szanuje się prawa jednostki do dysponowania własną osobą? A przecież jesteśmy przede wszystkim obywatelami świata, a dopiero potem obywatelami państwa, w którym zrządzeniem losu urodziliśmy się. Nie mając najmniejszej możliwości aby w Czechosłowacji uznano moje kwalifikacje i moją specjalizację i będąc od przeszło roku bez pracy nie widzę żadnych powodów, dla których mój wyjazd z kraju mógłby szkodzić interesom Państwa. Wprost przeciwnie, władze powinny się cieszyć, że uwalniają się od kogoś, kto pewnego dnia stanie się dla nich ciężarem. Żyjąc we Francji mogłabym wykładać jeszcze 24 lata na uniwersytecie i działać z pożytkiem dla innych.

Jestem chora i powinnam się leczyć w nadmorskim klimacie. A tymczasem to nie lekarze, ale funkcjonariusze policji decydują u nas o leczeniu. Pomimo zaświadczenia mojego lekarza policja nie pozwala mi na wyjazd nad morze — nawet do jednego z krajów socjalistycznych — ponieważ 'groziłoby to niebezpieczeństwem wewnętrznemu porządkowi kraju'. Z jakiego powodu? Na darmo proszę aby mi na to odpowiedziano. W jakim potwor-

nym kraju żyjemy? Ponieważ oficjalnie zawsze mówi się u nas o internacjonalizmie, dlaczego nasze władze nie pozwalają ludziom pracować za granicą, ani nawet tam się leczyć? Dlaczego nasz kraj otoczony jest drutem kolczastym zarówno w dosłownym tego słowa znaczeniu, jak i w przenośni?

Na nie-szczęście nie widzę żadnej możliwości aby osobiście móc mieć wpływ na obalenie niedorzeczności, które u nas panują. I dlatego na nowo, usilnie proszę o pozwolenie na natychmiastowy wyjazd z tego kraju, i to na zawsze.

Dr Hana JECHOVA

Przekład z *Esprit*, luty 1975, nr 2.

Białoruskie rozbitcie i legalizm (2)

Urodzony w 1887 roku Radosław Ostrowski był w okresie międzywojennym postacią dość znaną i w pewnym stopniu i sensie kontrowersyjną. Wcześniej zaczął brać udział w życiu politycznym i w okresie rewolucji marcowej był członkiem zjazdu przedstawicieli białoruskich partii w lipcu 1917 oraz utworzonej po tym zjeździe tzw. Centralnej Rady. We wrześniu uczestniczył w tzw. Naradzie Państwowej w Moskwie, a potem reprezentował gub. mińską w Białoruskim Komitecie Obwodowym przy Wszechrosyjskim Zjeździe delegatów włościańskich w Piotrogradzie w listopadzie 1917. W Mińsku pod okupacją niemiecką w 1918 r. bodajże nie był.

Za czasów polskich, był skarbnikiem zarządu głównego białoruskiej Hromady, w związku z czym uważano go za „agenta Kominternu”. Sąd jednak uznać, że jego udział był tylko „techniczny” i w procesie Hromady uniewinnił go.

W latach następnych stał na czele mile widzianej przez władze polskie organizacji białoruskiej, w której powstały jakieś spory finansowe i sprawy sądowe; wreszcie bezpośrednio przed wojną był dyrektorem gimnazjum białoruskiego w Wilnie, gdzie były duże wpływy zdelegalizowanej Hromady, co wzbudzało zainteresowanie władz bezpieczeństwa oraz doprowadzało do niekiedy drastycznych zatargów pomiędzy uczniami a dyrekcją.

Będąc Białorusinem, w okresie 2-giej wojny i okupacji, trudno było, w pewnym przynajmniej stopniu i sensie, nie współpracować z Niemcami. Jedni jednak robili to bardziej, inni mniej szczerze. Radykalny niepodległościowiec, ksiądz Wincenty Godlewski, pod wyraźnym wpływem polityki Piłsudskiego, jeszcze na wiosnę 1940 w oddanym wówczas Litwinom Wilnie, przewidywał rychły wybuch wojny niemiecko-sowieckiej i uważał, że w pierwszym jej okresie Białorusini winni pomagać Niemcom w rozgromieniu Rosji następnie zaś przejść do możliwego pomagania

aliantom w rozgromieniu Niemiec. By móc zastosować tę taktykę w praktyce, Godlewski opuścił Wilno przed sowietyzacją Litwy latem 1940 i rozpoczął współpracę z Niemcami. Z jego inicjatywy w obozach polskich jeńców wojennych zwerbowano około 50 żołnierzy, zrzuconych w czerwcu 1941 na tyły wojsk sowieckich w okolicach Białegostoku jako „pierwszą kadrową” kompanię białoruską. Począwszy od 22 czerwca do połowy lipca 1941 Godlewski przez berlińskie radio zachęcał Białorusinów do walki przeciwko Sowietom. Następnie po okupacji Białorusi i utworzeniu w niej Generalnego Komisariatu z Gauleiterem Wilhelmem Kube na czele, we wrześniu 1941 objął stanowisko głównego inspektora szkół białoruskich i rozpoczął przygotowywania do następnego etapu. Niemcy jednak po pewnym czasie i nie bez pomocy bardziej szczerze współpracujących z nimi Białorusinów, zorientowali się w istotnym charakterze działalności Godlewskiego, aresztowali go 24 grudnia 1942 i wkrótce potem zamordowali¹.

Głównym bodaj sprawcą zdemaskowania Godlewskiego był adwokat Fabian Akinczy, który był również członkiem zarządu głównego Hromady niewinnionym przez sąd zaś na kilka lat przed wojną utworzył białoruską partię narodowo-socjalistyczną i w okresie wojny gorliwie współpracował z Niemcami. Nie wyszedł na tym dobrze, gdyż w marcu 1943 został zamordowany przez partyzanta Matusiewicza. Inny białoruski kolaborant, dr Iwan Jermaczenko, główny doradca Kubego i szef białoruskiej Samopomocy, posądzony o nadużycia finansowe został w czerwcu 1943 przeniesiony do Pragi, dzięki czemu uniknął losu Akinczy oraz Kubego, który został zamordowany we własnym łóżku 22 września 1943 roku.

Niepowodzenia pod Stalingradem i rozwój ruchu partyzanckiego skłoniły Niemców do zrobienia na Białorusi posunięć nie stosowanych na innych okupowanych terenach. W czerwcu 1943 utworzono tam Związek Białoruskiej Młodzieży, wzorowany wprawdzie na *Hitlerjugend*, umożliwiający jednak nieoficjalną propagandę ideałów narodowo-białoruskich. Niedługo potem powołano, jako organ doradczy przy Generalnym Komisariacie, złożoną z 16 osób Radę Zaufania. Odbyte na początku lipca posiedzenie tej Rady niezbyt się udało; krytyka okupantów była zbyt ostra jak na specjalnie dobranych „mężów zaufania” i przyszłość Rady, z jej Przewodniczącym Wacławem Iwanowskim, ówczesnym burmistrzem Mińska (oraz rodzonym bratem byłego polskiego ministra Jerzego i litewskiego Tadeusza) stanęła pod znakiem zapytania, podobnie zresztą jak los Jerzego Sobolewskiego, byłego posła na Sejm polski, który wyjątkowo ocalał w czasie stalinowskich czystek i po usunięciu Jermaczenki został jego

1. Obszerny życiorys ks. W. Godlewskiego w 1965 ogłosił W. Panuciewicz w zeszycie 28 wydawanej w Chicago *Belaruskaja Curkwa*, str. 11-134, skąd czerpię szczegóły dotyczące jego działalności oraz stosunków pod niemiecką okupacją.

następcą w Samopomocy. Zanim w tych sprawach powzięto decyzję, zginął Kube a później i Iwanowski.

Następca Kubego, generał SS von Gottberg, po dłuższym namyśle i wahaniu zdecydował kontynuować rozpoczętą przez Kubego politykę współpracy z Białorusinami. 2 grudnia 1943 zwołał ponownie Radę Zaufania a 21 grudnia ogłosił amnestię dla ujawniających się partyzantów oraz wezwał ludność by we własnym interesie dopomagała w utrzymywaniu porządku i ukróceniu anarchii. Dużą rolę przy tym odgrywać miała białoruska policja, od 1942 roku specjalnie rozbudowywana i posiadająca w Mińsku szkołę podoficerską pod komendą kpt. F. Kuszela oraz liczący około tysiąca osób batalion kolejowy pod dowództwem kpt. J. Sażycy.

Dla przeprowadzania zamierzonej polityki Gottberg potrzebował ludzi, do których można było mieć więcej niż formalne tylko zaufanie. Znaleźnienie ich przy notorycznej powszechnej demoralizacji nie było łatwe: opowiadano o kimś, kogo powołano na „męża zaufania” jako przewodniczącego Komitetu cerkiewnego w Mińsku, a był on jednocześnie agentem Gestapo oraz członkiem niepodległościowej konspiracji białoruskiej, tajnie powiązanym zarówno z przeciwstawiającymi się wszelkiemu „separatyzmowi” rosyjskimi solidarystami (NTS) jak i kierującym ruchem partyzanckim NKWD². Wyjątkowym w tym wypadku był tylko szeroki wachlarz powiązań danego osobnika; normalnie ograniczano się do pracy na dwie, najwyżej trzy strony. Żywiący dużą sympatię dla księdza Godlewskiego autor jego biografii bez najmniejszej żenady wysuwa przypuszczenie, że we wrześniu-październiku 1939 nawiązał on w Kownie kontakt z anglo-amerykańskim wywiadem z jednej strony a niemieckim z drugiej, po czym pisze:

„W tej sytuacji wszyscy sojusznicy byli brani pod uwagę, w pierwszym rzędzie Polacy, w obronie których stanęły zachodnie mocarstwa... i którzy na własnej skórze najlepiej odczuwali zarówno Niemców jak bolszewików” (str. 58).

Niemcy dobrze orientowali się w ogólnej sytuacji, dlatego też ich poszukiwania odpowiedniej dla realizacji planów Gottberga osoby trwały dość długo. Dopiero pod koniec 1943 wybór padł na Radostawa Ostrowskiego, który uprzednio stał na czele *Uprawy* (zarządu) gubernii smoleńskiej. Rzekomo przed przyjęciem wysuniętej w stosunku do niego propozycji zgłosił on pewne postulaty, czy nawet postawił pewne warunki, które Gottberg zaakceptował, prof. Vakar jednak był zdania, że:

„Mało wiadomo o okolicznościach w jakich utworzono BCR, zaś na oświadczeniach Ostrowskiego i jego współpracowników polegać nie można” (*Making of a Nation*, str. 270, ods. 45).

2. N. Vakar, *The Making of a Nation*, Harvard 1956, str. 203.

Według Lubachko, Ostrowski miał zażądać „several drastic changes (wielu radykalnych zmian), a mianowicie zwołania 2-go Białoruskiego Kongresu dla zdecydowania wszystkich spraw o przyszłym rządzeniu białoruskim narodem oraz utworzenia białoruskich sił zbrojnych dla obrony jej terytorium (str. 162).

W ciągu kilku tygodni Radosław dobrał sobie 14 zaufanych współpracowników i 22 stycznia 1944 Gottberg zatwierdził skład tzw. Białoruskiej Centralnej Rady (BCR). Charakter jej i kompetencje były dość niewyraźne. Określano ją jako „zwierzchni białoruski autorytet”, była jednak powołana przez niemieckiego Gauleitera, który też mógł ją w każdej chwili rozwiązać. Przejąwszy funkcje dawnej Samopomocy, miała pewne możliwości działania w dziedzinach opieki społecznej, szkolnictwa i organizacji życia kulturalnego. Według opinii dostojnika cerkwi prawosławnej, przebywającego wówczas w Mińsku, była „szczególnym rodzajem białoruskiego rządu z bardzo ograniczonymi uprawnieniami, faktycznie bez żadnych uprawnień” (Vakar, str. 270).

Wobec jednak postępującego wykruszania się sił niemieckich, koniecznym się stało pozorne co najmniej odstępstwo od proklamowanej na początku wojny z Rosją (16. VII. 1941) zasady, że:

„nigdy nie można zezwolić aby nie-Niemiec posiadał broń, tylko Niemiec może być uzbrojony. Jest to bardzo ważne... Tylko Niemiec może broń nosić, nigdy Słowianin, ani Czech, ani Kozak, ani Ukraińiec” (Panuciewicz 89),

i wobec tego działalność BCR w dziedzinie wojskowej została nie tylko dozwolona ale uzyskała szczególny rozgłos. Podpisany przez Ostrowskiego w pierwszych dniach marca 1944 „dekret” BCR powołał Białoruski Komitet Obrony oraz zarządził mobilizację do Białoruskiej Obrony Krajowej 14 roczników oraz wszystkich byłych oficerów zarówno sowieckich jak polskich. Niestawienie zagrożone zostało drakońskimi karami, do kary śmierci i spalenia siedziby włącznie (Vakar, 202), toteż zdołano zgromadzić około 100.000 mężczyzn, z których zamierzano uformować 80 baonów piechoty i 40 saperów. Ponieważ jednak Niemcy zwlekali z przydzieleniem broni, umundurowania i innego zaopatrzenia, oddziały BOK przypominały bardziej oddziały organizacji Todta niż regularne formacje wojskowe. Pomimo to Białorusini utworzyli Sztab Generalny z awansowanym na pułkownika Kuszelem na czele i 15 czerwca 1944 otworzyli w Mińsku szkołę oficerską BOK. W dwa tygodnie później, 29 czerwca jej 300 elewów odeszło szosą na Wilno przed zbliżającymi się oddziałami sowieckimi (Vakar, 205-6). Z nich oraz nielicznych innych baonów BOK, które odeszły na zachód, utworzono później białoruską dywizję i wysłano na front zachodni. Tam jej dowódca Kuszel, po dojeździe bez oddania strzału na stanowiska pierwszej linii miał nawiązać kontakt z oddziałami amerykańskimi i przejść na ich stronę po stoczeniu walki z niemieckimi SS (L. Rydlewsky, *Biłorussie*, Paryż 1948, str. 25).

Największym osiągnięciem politycznym BCR było zwołanie 2-go Białoruskiego Kongresu. Zgodnie z obowiązującym w opa-

nowanej przez Hitlera Europie „Führerprinzip”, uczestnicy jego nie mieli być wybrani, lecz zaproszeni przez BCR i jej Prezydenta. Z 1151 zaproszonych przybyło do Mińska w dniu 27 czerwca 1944 roku 1.030 osób. Po powołaniu przez aklamację prezydium w składzie J. Kiepela, I. Kasiaka i V. Rahuli i po przemówieniach powitalnych Ostrowskiego, przedstawicieli prawosławnego, katolickiego i ewangelickiego duchowieństwa oraz pani Saweniuk, występującej w imieniu białoruskiego włościanstwa, klasy robotniczej i inteligencji, zebrani wysłuchali referatu Ostrowskiego o politycznej sytuacji i przyjęli jednogłośnie zgłoszoną przez niego rezolucję, po czym prędzej rozjechali z miasta, dokąd już dochodziliły odgłosy zbliżającego się frontu i które 3 lipca zostało zajęte przez wojska sowieckie.

Uchwalona przez Kongres rezolucja w punkcie pierwszym potwierdzała uchwałę Rady BNR z 25 marca 1918 roku o zerwaniu Białorusi z państwem rosyjskim we wszelkich jego formach, pomijała jednak milczeniem ustęp głoszący, iż „od tej chwili BNR jest niezależnym i wolnym państwem”. W warunkach w jakich kongres został zwołany, było to dość zrozumiałe. W punktach 2-im i 3-im rezolucja odrzucała BSSR oraz wszelkie umowy, jakie w sprawach ziem białoruskich zawarłyby pomiędzy sobą lub z trzecimi państwami ZSSR i Polska. Wreszcie w punkcie 4-tym stwierdzała, iż „jedynym legalnym przedstawicielem białoruskiego narodu i jego kraju jest dzisiaj BCR z Prezydentem Ostrowskim na czele”. Do użytego w rezolucji słowa „dzisiaj” przywiązywano następnie zasadnicze znaczenie, twierdząc iż oznaczało ono okupację niemiecką, z ustaniem której BCR i Ostrowski przestaną być „jedynymi legalnymi” przedstawicielami Białorusi. Interpretację taką pośrednio potwierdzało formalne rozwiązanie 23 września 1944 ewakuowanej z Mińska do Niemiec BCR. W kilka jednak lat później, gdy się okazało, że w rezultacie II wojny pozostało na Zachodzie sporo uważających się za legalne rządy emigracyjnych, 25 marca 1948 Ostrowski przywrócił BCR do życia, twierdząc, że zgodnie z uchwałą 2-go Kongresu jest ona „jedynym legalnym” przedstawicielstwem Białorusi.

Występując jako białoruski Prezydent na uchodźstwie, Radosław powołał następnie rząd emigracyjny, zaczął wyznaczać dyplomatycznych przedstawicieli w różnych krajach, i wezwał całą białoruską emigrację do skupienia się przy legalnych władzach. Choć zdołał uruchomić w Ludwigsburgu w Niemczech drukowane pismo *Belaruskaje Słowa* i wydawał sporo powielanych ulotek, większego powodzenia nie miał. Gdy w 1948 ukazała się pod nazwiskiem I. Szyło powielona broszurka pt. *A szto dalej?* zawierająca pochlebną biografię Ostrowskiego, przeciwstawiając jej inne podobne publikacje, jak np. „Wileńskiego” *Dapau-nennia da autobijahrafii R. Astrauskaha*, nazywając go „samozwańcem”, „fałszywym profesorem”, „defraudantem funduszy społecznych”, „polityczną nicością” itp. (Vakar, 222, 270).

Gdy Europę zaczęto rozładowywać z Dipisów, Ostrowski wyjechał na pewien czas do Argentyny, niedługo jednak, dzięki nie-

jakiemu majorowi L. A. Hołubowiczowi Zarecznemu, b. oficerowi NKWD, następnie kolaborantowi w Smoleńszczyźnie i wreszcie szefowi „tajnej służby” i organizatorowi Białoruskiego Wyzwoleńczego Ruchu z siedzibą najprzód w Niemczech a następnie w Manchesterze, uzyskał prawo pobytu w Anglii i na pewien czas Londyn stał się głównym ośrodkiem BCR. Przeciwdziałającą się „katolickiemu” *Zgurtowanniu* Białorusinów w Wielkiej Brytanii (ZBWB) „prawosławna” Chrześcijańska Organizacja Białoruskich Robotników (ChABR) udzieliła mu wówczas swego poparcia, z czego miały następnie wyniknąć pewne komplikacje, w związku z domem rzekomo zakupionym z funduszy ChABRU'u a administrowanym przez Ostrowskiego. Gdy, na początku lat 60-tych Radosław wyjechał z Londynu do swojej córki w Ameryce, jego syn Wiktor miał oświadczyć, że ów dom stanowi prywatną własność rodziny Ostrowskich. Spowodować to miało najprzód rozbitcie, następnie likwidację ChABR'u.

Podczas pobytu w Londynie, Wiktor Ostrowski zorganizował małą drukarnię i jako „drukarz amator” zaczął wydawać BCR-owskie publikacje. W 1959 r. ukazała się jego własna praca *Spotlight on Byelorussia and Her Neighbours*; stała się ona następnie jednym z głównych źródeł opartej rzekomo *mainly upon primary sources* książki Lubachki (*Zeszyty Historyczne*, nr 23, str. 203-5). Wydany następnie po białorusku w 1960 pod redakcją wiceprzewodniczącego 2-go Kongresu I. Kasiaka zbiór BCR-owskich dokumentów i materiałów Lubachko zaliczył do „dokumentów i oficjalnych publikacji”. Wreszcie w 1961 ukazały się *Fragments from The History of Byelorussia (To 1700)*. Materiał for historical research and study of the subject by Prof. R. Ostrowski (Fragmenty historii Białorusi do 1700. Materiał dla badań historycznych i studiów). Podstawą 103-stronicowego obficie ilustrowanego dzieła były bodaj notatki z przedwojennych wykładów w wileńskim gimnazjum białoruskim, przetłumaczone na kiepski język angielski i wydrukowane z dodaniem profesorskiego tytułu do nazwiska autora.

W Ameryce głównym ośrodkiem BCR stało się osiedle South River w stanie New Jersey. Było tam stosunkowo liczne i kulturalnie żywe (popularny chór „Kalina”) skupisko Białorusinów, jednakże BCR, której prezydenturę w 1962 roku Ostrowski formalnie przekazał Dr. A. Arechwie, żywszej działalności przez lat 12 nie przejawiała, ograniczając się do wydawania mniej więcej raz do roku zesztytu *Beloruskaj Dumki*. Dopiero w 1974 sytuacja miała ulec radykalnej zmianie i to w sposób dość oryginalny.

Według informacji, podanych w kanadyjskim *Beloruskij Go-*

3. Bliższych szczegółów o tym wydawnictwie nie mogę podać, gdyż mój list z grudnia 1974 z prośbą o recenzyjne egzemplarze pozostał bez odpowiedzi. Ze wzmianek w innych białoruskich czasopiśmie wynika, że w 1965 ukazały się nry 7 i 8; w 1966 nr 9; w 1973 nr 15 i w 1974 nr 16-17, i że wiele miejsca w nich zajmowały życiorysy i wspomnienia o białoruskich poetach i pisarzach oraz ich utwory.

tas, Nr 227 za listopad 1974, 17 sierpnia tego roku został skierowany do sekretarza BCR N. Miadziejki list z podpisem Ostrowskiego, zawiadamiający, że z dniem tym przystępuje on ponownie do wykonywania obowiązków Prezydenta BCR i zarządza zwołanie na 26 października 1974 w South River kolejnej 17 sesji plenum BCR. Na porządku dziennym miała być m.in. sprawa wskrzeszenia na emigracji Białoruskiej Obrony Krajowej, jako „pospolitego ruszenia” wszystkich Białorusinów do służby polityczno-społecznej oraz przyznania najbardziej w niej zasłużonym stopni oficerskich. Ogółem mianowanych być miało 16 generałów, 17 pułkowników i około 70 majorów, kapitanów i poruczników, z tym że odpowiednie patenty oficerskie miały być doręczone osobom przybyłym na sesję.

Wśród osób przewidzianych na generałów byli: syn Prezydenta Wiktor, jego zięć Dr M. Minkiewicz, b. Przewodniczący 2-go Kongresu I. Kasiak, Dr A. Arechwa oraz prawosławny Arcybiskup Apanas i Metropolita Mikołaj Łapicki; wśród pułkowników — córka Prezydenta Halina Minkiewiczowa, syn Wiceprzewodniczącego 2-go Kongresu Dr W. Kipel; przebywający w Rzymie Prłat J. Św. P. Tatarynowicz i inni. Szczegóły te podobno zawarte były w rozesłanym wraz z zaproszeniami na sesję BCR „Okólniku Nr 1”, który też wyjaśniał, że „ten kto powołał BOK do życia, ma prawo przed swą śmiercią podziękować członkom BOK za ich pracę dla Białorusi”.

Dość oryginalna inicjatywa, podjęta przez — lub w imieniu — 87-letniego Prezydenta, nie spotkała się jednak z przychylną reakcją. Część co najmniej zaproszonych wyraźnie odmówiła zarówno przybycia na sesję jak i przyjęcia mającego być im przyznanym stopnia oficerskiego BOK. Wynikało to z rozesłanego następnie „Okólnika Nr 2” zawiadamiającego, że „z powodów ode mnie niezależnych”, wyznaczona na 26 października 1974 roku w South River Sesja 17-go plenum BCR „zostaje odwołana do następnego zawiadomienia”.

Jeśli to zakończy działalność BCR, postulowane przez *Belarusa* zjednoczenie ruchu białoruskiego na emigracji zostanie ułatwione.

Wiktor SUKIENNICKI

Styczeń 1975

Kronika litewska

Druskieniki, gdzie niegdyś chętnie przebywał Marszałek Piłsudski obecnie znajdują się na terytorium Sowieckiej Litwy, aczkolwiek w pobliżu przechodzą granice polska i republiki białoruskiej. Uzdrowisko jest pod zarządem cen-

trali w Moskwie, toteż nazwy ulic upamiętniają: Lenina, Kirowa, Krasowa, Gorkiego, Czkałowa, Kalinina, Engelsa, jak również Dzierżyńskiego i Czurlonisa, który się tam urodził.

W Wilnie ukazała się w roku 1973 książka M. Pożarskiego o stosunkach Sowieckiej Litwy z Polską Ludową. Podaje on m.in., że na mocy układu repatriacyjnego z roku 1944 zgłosiło się na wyjazd z Litwy do Polski 134.446 rodzin (379.498 osób), zaś wypuszczono tylko 61.127 rodzin (171.158 osób).

W 1969 roku wydano w Litwie 41 polskich książek o nakładzie 85 tys., a w roku 1970 — 49 książek o nakładzie 114 tysięcy.

Wśród księży na Litwie panuje niepokój czy Watykan nie mianuje nowych biskupów spośród kandydatów uległych rządowi sowieckiemu. Do tychczas niedobitki kleru i hierarchia cieszą się wielkim autorytetem dzięki bezkompromisowemu stanowisku. Katolicy litewscy nawołują, by Zachód brał przykład z komunistów, którzy występują w obronie swych stronników, jak Angela Davis i in. Kronika pomija wiele wypadków prześladowań, gdyż ludzie boją się udzielać informacji, a zwłaszcza świadczyć. Były próby stworzenia kościoła narodowego, niezależnego od Watykanu. Księdzu skazanemu na 25 lat, proponowano zwolnienie z więzienia, sto tysięcy rubli i objęcie kościoła Św. Jana w Wilnie, jako siedzibę „Narodowego Kościoła”.

E. ŻAGIELL

16 października 1974

POLSKA KSIĘGARNIA ORBIS

Przedstawicielstwo *KULTURY* i INSTYTUTU LITERACKIEGO
na Wielką Brytanię.

Wykonujemy zamówienia pocztowe na wszystkie książki polskie,
angielskie i rosyjskie.

Zawsze na składzie duży wybór książek.

Prosimy o odwiedzenie naszego sklepu podczas pobytu w Londynie.

Katalogi książek i polskich płyt gramofonowych wysyłamy na żądanie.

W dziale antykwarycznym posiadamy szereg wyczerpanych tytułów
Instytutu Literackiego.

ORBIS BOOKS (LONDON) LIMITED,
66, KENWAY ROAD, LONDON, S.W.5. ORD. — ENGLAND.
Tel.: 370-2210.

Sprawy i troski

Na zachodniej półkuli

3 października 1974 roku wylądowałem w Chicago, gdzie w dwa dni później miałem wystąpić jako mówca na bankiecie zorganizowanym przez miejscowy Oddział Koła AK w 30-tą rocznicę Powstania Warszawskiego. Był to mój pierwszy krok na amerykańskiej ziemi, po nim przyszedł dalsze, które wyraziły się w kilkunastu wykładach i referatach historycznych wygłoszonych w Chicago, Milwaukee, Montrealu, Toronto, w Nowym Jorku, w Albany, Newark i Hempstead na Long Island. Cztery z nich odbyły się na lokalnych uniwersytetach dla wykładowców i studentów amerykańskich, reszta w środowiskach polskich.

Miesięczny, pierwszy w moim życiu, pobyt na zachodniej półkuli był okresem krótkim, ale bardzo intensywnym. Wykłady i przemówienia, choć stanowiły główny cel wyprawy, zajęły mi stosunkowo mało czasu, najwięcej pochłonęły go spotkania i rozmowy z setkami ludzi, przede wszystkim z Polakami, ale także i z Amerykanami. Byli to politycy, działacze polonijni, dziennikarze, wydawcy, dawni znajomi i koledzy, ludzie starzy, w sile wieku i zupełnie młodzi, przedstawiciele dawnej Polonii, żołnierze drugiej wojny światowej i najnowsi przybysze z Polski, poszukujący na Zachodzie innych niż w Polsce warunków bytu.

Rozmowy te i spotkania były bardzo męczące, ale jednocześnie pozwoliły na zebranie wielu ciekawych informacji, na konfrontację poglądów i na poznanie dążeń, zamiarów i planów Polaków, zamieszkujących ten kolosalny kontynent.

Obserwacje były na pewno pobieżne, rozmowy za krótkie, konfrontacje poglądów zamało pogłębione, niemniej utworzyły obraz, którym warto się podzielić z czytelnikami.

Grupy etniczne

Najmocniejsze wrażenie, jakie się odnosi przy pierwszej konfrontacji z życiem w Stanach Zjednoczonych a także i w Kana-

dzie, to kłębowski wielu narodów, kultur, ras, języków. Wyraża się to nie tylko w zachowaniu się ludzi, ale także w architekturze, w stylu wnętrz, w wyglądzie miast, miasteczek i małych osiedli. Najmocniej uderza wygląd ulicy w Nowym Jorku. Hałas rozpedzonego tłumu, w dużym procencie kolorowego, przekrzykującego się amerykańskim żargonem lub mieszaniną różnych europejskich języków, uderza tak mocno, że pierwszego dnia trudno otrząsnąć się z oszołomienia i zdać sobie sprawę gdzie się człowiek znajduje. Tylko drapacze chmur przypominają o amerykańskiej rzeczywistości.

Pierwsza myśl, która przychodzi do głowy, to melancholijne stwierdzenie, że tłum uliczny pędzony jest odrębnymi i sprzecznymi interesami, że nie tworzy wspólnoty, że nigdy nie potrafi działać jako całość. I zaraz przychodzi refleksja: nie! Przecież Stany Zjednoczone to najpotężniejsze państwo świata, które już wielokrotnie, choćby w dwóch wojnach światowych, wykazało wielką wewnętrzną spójność, wielką umiejętność walki o wspólne, państwowe interesy. Ta rozpędzona, rozkrzyczana, handlująca masa to jednak wspólny organizm, dążący do tego samego celu, walczący o najwyższy zarobek a jednak w jakiś sposób względem siebie lojalny i słuchający swych przywódców w najważniejszych sprawach.

Widząc to, trudno nie wspomnieć hitlerowskich przechwałek o „zjednoczonej” Europie, która nie przetrwała 6 lat, i o sowieckim imperium, utrzymywanym policyjnym terrorem. Najbanalniejsze, tysiąc razy powtarzane twierdzenie, jest jednak prawdziwe: tylko wolność, ofiarowana wszystkim, tłumaczy ten amerykański i kanadyjski fenomen.

Podziwiając go, należy jednak pamiętać, że przez wiele lat Stany Zjednoczone wyznawały teorię *melting pot*, wielkiego kotła, w którym wszystkie grupy etniczne miały się stopić w jeden amerykański naród. Nowi przybysze, zwłaszcza z Zachodniej Europy, ulegali tej tendencji, widzieli w niej lepsze szanse dla swej przyszłości i starali się do niej dostosować. Dążąc do szybkiego zamerykanizowania się, odchodzili od kultury i cywilizacji krajów, z których przybyli, nie uczyli swych dzieci języka ojców. Wbrew nadziejom i wysiłkom nie dało to rezultatu, nie powstał nowy naród. Przybysze z Europy, odrywając się od historycznego i kulturalnego zaplecza, nie stawiali się uczestnikami nowej kultury i nowej przeszłości historycznej, bo jej po prostu jeszcze nie było. Oderwani od dawnego pnia, zawisali w próżni, tracili dotychczasową osobowość, nie zdobywając nowej. Osłabło to ich wartość, doprowadzało do kompleksów.

Wieloletnie doświadczenia *melting pot* przyniosły rezultat negatywny i dziś widzimy w Stanach odwrót od tego eksperymentu i to odwrót generalny. Władze centralne po długich deliberacjach doszły do przekonania, że mechanicznie nie może powstać żaden naród i zwróciły się pełnym frontem do grup etnicznych. Tworzy się wśród nich komisje rozważające ten problem, wyposaża się je w budżety i szuka nowych dróg. Przeszłość historyczna,

cywilizacja, kultura, zwyczaje i regionalne tradycje poszczególnych grup, wszystko to odzyskuje z powrotem utracone pozycje. Dyskutuje się zagadnienie szkół podstawowych, średnich i wyższych z katedrami różnych języków, planuje się wysokie nakłady słowników, książek i pomocy szkolnych.

Trzeba sobie postawić pytanie czy ten zwrot do grup etnicznych i do ich przeszłości nie osłabi spójności społeczeństwa amerykańskiego, czy nie opóźni procesu powstawania nowego narodu? Odpowiedź powinna być optymistyczna: nie. Powyżej, w kilku zdaniach, wspomniałem jakie są przyczyny wytknięcia nowego kierunku. *Melting pot* nie dał rezultatu, szuka się więc innych rozwiązań, ale nie w panice, nie w gorączkowych poszukiwaniach czegoś nowego, bo kraj się rozleci. Nie ma o to obawy, bo w Stanach grupy etniczne, w przeciwieństwie do Kanady (francuski Quebec), nie zdradzają żadnych tendencji odśrodkowych i żadnych ambicji tworzenia odrębnych organizmów państwowych. Znowu przede wszystkim dlatego, że nikt nikogo nie uciska, że wszyscy, niezależnie od kraju pochodzenia, korzystają z takiej samej swobody. Konieczność posiadania wspólnego, silnego państwa jest powszechnie uznawana.

Ten zasadniczy zwrot w polityce etnicznej otwiera nowe szanse przed liczną grupą polską. Czy zostaną wykorzystane?

Polonia wychodzi z getta

Po bankiecie, następnego dnia, odbyła się w Chicago msza św. celebrowana przez biskupa Abramowicza. Służyło do niej pięciu chłopców, dwóch jasnych blondynów z zadartymi nosami, niewątpliwie Polaków, trzech ciemnych, obcej rasy. Zapytałem o nich sąsiada, odpowiedział: Portorykańczyki.

Z mieszanymi uczuciami odbiera się taką odpowiedź. W polskim kościele, zbudowanym kolosalnym wysiłkiem dawniejszych pokoleń, służy do mszy chłopcy, którzy z naszym narodem nic nie mają wspólnego. Kościołów takich mamy w Chicago 69 i wiele z nich znajduje się w podobnej sytuacji. Polska dzielnica, którą oblicza się na 600 do 800 tysięcy mieszkańców, zaczyna się powoli wyludniać. Na miejsca opuszczone przez Polaków wchodzi kolorowi, obejmują nieskończone rzędy domków, raczej bardzo brzydkich, obejmują kawiarnie, restauracje, kina, sale taneczne, sklepy, hale towarowe, banki, kościoły, budowane przez długie lata przez przybyszów ze starego kraju, często analfabetów, którzy ze swych głodowych, ówczesnych zarobków oddawali 10 % na Związek Narodowy Polski. Dziś, oparty o ubezpieczenia, stanowi on potęgę finansową i ostoję Kongresu Polonii Amerykańskiej, ale dotychczasowy, prosty układ, sprowadzający się do odrębnych polskich dzielnic, zaczyna się powoli kończyć.

Polonia, nie tylko w Chicago, wychodzi z getta, przesuwając się do lepszych dzielnic, zyskuje większy procent inteligencji, obejmuje wyższe stanowiska, awansuje społecznie. Kończy się jeden

okres historyczny, zaczyna nowy, zbliża się na szczęście kres *Polish jokes*, okrutnych żartów na nasz temat, Polonia zaczyna zyskiwać wpływy, zaczyna się liczyć już nie tylko ilościowo, ale także jakościowo.

Na pewno początkowo proces ten rozluźni polonijne powiązania i w wielu sercach wywoła uczucie żalu a nawet lęku, na pewno zmusi do przebudowy dotychczasowych form działania, ale na długą metę musi przynieść efekty pozytywne. Spójrzmy na osiągnięcia narodu żydowskiego. Przebywanie w gettach pozwoliło mu przetrwać wiele setek lat bez utraty odrębności narodowej, ale kolosalne wpływy, jakie posiada, zdobyli dlań tylko ci, którzy opuścili żydowskie dzielnice, weszli w społeczeństwa krajów osiedlenia i dotarli w nich do najwyższych stanowisk.

Trzy warstwy emigracyjne

Rozważając problem polskiej grupy etnicznej w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie*, trzeba pamiętać, że nie jest ona jednolita.

Najstarszą i, oczywiście, najliczniejszą jest dawna Polonia, powstała z emigracji zarobkowej, tak samo jak i inne grupy etniczne. Jej dorobek jest olbrzymi mimo małych doniedawna wpływów w życiu publicznym z powodu zbyt długiego odosobnienia we własnych dzielnicach. Możliwości dawnej Polonii są dziś duże nie tylko dlatego, że liczy kilka milionów, ale z racji silnego już zespolenia się z amerykańskim i kanadyjskim życiem.

Na możliwości te trzeba jednak patrzeć inaczej niż na poczynania naszej, powojennej emigracji. Dawna Polonia to Amerykanie i Kanadyjczycy polskiego pochodzenia, których pierwszą lojalnością jest lojalność do kraju, w którym się urodzili, w którym żyją i który uważają za swój dom. Największy nawet sentyment do ziemi ojców nie zmieni faktu, że będą przede wszystkim iść po linii polityki swego prezydenta czy swego rządu. Alojzy Mazewski, prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej, mógł odmówić uczestnictwa w bankiecie urządzonym dla Gierka w Białym Domu, by podkreślić, że Gierek nie reprezentuje polskiego narodu, ale było nie do pomyślenia, by włączył się czynnie w uliczne demonstracje lub by imieniem reprezentowanych przez siebie polonijnych organizacji sprzeciwił się polityce Stanów Zjednoczonych.

Takie działanie w systemie demokratycznym jest możliwe przez partię polityczną i w tym zakresie Polonia może bardzo wiele. W Stanach ciągle odbywają się jakieś wybory, głosy polo-

* Według ostatniego spisu ludności w Stanach Zjednoczonych, 4 miliony wskazało na swoje polskie pochodzenie, ale cyfra ta nie obejmuje całej polskiej etnicznej grupy. W Kanadzie oblicza się Polaków na niecałe 400 tysięcy.

nijne się liczą i to jest droga, po której można dojść do dużych wpływów politycznych. Układ wewnętrzny Stanów na to pozwala, jest to zupełnie legalne, poprzez kongresmanów i senatorów polskiego pochodzenia nasza grupa etniczna może wpływać na politykę całego kraju i wpływ ten sięga wszędzie, a więc i do centralnej i wschodniej Europy. Dziś wpływ ten może być mały, ale gdy miną lata systematycznej pracy i gdy nadejdzie odpowiednia chwila, siła polityczna naszej Polonii może okazać się znaczna. Pamiętajmy pierwszą wojnę światową i wielkie osiągnięcie Ignacego Paderewskiego, który tylko dzięki temu, że był osobistym przyjacielem prezydenta Wilsona, potrafił go nakłonić, by do 14 pokojowych punktów wstawił punkt 13-ty o konieczności wolnej Polski z dostępem do morza. Był to wyczyn jednego tylko, wybitnego człowieka, ileż może zdziałać silna, sprawnie i mądrze kierowana grupa etniczna w kraju, który istnienie i potrzebę grup etnicznych w całej pełni uznaje?

Dziś sytuacja dawnej Polonii jest niezwykle trudna, bo nie wszyscy jej członkowie rozumieją, że konsul, przybyły z Warszawy, nie reprezentuje prawdziwie wolnego, polskiego państwa. Pod tym względem sytuacja była łatwa i jasna, gdy w okresie międzywojennym istniała niepodległa Polska, a nawet w okresie rozbiorów, gdy żadnej Polski nie było na mapie świata.

Wychodzenie Polonii z lokalnych gett przyniosło już pozytywne rezultaty. Przedstawiciele naszej grupy etnicznej sięgnęli już po wiele wysokich stanowisk, Gronousky był ministrem poczty i ambasadorem w Warszawie, Muskie kandydował nawet na prezydenta. Dawna Polonia to już nie tylko wielotysięczne polskie dzielnice, polskie kościoły, parafie, przedsiębiorstwa i organizacje, to już poważna siła polityczna i gospodarcza, z milionerami i przywódcami, którzy się liczą. Ktoś, kto chce im udzielać politycznych rad, powinien pamiętać, że przeważnie są to ludzie na wysokim poziomie, związani z krajem, w którym żyją, normalnymi więzami lojalności, że uznają w całej pełni system polityczny, który tam panuje, i że respektują linię polityczną swego prezydenta czy swego rządu.

Drugą warstwą polskiej grupy etnicznej jest powojenna emigracja zwana polityczną, bo z politycznych przyczyn nie powróciła po zakończeniu wojny do kraju. Nazwa nie powinna wprowadzać w błąd, tylko niewielki procent zajmuje się polityką, olbrzymia większość reprezentuje stanowisko niepodległościowe, działając na wielu innych polach, i to jest najbardziej cenne.

Wbrew nadziejom daleko jeszcze do połączenia się dawnej i nowej emigracji w jeden organizm. Pierwsze zetknięcia się zaraz po wojnie były trudne i nacechowane obustronną nieufnością a nawet niechęcią. Dawno osiedleni i urodzeni już w Stanach i w Kanadzie Polacy, pamiętali swe bardzo trudne początki, i wewnętrzne opory często powstrzymywały ich od wylewności i spontanicznej pomocy. Nowi przybysze nie umieli z nimi znaleźć wspólnego języka, byli zbyt niecierpliwi, chcieli szybko dojść do znaczenia i mocnej pozycji materialnej.

Jaskrawo zaznaczyło się to na terenie organizacji kombatanckich. Nowi przybysze byli w olbrzymiej większości żołnierzami drugiej wojny światowej i naturalnym biegiem okoliczności powinni byli dołączyć do dawnych kombatanatów. W Stanach istniało zasłużone i bogate Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej (SWAP), składające się z b. żołnierzy, którzy w czasie pierwszej wojny światowej przybyli z USA do Francji i walczyli w armii gen. Hallera. Władze SWAP-u nie odmówiły przyjęcia nowych członków, ale bojąc się zbyt szybkiej majoryzacji, wysunęły warunek, że trzeba być przynajmniej przez 5 lat członkiem organizacji, by móc ubiegać się o stanowisko w jej władzach. Na to nie chcieli się zgodzić przybysze z Europy i postanowili zorganizować się sami. Powstał Oddział Stowarzyszenia Polskich Kombatanatów z centralą w Londynie. Później SPK zamieniło się w Federację i Oddział w Stanach jest obecnie formalnie samodzielną organizacją, ale nie zmienił się przez to stan faktyczny na tamtym terenie. Nadal istnieje SWAP i nadal, osobno, SPK. Dawni weterani posiadają duży majątek, ale brak im nowych sił i młodszego pokolenia, SPK to ludzie przeważnie w sile wieku, ale bez zasobów materialnych.

Dużym dorobkiem powojennej emigracji są pozycje zajmowane na wielu uniwersytetach. Jest ich ok. 1000, świadczą o dynamice pokolenia, które mimo wielkiego upływu krwi i straty sześciu lat, wyrwanych z normalnego życia, potrafiło wspiąć się na najwyższe pozycje w zakresie nauki i kultury.

Brak wzajemnego przenikania się dawnej i nowej emigracji widzi się na imprezach i odczytach. W wielkich miastach jest gorzej, w mniejszych lepiej. W Nowym Jorku nie widziałem ani jednego przedstawiciela dawnej Polonii na moim referacie, w Chicago, na bankiecie i na akademii, było ich kilku, w Milwaukee pokazała się już spora grupa.

Kontakty z rdzennymi Amerykanami także nie przedstawiają się najlepiej. Tam, gdzie przygotowałem się na występ dwujęzyczny, mówiłem tylko po polsku, bo gości, nie rozumiejących naszego języka, nie było.

Znacznie lepiej przedstawiają się te sprawy na terenie Kanady. Dawna Polonia i powojenni przybysze mają bliższe kontakty pewno także i dlatego, że stosunek sił jest bardziej równy, prawie po połowie. Także problem kontaktów powojennej emigracji z życiem kanadyjskim i wydostawanie się na wyższe stanowiska wygląda lepiej niż w USA.

Trzecią warstwą polonijną są najnowsi emigranci, którzy przybyli z Polski w ostatnich latach. Jest to emigracja prawie bez reszty zarobkowa, szukająca na Zachodzie przede wszystkim lepszych warunków bytu. Jej uczestnicy idą własną drogą, nie łączą się z dawniejszymi emigrantami, miałem jednak okazję spotkać ich na kilku moich odczytach. Byli to ci, którym nie wystarcza samo zarabianie pieniędzy. Są doskonale zorientowani w problemach obecnej Polski, znają nieźle historię ubiegłej wojny, ich pytania były najciekawsze i najbardziej zaskakujące.

W Toronto wydają nawet miesięcznik „Krzyk” z bardzo obiecującymi hasłami redakcyjnymi. Za mało się o nich wie, by już dziś wyciągać wnioski. Wielką ich siłą jest młodość, rzucająca się w oczy na tle powojennego pokolenia.

Przyszłość polskiej grupy etnicznej w Stanach i w Kanadzie leży w zlanu się tych trzech warstw w jedną całość. Jest to potencjalna siła, która przy mądrym, spokojnym i obiektywnym kierownictwie politycznym może odegrać poważną rolę w w chwili nowych, historycznych rozwiązań. Nie można jej karcić sloganami, które powstały w Londynie 35 lat temu.

Terren najskuteczniejszego działania

W pierwszej fazie ubiegłej wojny centrala antyhitlerowskiego działania znajdowała się łącznie we Francji i w Wielkiej Brytanii, później już tylko w Londynie. Tam działały także polskie władze polityczne i wojskowe po odtworzeniu ich na sojuszniczej ziemi.

Stan ten uległ zmianie, gdy w obozie alianckim znalazły się Stany Zjednoczone. Ich olbrzymi potencjał gospodarczy i militarny sprawił, że do nich przeszła także inicjatywa polityczna. Wielka Brytania, która tak wspaniale przetrzymała kryzys w 1940 roku, poczęła tracić na znaczeniu. Imperium istniało nadal, ale Churchill musiał się coraz bardziej liczyć z prezydentem Rooseveltem i ulegać jego naciskom w sprawach najważniejszych decyzji, kształtujących nowe kontury świata.

Polskie czynniki polityczne, mimo przesunięcia się punktu ciężkości na zachodnią półkulę, pozostały nadal w Londynie i znajdują się tam po dziś dzień mimo, że imperium brytyjskie rozpadło się, siła uleciała, wpływy polityczne przeminęły i dzisiejsza Wielka Brytania dyszy ciężko, przynięcioną kryzysem gospodarczym i społecznym, i nawet w Europie nie odegrywa pierwszoplanowej roli.

W nowoczesnym świecie nie ma to większego znaczenia. Przy dzisiejszych, fantastycznych środkach łączności i przekazu, gdy ludzi chodzących po księżycu można na ekranie oglądać w każdej dziurze, nie jest ważne gdzie znajduje się mózg polityczny, wojskowy czy jakiegokolwiek innego działania. Ważne jest natomiast, by mózg ten działał sprawnie i by docierała doń świadomość zmian jakim podlega cały świat. Musi on wiedzieć także gdzie są najlepsze możliwości skutecznego działania i rzeczywistość tę respektować.

Niewątpliwie, gdy chodzi o możliwości, Stany Zjednoczone ofiarowują ich najwięcej, nie tylko dlatego, że reprezentują kolosalną potęgę, ale przede wszystkim z racji swego ustroju politycznego. W kraju, w którym prawie wszystkie stanowiska w życiu publicznym obsadza się drogą wyborów i w którym uznaje się i propaguje wagę grup etnicznych, osiągnąć można bardzo wiele.

W czasie mych objazdów i odczytów rozmawiałem na ten

temat wielokrotnie i wszyscy moi polscy rozmówcy zgodnie to podkreślali. Jedni szli bardzo daleko w przewidywaniu koniecznych zmian, inni byli bardziej konserwatywni, ale żaden z nich nie miał wątpliwości, że Stany są jedynym prawie krajem, na terenie którego można działać politycznie z nadzieją na sukces. Gdy wspominałem Europę, uśmiechali się sceptycznie. — Działać? Gdzie? We Francji, w Niemczech, w zbankrutowanych Włoszech, u was, w Wielkiej Brytanii, która sama wprowadziła siebie w sytuację nie dającą możliwości zrobienia żadnego odważniejszego kroku?

Padły także opinie dotyczące form politycznego oddziaływania. Mogą być różne.

Przede wszystkim istnieją możliwości wykorzystania normalnych, parlamentarnych platform. Kongresmani mogą forsować swe poglądy w Kongresie, senatorzy w Senacie. Czasem, w sprawach ważnych i nagłych, może wystąpić Kongres Polonii Amerykańskiej imieniem polskiej grupy etnicznej. Praktykują to inne grupy, przede wszystkim żydowska, i osiągają wielkie sukcesy.

Niezmierznie ważne jest posiadanie własnych ludzi na wysokich, centralnych i stanowych, pozycjach. Na pewno Stany Zjednoczone prowadzą przede wszystkim własną politykę, ale czyż fakt, że na stanowisku sekretarza stanu znajduje się Kissinger, nie wpływa na bardzo dalekie zaangażowanie się USA w politykę Izraela i w pomoc Żydom, którzy chcą się wydostać z Sowietkiej Rosji? Porównania są często zawodne, ale czyż podobna sytuacja nie mogłaby zaistnieć w stosunku, jeżeli już nie do Polski, to do losów Polaków w Rosji?

Trzeba także skoncentrować uwagę na masowych środkach przekazu, pamiętając o potęgze prasy, radia i telewizji. Posiadanie własnych polonijnych pism i własnych radiostacji, przemawiających po polsku wyłącznie do Polaków, jest ważne, ale nie załatwia problemu. Przedstawiciele polskiej grupy etnicznej powinni się znaleźć w centrach czysto amerykańskich środków masowej informacji, które urabiają opinię publiczną i wpływają na polityków. Jest to na pewno bardzo trudne, ale inni potrafili to osiągnąć. I nie tylko Żydzi. Olbrzymie wpływy posiada także wielka, licząca około 20 milionów, etniczna grupa niemiecka, bardzo wiele osiągnęli Irlandczycy.

Jakże mało o tym wszystkim wiemy tu, w Londynie. Bardzo często nie chcemy wiedzieć, bo tak jest wygodniej. Niektórzy nawet tracą nerwy i poczucie własnej godności, gdy się im przypominają, że Londyn przestał już być stolicą wolnego świata i że na innym terenie można działać lepiej i skuteczniej. Dąsy nie zmieniają tej rzeczywistości.

Józef GARLIŃSKI

Raptularz londyński

Kto patrzy na emigrację? Historia. Czyj powiew emigracja czuje? Historii. Czym żyje emigracja? Historią. Dla kogo emigracja działa, walczy i żyje się? Dla Historii. Tak to w każdym razie wygląda w Londynie w roku 1975. Możliwe, że ta gorączka historyczna jest przejściowa, wywołana przypadkowym podobieństwem dat 1945 i 1975. Ale może działa tu jakiś czynnik głębszy, może emigracja coś słyszy... a cóż ona mogłaby słyszeć? Dzwon. Komu bije dzwon? Emigracji.



Podsumowanie trzydziestolecia emigracji zrobił przez Radio Wolnej Europy, formalnie dla Kraju, a naprawdę dla „przyszłego, może jeszcze nienarodzonego historyka”, Józef Łobodowski. Mówił tak, mówił siak. Zdania, które wywołały szczególną furję londyńskiego *establishment*’u odnosiły się do:

- gospodarki pieniężnej: „nie zabezpieczenie wielkich sum pieniężnych, które... zostały częściowo zmarnowane, częściowo dostały się w ręce reżymu lub do kieszeni nieuczciwych powierników;
- braku postawy moralnej wśród emigracji, objawiającego się przede wszystkim w braku zgody.

Obowiązek odpowiedzi, również oczywiście wyłącznie dla celów „przyszłego obiektywnego historyka emigracji”, wziął na siebie przewodniczący (marszałek?) Rady Narodowej, F. Wilk. „Wyprasa on sobie” obciążanie bilansu całej emigracji sprawą funduszy, gdyż ta odpowiedzialność spada wyłącznie na wojsko. Co do zgody, to p. Wilk ocenia ten zarzut jako zwykłe oszczerstwo rzucone w twarz emigracji. Według niego jedność moralna istniała w ciągu całych 30 lat emigracji.

Jak to, a co będzie gdy przyszły, może jeszcze nienarodzony, historyk emigracji pominie akurat ten przeznaczony dla niego numer 647 *Jutra Polski* zawierający te wskazówki, i sięgnie dalej wstecz? I znajdzie w tymże piśmie z roku 1945, artykuły o „Zgubnych praktykach” czyli przygotowaniach do przekazania publicznych pieniędzy prywatnym osobom, o tym jak to „Zabezpieczali się i Zabezpieczają”, czyli o dalszej parcelacji funduszy państwowych.

A w sprawie zasadniczej — to wojsko już nie należy do emigracji? Co do postawy moralnej i jedności to to samo źródło zawiera takie wypowiedzi w latach 1956-57:

„cynizm przywódców zasiadających w 'zjednoczeniu', którzy narzucają się nadal jako przywódcy polityczni, ... uzurpują sobie prawo reprezentowania politycznej emigracji”.

„Politycy londyńskiego obozu upadłościowego czekają na rozwiązanie biologiczne”.

„Komenda państwowa na emigracji przyczyniła się do rozkładu moralnego emigracji i zaprzeczania politycznego programu i jej zasadniczych celów”.

W zjednoczeniu w ramach TRJN „skupili się ludzie naiwni, a aktywność wykazywały jednostki o giętkich karkach i rękach wyciągniętych po zapłatę za wierną służbę dla dobra sprawy”. Istnieje bowiem na emigracji kategoria ludzi zawodowo sprzedających się każdemu kto zabłyśka mirażem władzy i sakiewką”...

Jedno pytanie, panie Marszałku: jeśli błyskanie mirażem i sakiewką nie dało rezultatu 20 lat temu, to czymże oni dzisiaj błyskają?



Od kilku miesięcy toczy się, między dwoma PPS-ami w jakie obfituje Londyn, spór *ad usum* historii socjalizmu, o to, który z obu PPS-ów i Centralnych Komitetów pójdzie na śmietnik historii. Ponieważ dyskusja toczy się w kategoriach geometrycznych, bo przeciwnicy wytykają sobie wzajemnie niezliczone zwroty o 180 stopni, więc wskazane jest aby na przyszłego historyka emigracji mianować geometrę. 180 stopni to na pozór niewielka sztuka, ale gdy ciągle zmienia się punkt odniesienia całego układu, to po kilkudziesięciu takich zwrotach ustalenie ostatecznej pozycji może być całkiem niełatwe.

Spór nabrał kolorów na akademii ku czci Jałty, zorganizowanej szumnie przez Radę Narodową RP i Rząd i Prezydenta RP w sali POSK'u. Przemawiając jako jeden z ośmiu mówców, prezes klubu PPS w Radzie Narodowej, wymienił jakby przypadkiem konkurencyjnych socjalistów. W tym miejscu włos mu się zjeżył, oczy poszły w szept i „to oszuści!” wrzasnął niehumanitarnym głosem. „Kęsim!” zakrzyknął z ław Związku Socjalistów Polskich gen. Kordian-Zamorski i już leciał ostrzyć szablę, aby krwią zmazać zniewagę. Dzielnym generałem, nieświadomym widocznie historycznego boju toczącego się na jego flance, wziął bowiem pod swoim adresem tę delikatną i niezbyt precyzyjnie sformułowaną wymówkę. Generał uspokojono ku zadowoleniu wszystkich. Fakt, że szef policji dawnego reżymu w Polsce występuje obecnie jako socjalista, nie wywołał komentarzy. Pozostało jednak otwarte szersze zagadnienie. Powodem rozłamu w PPS, czyli utworzenia Związku Socjalistów Polskich, był Stolec, a mianowicie okupowanie takowego przez Augusta Zaleskiego. Wydawać by się mogło, że wobec śmierci Zaleskiego i przystąpienia 1/2 PPS do wspólnej z ZSP Rady, zniknie automatycznie podział między towarzyszami i oba stronnictwa zleją się w jedno. Dlaczego tak się nie stało i nie stanie dowiemy się wkrótce z pracy, jaką podobno prof. Pragier, twórca ZSP, pisze z okazji 28-lecia swej partii. Teza profesora brzmi, że w tym okresie nastąpiły nieodwracalne zmiany. Gdy bowiem PPS zatrzymało swój marksistowski charakter, ZSP odrzuca go, przyjmując socjalizm

„o ludzkiej twarzy”. Gdyby tak było, to mielibyśmy naoczny dowód jak to ilość (mała) przechodzi w jakość.

Dla obowiązku sprawozdawczego trzeba powiedzieć więcej o samej akademii (oczywiście była to anty-akademia ku anty-czci, ale ostateczny wynik jest ten sam). Przebyło na nią około 250 osób, co nie jest wiele, zważywszy, że sama Rada, powołana w dniu 15. XII. 1973, miała 234 członków. Nawet jeśli przyjąć, że połowa w międzyczasie zmarła, to i tak powinno być ponad setkę. Po odjęciu żon, mężów i dzieci radnych, na sali nie można się było doliczyć więcej, jak piętnastu osób postronnych. Imieniem rządu ważne oświadczenie złożył 84-letni minister Spraw Zagranicznych. Oświadczył on mianowicie, że rząd zaczyna już robić przygotowania do przekazania walki o sprawę polską w ręce młodego pokolenia, „urodzonego już tutaj”. Mówca nie wyjaśnił powodów, dla których pokolenie(a) w wieku lat 30-60, a więc urodzone nie „tutaj” zostało(y) wyłączone z sukcesji.

Temat ten odbił się echem na „konkurencyjnej” akademii jałtańskiej. Przybył z USA młodszy od wyżej wymienionego ministra, stwierdził że należy do pokolenia, które było tak długo za młode, aż zrobiło się za stare.

Inicjatorem tej drugiej akademii był Związek AK. Była to kolejna próba wyprowadzenia Związku na szersze wody publiczne. Podobno aktywizacja grupy AK łączy się z przejściem T. Zawadzkiego na emeryturę z końcem 1973 roku. Ten dawny działacz NiDowy po powrocie do Londynu nie odnowił dawnych związków partyjnych, a organizuje własną *power base* na gruncie AK. W ostatnim czasie nastąpiły we władzach Związku przesunięcia osobowe, które podobno mają dużą wymowę.



Z kolei należy zrobić przegląd prawej strony emigracyjnej sceny — NADZWYCZAJNY DODATEK! DWIEŚCIE LAT DMOWSKIEGO I BIELECKIEGO! DODATEK NADZWYCZAAA...

Gdyby prasę naszą sprzedawali w Londynie tradycyjni gazeciarze, to niewątpliwie tak anonsowaliby pojawienie się meteoru jednolitego pod nazwą „Gazeta Warszawska”. Meteor ukazał się staraniem Stronnictwa Narodowego, jest więc dodatkiem do *Myśli Polskiej*, stałego organu tej partii. Przewód myślowy, który doprowadził do wydania „Gazety” *ausgerechnet* przez grupę SN, jest co najmniej naiwny. Pierwotna Gazeta Warszawska ukazała się w 1774 roku, gdy o żydo-masonerii nikomu się jeszcze nie śniło, i po różnych kolejach losu stała się w 1906 roku organem Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego. Jako taka wychodziła do roku 1935 z przerwą na pierwszą światówkę. Trudno się więc dopatrzeć zarówno dwustu lat samej gazety, jak i — o co chyba chodziło wydawcom — takiejże genealogii dla samego Stronnictwa. Mniejsza o to. Mniejsza też o to,

że z powodu typowej emigranckiej nieudolności numer „200-lecia” ukazuje się w 201 lat po numerze pierwszym. Ale ważniejsze jest to, jakie to skarby myśli chce nam szacowne Stronnictwo przekazać przy tej historycznej okazji. *Pièce de résistance* „Gazety” to artykuł ks. Warszawskiego „rozprawiający się” ze zwyczajem dawania na mszę za duszę marsz. Piłsudskiego. Według autora zwyczaj ten jest godny potępienia bo celem zawarcia swego pierwszego ślubu (z rozwódką) przysły małżonkowi musiał przyjąć wyznanie protestanckie. Jakże wnioski wyciągają z wywodów ks. Warszawskiego członkowie Stronnictwa trudno powiedzieć.

„Gazeta” to przelotny drobiazg bez znaczenia. Ale sytuacja na prawicy wymaga jeszcze dalszych komentarzy. Z artykułów publikowanych w prasie narodowej po obu stronach Atlantyku można się było ostatnio dowiedzieć, że Polsce przybył jeszcze jeden wróg. Jest nim „żółte niebezpieczeństwo” czyli Chiny. Tak więc lista wrogów narodu wzrosła już do pokaźnych rozmiarów, obejmując Chiny, Niemcy, Izrael (Żydów w ogóle), Litwinów, Ukraińców, no i tych masonów. Uderza brak na liście Rosji. Nie jest to zapewne przypadkowe. Bo faktem jest, że homogeniczne ongiś Stronnictwo stało się dziś zbiorem kręgów ułożonych jeden pod drugim. Im niżej, im bliżej dna, tym trudniej dociec, kto dla kogo działa, od kogo pieniądze bierze, czym interesem się kieruje... Rozkład ten ma źródło w moralnej słabości polskiej prawicy. Endecja to ten *czerep rubaszny*, który wiąże polską duszę *anielską*; nie ma ona szczególnych zahamowań moralnych, wprost przeciwnie — praktyki amoralne, w polityce oczywiście, są jej całkiem bliskie. Jesteśmy w roku jubileuszowym — 25-lecie Bergu. Berg, dzieło bardzo wątpliwe moralnie, było tworem głównie Stronnictwa Narodowego. A gdy przeciw tej akcji zaczęły podnosić się głosy protestu Stronnictwo w 1953 roku odparowało krytyki taką oto ripostą:

„Zjazd potępił z całą siłą wszelkie próby ataków i dywersji zmierzających do zohydzenia naszego Stronnictwa przez płatnych agentów reżymowych i ich świadome czy nieświadome narzędzia”.

Jest to dialektyka stalinowska najczystszej gatunku (Stalin pasjami lubił dzielić ludzi na obiektywne i subiektywne wrogi ludu, po czym obie kategorie bezwzględnie likwidował). Ciągoty do metod stalinowskich, do słynnego *newspeak* wciąż drze mią wśród pewnych grup. Nawet teraz zarzuca się nowopowstałej organizacji, POSK'owi, że jest „niepewna politycznie” a to dlatego, że jest prowadzona według zasad demokratycznych. Natomiast faceci, którzy zagarnęli majątek państwowy i ani myślą się z niego wyliczyć, nazywają się „działaczami społecznymi”. Aby wszystko właściwie pojąć i opisać, przysły historyk emigracji będzie musiał przeprowadzić rozległe studia na językiem, zaczynając od pra-źródła — Stalin.

Na zakończenie przypomnieć należy o jeszcze jednej rocznicy. Mija rok, jak Rada Narodowa na swej sesji budżetowej przyjęła wśród ogromnego entuzjazmu podległej ludności wniosek radnego Adama Ciołkosza o „powołanie komisji rzeczoznawców celem zbadania całokształtu zagadnienia gmachów w Londynie”. Sprawozdanie miało być zrobione przed końcem 1974 roku. No więc jak z tym sprawozdaniem, proszę Areopagu? Jakby z całokształtem nie szło, to może choćby jakiś częściokształt wydać dla oświecenia przyszłych historyków i współczesnych wyborców w tym historycznym roku 1975, roku powszechnych wyborów na emigracji?

P. EMIGRANT

Poradnik dla turystów

Wynajmowaniem mieszkań w Warszawie dla cudzoziemców i w ogóle dla turystów „dewizowych” zajmuje się specjalna instytucja tzw. PUMA. Za jej pośrednictwem cudzoziemiec może np. wynająć czteropokojową willę na Sadybie (dzielnica położona daleko od centrum i ze słabym zaopatrzeniem) za 19.000 zł miesięcznie (z meblami, ale bez pościeli i bez sprzątanin), albo dwu — trzypokojowe mieszkanie w centrum Warszawy w cenie od 690 zł do 950 zł za dobę — w zależności od wygód. Wymiana dewiz na opłacenie czynszu za willę czy mieszkanie jest po kursie 24 zł za dolara. Wynajęcie mieszkania czy willi bez pośrednictwa PUMY jest w zasadzie niemożliwe.

Problem mieszkania dla cudzoziemca czy turysty podróżującego z rodziną jest o tyle ważny, że mieszkając w hotelu nie ma mowy o przygotowaniu np. jedzenia dla małego dziecka. Zresztą gotowe potrawy dla niemowląt i małych dzieci są raczej w małym wyborze i trudne do zdobycia. Są np. puszki „krem z kury”, „mięso w pomidorach” i „cielęcina w jarzynach”, ale kosztują od 40 do 60 zł za puszkę i należy je kupować od razu w dużych ilościach, bo tak jak się nagle zjawiają, tak i nagle znikają. To samo dotyczy soków, które są raczej niewyszukane, np. sok jabłkowy z dodatkiem dyni — nawet dzieci odmawiają picia tego płynu.

Dla niemowląt natomiast nie ma właściwie nic, bo nawet mleko w proszku jest trudne do nabycia.

Turyści przyjeżdżający do Polski z niemowlęciem powinni ponadto pamiętać o zaopatrzeniu się w pieluszki na cały okres pobytu. Istnieją polskie pieluszki do wyrzucania, ale w zasadzie należałoby je wyrzucać przed użyciem. Siatka, która pokrywa ligninę drapie pupę i uda niemowlęcia do krwi. Gdy natomiast dziecko robi siusiu — pieluszka dosłownie się rozpada. O innych potrzebach w ogóle nie ma mowy.

Czasami pojawiają się pieluszki z NRD, które są trochę lepsze, ale 20 sztuk kosztuje 30 zł, a dziecko zużywa na dobę około 10-ciu sztuk.

Kronika francuska

16 stycznia 1975 roku ukazało się w „Journal Officiel” zarządzenie Ministra Oświaty dopuszczające język polski jako pierwszy lub drugi język przy maturze francuskiej. Zarządzenie to obowiązuje na terenie 9 akademii (okręgów szkolnych).

Zarządzenie to jest dla społeczności polskiej we Francji bardzo ważne, gdyż otwiera drogę do reformy nauczania języka polskiego na wszystkich szczeblach.

Jest ono ważne także ze względu na swój aspekt polityczny: to akcja Polaków — obywateli francuskich, a nie układ między rządem Republiki a reżymem — doprowadziła do wydania tego zarządzenia.

Dla informacji — zwłaszcza czytelników spoza Francji — kilka słów o historii tej sprawy. Jest ona długa, bo bodajże jeszcze w 1918 roku generał Józef Lipkowski (dziadek ministra V-ej Republiki) postarał się o wprowadzenie języka polskiego przy maturze, ale jako trzeciego języka; był to więc egzamin nie-obowiązkowy, który nie wpływał na wynik matury, a najwyżej przyczyniał się do wyróżnienia maturzysty (*mention*). Za czasów Polski niepodległej i po ostatniej wojnie mieli prawo zdawania z języka polskiego jako pierwszego lub drugiego języka obcego tylko maturzyści posiadający obywatelstwo polskie względnie naturalizowani nie dłużej niż od 6 lat. Było to praktycznie bez znaczenia, gdyż obecnie zdają maturę Polacy-obywatele francuscy, i to najczęściej urodzeni we Francji (a więc nie naturalizowani).

Kiedy Komitet Wyborczy Polaków Naturalizowanych zaczął kampanię na rzecz języka polskiego przy maturze bez warunków pochodzenia dla kandydatów natknął się na nieprzychylny stosunek ówczesnego ministra oświaty p. Fontanet. Z inicjatywy jednego z działaczy Komitetu, p. Edwarda Kozika z Roubaix, zebrano przeszło 25.000 podpisów pod „apelem do Ministra”; jest to bardzo dużo, jak na 800.000 społeczność polską w Francji. Trzeba dodać, że podpisywali nie tylko Polacy, ale rodowici Francuzi oraz obywatele francuscy innych narodowości. Wśród Francuzów było kilkadziesiąt podpisów członków parlamentu, deputowanych i senatorów.

Przed wyborami 1973 roku p. Fontanet zrobił pierwsze ustępstwo: rozszerzył zasięg kandydatów na wszystkich tych, których rodzice mieli kiedykolwiek paszport polski.

Komitet nie dał za wygraną. Odpowiedział ministrowi, że do szkół średnich uczęszcza obecnie nie drugie, ale trzecie pokolenie Polaków we Francji; większość rodziców uczniów liceów urodziła się już we Francji i nigdy polskiego paszportu nie miało. Poza tym, Komitet twierdził, że język polski jest jednym z języków w którym tworzyła się kultura Europy i nie powinien być ograniczony tylko do grona Polaków czy ludzi polskiego pochodzenia.

P. Fontanet, widząc że nie będzie miał spokoju zdobył się na gest bohaterski: oświadczył publicznie, że wydał zarządzenie o dopuszczeniu języka polskiego do matury bez warunków pochodzenia dla kandydatów. Oświadczenie to złożył w... Warszawie, w czasie swej wizyty oficjalnej, która przypadła na kilka tygodni przed wyborami parlamentarnymi. Gest p. Fontanet nie napotkał na entuzjazm w sferach rządowych. W dodatku oświadczenie ministra... nie zgadzało się z prawdą, choć było owiane najlepszymi chęciami

zrobienia prezentu reżymowi komunistycznemu z wyników akcji Komitetu Wyborczego który prowadzi akcję... antykomunistyczną.

Po odejściu p. Fontanet z rządu sprawa szybko poszła naprzód. W listopadzie *Conseil de l'Enseignement Général et Technique*, po referacie p. Marii Wisti, uchwalił jednomyślnie dopuszczenie do francuskiej matury języków polskiego i... chińskiego. 4 grudnia 1974 roku uchwalił tę zatwierdził *Conseil Supérieur de l'Enseignement* (znow po referacie p. Wisti, o ile chodzi o język polski), a 9 stycznia 1975 roku minister oświaty p. René Haby podpisał zarządzenie, które w tydzień później ukazało się w *Journal Officiel*. Zarządzenie to ważne jest już w roku 1975.

O ile na szczeblu szkolnictwa wyższego posiadamy kilka katedr i kilka naście lektoratów języka polskiego, to ilość studentów uczęszczających na wykłady języka i literatury polskiej pozostawia wiele do życzenia. Miejmy nadzieję, że dopuszczenie języka polskiego do matury i to na pełnych prawach polepszy ten stan rzeczy.

Jednocześnie wprowadzona zostanie *agrégation* z polonistyki, która otwiera drogę do kariery uniwersyteckiej i C.A.P.E.S. — jest to egzamin zawodowy dający prawo nauczania w szkołach średnich.

Nauczanie języka polskiego w szkołach średnich przewidziane przez układy kulturalne rządu francuskiego z reżymem było dotychczas systematycznie sabotowane przez francuską administrację szkolną. O ile nam wiadomo, istnieje ono obecnie w trzech liceach (Bruay-en-Artois, Béthune i jedno z liceów paryskich) ale ani ministerstwo, ani akademie, ani dyrekcje szkół nie robią nic, by poinformować o tym społeczność polską we Francji. Po pewnym czasie stwierdzają tylko, że na wykłady polskiego zapisało się niewielu uczniów! I w tym wypadku perspektywa matury z języka polskiego może zwiększyć ilość uczniów, a nawet ilość punktów nauczania (żądanie 40 rodziców, jako warunek wprowadzenia nauki polskiego).

Pozostaje nauczanie na szczeblu szkoły powszechnej. Przejęte przez państwo dekretem z 8 października 1950 roku jest ono obecnie w stanie daleko posuniętego rozkładu, którego przyczyny są bardzo złożone. Do tego tematu warto wrócić przy innej okazji.

O POLONII FRANCUSKIEJ W „KIERUNKACH”

Wydawany przez „PAX” tygodnik *Kierunki* zamieścił artykuł Romana Wodzieckiego pt. „Polonia Francuska” (8. XII. 1974). Autor, przedwojenny konsul w Szczecinie, a powojenny (rządu w Londynie) w Tuluzie — poświęca swój artykuł dziejom Polonii w XX wieku.

Opisuje on pierwsze próby osiedlania Polaków we Francji przed 1914 r., imigrację (może raczej „transmigrację”?) Polaków z Westfalii i Nadrenii do Francji, a następnie fale emigrantów napływające bezpośrednio z Polski.

Sporo miejsca poświęca autor strukturze organizacyjnej Polonii międzywojennej i powojennej, wspominając również o okresie okupacji. Mówiąc o walce Polaków we Francji z niemieckim okupantem R. Wodziecki pisze: „Czyn zbrojny Polonii francuskiej w latach 1939-45 to zjawisko bezprzykładne nawet w naszych nietypowych dziejach”.

Obecny stan rzeczy przedstawia R. Wodziecki następująco: „...dzisiejsza Polonia to ludzie zdecydowani na pozostanie we Francji — sposób myślenia sezonowców znikł, przytłaczająca większość ma obywatelstwo francuskie, reszta, obliczana na około 100.000, czyni o nie starania”.

Artykuł R. Wodzieckiego jest skrótem, ale dobrym przedstawieniem spraw Polonii francuskiej. Można by może zwrócić uwagę na kilka szczegółów, jak „podfryzowanie” znaczenia strajku górników w Leforest (Pas-

de-Calais), po którym — między wielu, wielu innymi — został wydalony Gierak. — Związek Inżynierów i Techników powstał dopiero w 1919 roku (obchodził w 1969 roku swoje 50-lecie). — Szkoła w Les Ageux (przeniesiona potem do St. Jean-les-Deux-Jumeaux) została zamknięta w międzyczasie. Zdaje się, że p. Wodicki pomieszał dawne stowarzyszenie p. Rose Bailly, które nie daje znaków życia, z reżymowym stowarzyszeniem „France-Pologne” (istnieje inne, tej samej nazwy, założone przez Paderewskiego!). Rozmieszczenie Polaków we Francji zmienia się wraz ze zmianą stratyfikacji społecznej tej społeczności i z przemianami w rozmieszczeniu ośrodków przemysłowych (przeniesienia metalowców z Lotaryngii do Fos pod Marsylię itp.) — R. Wodicki nie wspomina o istnieniu grupy Polaków na statusie uchodźców politycznych (ok. 12.000 w roku 1974). To byłoby chyba wszystko.

Paryż, 5 marca 1975 roku

Jerzy JANKOWSKI

Nowości wydawnicze

TOM 251 — MICHAŁ HELLER

ŚWIAT OBOZÓW KONCENTRACYJNYCH A LITERATURA SOWIECKA

Książka, która ułatwia zrozumienie „Archipelagu GUŁag”
Aleksandra Sołżenicyna.

Str. 324.

Cena F. 30 (dol. 7,00)

TOM 252 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT TRZYDZIESTY PIERWSZY

zawiera m.in. prace: Bogusława Miedzińskiego: *Polityka wschodnia Piłsudskiego*; V. Sliogeris: *Tajne rokowania polsko-litewskie*; E. Zagiełł: *Kronika litewska*; płk. Zygmunta Borkowskiego: *Wspomnienia 1939-1943* (c.d.); Stanisława Wachowiaka: *Wspomnienia*; Romana Buczka: *PRL w 1946 roku*; Z. S. Siemaszko: *O Polakach w ZSSR*; Stefana Benedykta: *Kijowskie „poprawki historyczne”*; W. T. Drymmera: *Wspomnienia* (dokończenie) oraz RECENZJE i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 25,00 (Dol. 6,50).

Kronika kulturalna

O Wańkowiczu bez szminki

Melchior Wańkowicz zmarł w Warszawie 10 września 1974 r. W kilka miesięcy potem Stanisław Gierat dowiedziawszy się, że Jerzy Giedroyc zaproponował mi napisanie wspomnień o Melu przysłał spory plik wycinków prasy krajowej, omawiającej jego twórczość i pozycję jaką zajął w naszym piarstwie. Gierat w wychodzącym w Ameryce *Kombatancie* poświęcił Wańkowiczowi dłuższe wspomnienie. Wróć dalej do niektórych fragmentów gieratowego wspomnienia.

Jak można się było spodziewać pisarze krajowi wkładają na skronie zmarłego pisarza laur mistrza. W warszawskiej *Kulturze* wypowiedziało się ich kilku. Otwierał ten korowód — jak słyszę akowiec — Aleksander Małachowski. Przyznawał szczerze, że nie był nigdy znawcą twórczości Wańkowicza ale kochał go tak, jak się kocha starszego brata czy ojca gdyż łączyło go z pisarzem wiele spraw wspólnych. Obaj wyrosli jakby z takiego samego pnia, z Kresów, z daleko zostawionych domów. Z okien kałużyckiego dworu, w którym urodził się „wielki mistrz słowa i życia” nie można było dostrzec dobrej lub tragicznej przyszłości. I mogłoby się zdarzyć, że „mistrz” niczego by więcej w życiu nie dostrzegał, a jego wielki talent epicki zostałby zużyty na opisywanie zastygłej historii. Lecz ciekawość świata sprawiła, że Wańkowicz szybko poszerzył krąg zainteresowań wyznaczony mu przez los. Miał bowiem, według Małachowskiego, podobnie jak jego kuzyn Ksawery Pruszyński, przede wszystkim poczucie życiowego uczestnictwa w sprawach publicznych. Choć z pozoru miał setki przyjaciół, był w istocie przeraźliwie sam. „W jego metodach postępowania” — kończy zakochany w „mistrzu” Małachowski — „dawało się spostrzec wiele chytrłości starego lisa, i to ludzi myliło. Nie rozumieli, że to była tylko jedna z metod obrony samodzielnego myślenia”. Rzeczywiście, nie rozumieli.

Z Małachowskim, krajowym apologetą Wańkowicza łączy mnie jedno. Wiele książek Wańkowicza zaczynałem czytać, lecz nie mogłem skończyć, nie mogłem więc także pretendować do znawstwa bogatej w ilość tomów spuścizny Wańkowicza. Zasypiałem przy „Copie”, „Ognisku siły”, „Opierzonej rewolucji”. Przerwałem czytanie „Na tropach smęta”, pełen obaw, jaki los gotuje ludziom wymienionym w tej książce po nazwisku. A znałem dobrze Warmię i Mazury zanim się tam Mel wybrał. W ocenie twórczości Wańkowicza skłonny jestem zgodzić się z Wacławem Zbyszewskim, mianowicie, że „Szczenięce lata” pozostaną na zawsze jednym z bardzo rzadkich arcydzieł literatury polskiej. „Szczenięce lata” przeczytałem dwa razy. I kto wie czy gdyby przy tej tematyce pozostał, nie stworzyłby jeszcze kilku podobnych arcydzieł. Ale on, jak się Małachowski pięknie wyraża, pragnął przede wszystkim uczestniczyć w aktualnych sprawach publicznych. To swoiście ujmowane pragnienie obniżyło jego loty do poziomu — to prawda — pracowitych, często pisanych na zamówienie, reportaży o wszystkim co mogło liczyć na poczytność i dochody. Kwitnął przeto w Polsce niepodległej, nie gorzej powodziło mu się na emigracji i dobrze w PRL-u. W każdej bowiem sytuacji w jakiej się znalazł swej życiowej regule pozostał wierny, można rzec cynicznie wierny.

Był ode mnie o kilka lat starszy, studiował w latach 1912-14 na uniwersytecie jagiellońskim, kiedy ja dopiero kończyłem gimnazjum. W Krakowie wstąpił do akademickiego ZETU. Równieśnicy Mela opowiadali, że dwudziestoletni panicz kresowy tryskał zawsze humorem. Bywał często w hotelu „Pod Różą” gdzie mieściła się kwatera zetowców. Wstąpił do „Drużyn Polowych”. Opuścił Kraków jeszcze przed wybuchem wojny wskutek czego nie stawiał się na mobilizację zarządzoną przez Piłsudskiego. Udał się za kordon i został zmobilizowany do wojska rosyjskiego.

W miesiącach poprzedzających wybuch wojny i później aż do 5 sierpnia 1915 roku, Warszawa była widownią częstych, wiernopoddanych pochodów rosyjskich. Zaszyty w ówczesnym podziemiu, pozbawiony nieraz zupełnej łączności z Komendą Główną Legionów w Krakowie, Adam Koc tworzył zręby Polskiej Organizacji Wojskowej. Pewnego dnia złapała go na ulicy wiernopoddana manifestacja. Każdej towarzyszyły sfory szpiclów. Narażony na aresztowanie, Koc przezornie wszedł do najbliższej bramy. Ku swemu nieopisanemu zdziwieniu ujrzał w bramie dobrze znanego z czasów krakowskich Wańkowicza w mundurze rosyjskim. Na pytanie dlaczego nie stawiał się na mobilizację do Legionów Wańkowicz odpowiedział, że miał dosyć mrzonek, którymi go w Krakowie karmiono.

Nic o tym nie wiedzieli zetowcy warszawcy, gdy Mel zjawiał się wśród nich z rozwiązanego właśnie Korpusu Dowborza-Musnickiego. Szczególną estymą wśród dowborczyków, tłumnie zalegających ulice Warszawy, cieszyli się ci, którzy w Korpusie organizowali opór przeciwko jego likwidacji. Wśród opornych znajdował się Wańkowicz. Zapomniano, choć nie zupełnie, że nie

stawiał się na mobilizację do Legionów. Już dwudziestokilkolennego, zawsze krzepkiego i roześmianego Wańkowicza, przyjęto z otwartymi ramionami. Na zebraniach warszawskiego ZETU, gdzie go poznałem, niczym nie zabłysnął. Może nie chciał błyszczeć. Podejrzewam, że miał żal, iż nie dostał się od razu do wyższego stopnia zetowego wtajemniczenia. Centralizacja, która dobrze znała szczegóły biografii Wańkowicza, nie chciała pasować go na „brata”.

Pewnego dnia zaszedł do mnie na Mokotowską i przyniósł w prezencie numer czasopisma *Niepodległość* drukowanego w Petersburgu. Cel wizyty był jasny. Chciał skonfrontować swoje i moje opinie o warszawskich zetowcach, których wielu nie znał. Najdłużej wypytywał o Bolesława Srockiego. Bolek urzekł go niezwykłą inteligencją i aureolą jaka otaczała jednego z ideologów ZETU.

Odtąd widywaliśmy się często, lecz raczej dorywczo. Zbliżył się bardzo do Zdzisława Lechnickiego, prezesa Towarzystwa Straży Kresowej. Straż Kresowa oswajała wielonarodową ludność kresów wschodnich z niedawno odrodzonym państwem. Na zajmowanych przez wojska polskie ziemiach wschodnich krzewiła naszą kulturę. Mel czynnie współdziałał z tym tworem zetowców. Pamiętam jakieśmy się razem znaleźli w Białymstoku, ledwie wyzwoleńcy od bolszewików. Miałem przemawiać nad grobem białostoczan, poległych w walkach z nimi, ale chwycił mnie ból zęba. Mel zamienił mnie w ostatniej chwili. Wygłosił naprawdę porywające przemówienie. Po raz drugi spotkaliśmy się w październiku 1920 roku w Grodnie, w dwa dni po zajęciu Wilna przez Żeligowskiego. W Grodnie dowiedziałem się, że mam zdjąć mundur i podjąć się redagowania dziennika w ogółoconym z prasy Wilnie: W kiluosobowej ekipie „strażników” jadącej z Grodna do Wilna znalazł się Wańkowicz. Miał mi pomóc w montowaniu pisma. Istotnie, pomagał przez trzy dni. W ostatnim dniu puścił w *Gazecie Wileńskiej* rewolwerową wiadomość, z którą miałem później dużo kłopotów.

Spotkałem go potem w Warszawie, już nie w granatowej maciejówce na głowie, w długich butach i w tzw. frenczu. Paradował w „jaskółce” i starannie przyprasowanych spodniach. Był urzędnikiem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Co tam robił — nie pamiętam. Pamiętam, że nie opuszczając urzędu stworzył w 1923 r. spółkę wydawniczą pod firmą „Rój”. Mając dwóch wspólników, właściciela hurtowni tytoniowej Tworowskiego i niejakiego barona Brynka, zalewał stolicę i kraj małymi, żółtymi książeczkami. W Warszawie sprzedawano je na wózkach „Roju”. Podkpiwaliśmy z Mela, ale przyznawaliśmy jednym głosem, że gdy o pieniądź chodzi pomysły ma dobre. Książeczki rozchodziły się jak masło, bo zajmowały się skandalami. Gdy się ukazała ostatnia — dwudziesta piąta — o podejrzanym o morderstwo Bispingu, Mel rozstał się z współnikami. Dlaczego — nie wiem. Dość, że w trzy miesiące po powstaniu firmy miejsce dawnych współników zajęli nowi: pp. M. i H. Kisterowie. Oni to wspólnie z Melem rozpoczęli

nowy nie podobny do żółtego — rozdział działalności wydawnictwa. „Rój” rozwijał się wspaniale. Wańkowicz czuł się znakomicie. Wierzył w swą gwiazdę pomysłowego wydawcy i utalentowanego pisarza. Autor popularnego sloganu „Cukier krzepi”, krzepił się uzasadnioną nadzieją, że wszystko czego zapagnie — osiągnie. Cenił swoje pióro bardzo. Naczelnik wydziału personalnego w MSZ-ecie, Wiktor Tomir Drymmer, pisze we wspomnieniach ogłaszanych w *Zeszytach Historycznych* (Zeszyt 30-ty), że pewnego dnia doszedł do wniosku, iż należy przerwać znowę milczenia o Śląsku Cieszyńskim. W tym celu zwrócił się do Wańkowicza aby coś na ten temat napisał. „Niestety — przyznaje Drymmer — nie znałem dobrze faceta. Zażądał tak wielkiego honorarium, że musiałem z jego łaskawości zrezygnować”.

Wkrótce po moim powrocie z Kowna w początku 1937 roku spotkałem Mela na Mazowieckiej. Zaczął mnie namawiać, żebym wydał w „Roju” zbiór moich kowieńskich korespondencji. Zaskoczył mnie, zwłaszcza że już mnie uprzedzono, by się nie wdawać w żadne transakcje natury handlowej z „Melem-spryciarzem”. Ponadto nie wierzyłem w powodzenie książki, zawierającej artykuły stosunkowo niedawno publikowane w *Gazecie Polskiej*. Użyłem tego argumentu. Ale tak nalegał, że ustąpiłem. Na honorarium — o czym wiedział — nic mi wtedy nie zależało. Powędrowaliśmy do „Roju” na Kredytową, gdzie poznałem ładną panią Kisterową i jej męża. Porozumienie osiągnęliśmy szybko. Zamiast honorarium zaproponowano mi pewną ilość egzemplarzy książki, której dałem tytuł „Za litewskim murem”. Okazało się, że Mel miał nosa. Książka rozeszła się szybko. Rodacy interesowali się bardzo przyszłością stosunków polsko-litewskich.

Od tego spotkania na Mazowieckiej widywaliśmy się częściej. Mel interesował się moimi planami, lecz głównie planami mego brata, którego uważał za jednego z najzdolniejszych biznesmenów. Raz do roku, w swej pięknej willi (nie pamiętam z jakiej okazji) urządzał grubszą popijawę. Pani Zofia Wańkowiczowa zjawiała się z dwoma córkami na krótko. Mel nalewał do pękających szklaneczek trunków własnej produkcji, mieszaninę przeróżnych napitków, po której każdemu zaczynało się lekko kręcić w głowie. Wypiliśmy toast, po czym panie opuszczały dom. Długi stół zastawiony był świetnym żarciem i antałkami piwa. Trunków w ogóle było co nie miara. Ten i ów z lekką podchmielony wycofywał się dyskretnie, ale przychodzili inni. Wszyscy sami swoi — wyłącznie zetowcy. Wańkowicz manifestował przywiązanie i zaufanie do środowiska, w którym znalazł się w odległych czasach studenckich w Krakowie.

Przyszła druga wojna. Spotkałem Wańkowicza w bombardowanym przez Niemców Lublinie, ukochanym mieście „papieża”, zetowców Kazimierza Wyszyńskiego. Miałem tu pełnić funkcje delegata ministra propagandy, dr. Michała Grażyńskiego, i z tego tytułu zajmowałem się lokalną prasą. Mel przyniósł mi barwny artykuł o 120 tysiącach mieszkańców stolicy, którzy na wezwanie opuścili rodzinne miasto. Miał się ukazać nazajutrz, ale trze-

ba było z Lublina uciekać. Wańkowicz wahał się lecz w ostatniej chwili zdecydował, że zostanie. Chciał spotkać córki, które zostały w Serebryszczach u Felicjana Lechnickiego. Myślał, że będzie bliżej frontu, że będzie fotografował i pisał. Dogadał się z płk. Tarczyńskim, z D.O.K. Oddał mi pod opiekę żonę p. Zosię, kobietę niezwykle inteligentną, wrażliwą i pełną kobiecego wdzięku. Opieka trwała krótko. Pani Zosia postanowiła wracać na Lubelszczyznę, by odszukać męża i córki. Zawrócono ją z drogi. Gdy zjawiała się we Lwowie, po krótkim wypoczynku, znowu ruszyła na poszukiwanie swoich. Powiedziała mi: „Wszystko mogę znieść, prócz rozstania z najbliższymi”.

W październiku 1939 roku znalazłem się w Paryżu, w ministerstwie informacji, którym kierował prof. Stanisław Stroński. Byliśmy przeciwnikami politycznymi, ale Stroński cenił moje doświadczenie w sprawach niemieckich i dlatego chciał mnie mieć w swoim ministerstwie. Bodaj już w kilka tygodni po przyjeździe do Paryża dostałem list od Mela — z Rumunii. Prosił, bym użył swych wpływów i uzyskał dla niego wezwanie do Francji. „Wpływy” ograniczały się do znajomości Strońskiego. Na moją prośbę profesor udał się do Sikorskiego. Premier odmówił. Motyw: był na żołądź sanacji. Napisałem o wszystkim do Mela. Przypuszczam, że moja odpowiedź uznał za wykręcanie się sianiem. Gdyśmy się już po wojnie spotkali w Londynie u Stanisława Mackiewicza, był marmurowy. Bez słowa podał mi rękę nie siląc się na przylepiony uśmiech, którym zwykł czarować swych rozmówców. Na ten widok p. Zosia zareagowała słowami: „Ależ Melu, pan Tadeusz okazał mi tyle serca”... Dalszego ciągu nie słyszałem, gdyż wdałem się w rozmowę z Józefem Mackiewiczem.

Nigdy potem nie widziałem Wańkowicza, za to wiele o nim słyszałem gdyż umiał robić szum wokół swojej osoby, by gdzie się dało jak najwięcej zarobić swym piarstwem. Opowiadano mi, że zwrócił się do b. posła sejmowego I. Gruenbauma. Gruenbaum w czasie swego posłowania należał do zaciętych krytyków tego, co się w niepodległej Polsce działo. Gdy się wojna zaczęła, zmienił zdanie. Wszedł w Jerozolimie do Żydowskiej Rady Narodowej i oburzał się na ministra Stanisława Kota że przysłał na Środkowy Wschód takiego „łajdaka”, jak pomawianego o komunizm Żyda Bernarda Singera, zdolnego felietonistę, pisującego przed wojną w warszawskim *Naszym Przeglądzie* pod pseudonimem Regnis. Otóż pewnego dnia zgłosił się u Gruenbauma Wańkowicz z propozycją napisania trytomowej Historii Żydów. Warunki: wysokie honorarium i pełne utrzymanie w ciągu dwóch lat. „Dziękuję” — usłyszał od Gruenbauma.

Działo się to w czasie gdy Wańkowicz przebywał w Palestynie. Z inicjatywy J. Czapskiego i J. Giedroycia przydzielono go do Oddziału Kultury i Prasy 2-go Korpusu. Wziął się do pisania, na zamówienie, epopeji 2-go Korpusu „Monte Cassino”. Ta kronika w wydaniu emigracyjnym przejdzie do potomności, tak samo jak, z innych powodów, „Szczęścię lata”.

Wańkowicz pozostał na emigracji. Był gorącym zwolennikiem legalizmu. Chciał kontynuować walkę o wyzwolenie kraju z jarzma komunistycznej przemocy. Jakże pięknie przemawiał w tym duchu na manifestacyjnym zebraniu w Domu Narodowym w Nowym Jorku 30 listopada 1952 roku. Zaczął od wspomnienia z 1912 roku, gdy na polance pod Skawiną lustrował szeregi strzeleckie Kazimierz Sosnkowski, prawa ręka Józefa Piłsudskiego. „Kazimierz Sosnkowski — mówił — przychodził kiedyś do potrzeb... Teraz, kiedy Kazimierz Sosnkowski odlatuje do Londynu i oczy wszystkich Polaków zwrócone są na niego w nadziei, że stworzy sprawiedliwy rząd, znowu witamy go, jak ci co przed nami”... I wzywając gorąco do popierania Skarbu Narodowego tak formułował swe ideowe credo: „Są rzeczy poza dyskusją. Nie będziesz zabijał człowieka, choćby ci do niego nienawisć. Nie będziesz zabijał ojczyzny, choćby cię krzywdziła. I nie będziesz zabijał walki o jej wolność, choćby ci się coś nie widziało”.

Nie wątpię, że Wańkowicz wierzył w Sosnkowskiego i w powodzenie jego akcji, zmierzającej do zjednoczenia politycznie rozbitej emigracji. Wiązał z nią, jak mi mówiono, plany osobiste. W pierwszej fazie wysiłków Sosnkowskiego nie widział się jeszcze w kraju. Ale w 1956 roku już wiedział, że akcja Sosnkowskiego nie dała takich wyników, jakich się spodziewał.

W październiku tegoż roku przysłała w Polsce odwilż. Zbrojny w paszport amerykański Wańkowicz pojechał do Polski, by się przekonać czy będzie mógł sprzedawać swoje książki i — pisać. Rekonesans wypadł pomyślnie. Sprzedał m.in. okrojone przez cenzurę, bez nazwiska Andersa, „Monte Cassino”. Gdy powrócił do Ameryki i zgłosił się do Gierata, ten powitał go tymi słowami, których nie ma w jego wspomnieniu ogłoszonym w „Kombatancie”: „Witaj Judaszu, sprzedałeś Andersa za reżymowe srebrniki”. Wokół sprawy zrobiła się burza. W *Orle Białym* ukazał się artykuł bliskiego współpracownika gen. Andersa, Zdzisława Stahla pt. „Monte Cassino ocenzone przy współudziale autora”. W odpowiedzi Wańkowicz złożył wyjaśnienie Komisji S.P.K. w Nowym Jorku, wyłożone na jego prośbę. To wyjaśnienie wypełnia bitych, długich szesnastu stron maszynopisu. Czytałem je z uwagą i podziwem dla talentu adwokackiego Wańkowicza. Wątpię czy najznakomitszy prawnik umiałby lepiej bronić takiej sprawy. Ku memu zdumieniu wybronił się na tyle, że Komisja orzekła, że wydanie w kraju ocenzonego „Monte Cassino” właśnie w niczym „nie narusza moralnych praw M. Wańkowicza w należeniu do S.P.K.”! Uchwała Komisji zapadła 22 listopada 1958 roku. Członkowie Komisji nie mieli jeszcze zupełnej pewności czy Mel pojedzie na stałe do kraju. Jeździł po Ameryce i Kanadzie z odczytami.

Na rok przed tą uchwałą, również w listopadzie, napisał list do swego rówieśnika, także zetowca z czasów krakowskich, Wacława Jędrzejewicza. Ubolewał na wstępie że nie mógł go odwiedzić w Nowym Jorku i donosił, że z kolegów zetowych

widział w kraju Antoniewskiego, Szwedowskiego, Czerwińskiego, Szuriga, Drozdowskiego, Podwińskiego i innych. „Mówiono mi — pisał dalej — że krytykowałś mój wyjazd do kraju. Jeśli go opierasz na danych w prasie emigracyjnej — to były nieprawdliwe. Jeśli zaś na niezależnych od tego przemyśleniach, to sądzę, że rozmowa dałaby nam dużo”. A trzeci, ostatni akapit listu zaczynał się od słów: „Chciałbym otrzymać z żoną stypendium na pobyt (płatny) w fundacji Mac Dowell pod Bostonem”. Po czym szła prośba o poparcie i praktyczne sugestie, jak to zrobić. W odpowiedzi na ten list Jędrzejewicz pisał: „Nie obchodzi mnie czy pan Owad lub pan Żądło ze starej Polonii pojadą odwiedzić swych krewnych w Polsce, czy nie. To ich sprawa. Inaczej jest z kimś, kto jest wybitnym polskim pisarzem i tym samym coś sobą reprezentuje. *Noblesse oblige* — jest to ciężkie obciążenie, które jednak należy dźwigać. Jestem za utrzymaniem politycznej emigracji i uważam, że ma ona nadal rolę do spełnienia. Gdy ktoś opuszcza jej szeregi i przechodzi do normalnej, zarobkowej emigracji przestaje mnie interesować”.

Wańkowicz przeszedł na drugą stronę barykady w charakterze reemigranta, poszukującego większych zarobków niż się mógł spodziewać pozostając za granicą w charakterze emigranta politycznego. Wybrał PRL. Żył mu się w kraju dobrze, jak krótko Pruszyńskiemu, Mackiewiczowi i innym, którzy opuścili szeregi walczącej emigracji.

De mortibus nihil nisi bene. Rodacy lubią powtarzać to porzekadło. Nie lubię tego rzymskiego wynalazku, trącającego hipokryzją. O nieboszczykach, podobnie jak o żyjących, należy pisać szczerą prawdę, by dowiadywali się o niej wszyscy, także ci, którzy pulsujące jeszcze życiem lub już zastygłe skronie pisarzy usiłują przyszyjać laurowym wieniec.

Wańkowicz był bez wątpienia utalentowanym pisarzem, ale zawsze brakowało mu kośca czy pionu moralnego. Sukces materialny ukochał. Może dlatego trzymał się do końca zetowców jakby się nimi chciał przed samym sobą zasłonić. Kontakty z zetowcami miały być legitymacją świadczącą, że nic się w jego ideowej postawie nie zmieniło od czasów krakowskich. Niektórzy jego rówieśnicy w kraju, choć bez złudzeń oceniali metamorfozy Mela, utrzymywali z nim częstszy kontakt natury wspominkowej. Lecz nie wszyscy. Jeden z zetowców, który odwiedził mnie w Nowym Jorku, opowiadał, że Wańkowicz zjawiał się na pogrzebie każdego zetowca. Po pogrzebie wszyscy zetowcy razem opuszczali cmentarz. Sam opuszczał go Wańkowicz. Ze spuszczoną siwą głową, ciężkim krokiem włókł się do bramy cmentarza. Musiał przecie wiedzieć, że od tych ludzi, którzy przeszli wszystko: wrzesień, okupację, powstanie warszawskie, najgorsze czasy pod rządami kacyków z łaski Moskwy i nie wyrzekli się swych ideałów, dzieli go przepaść.

Tadeusz KATELBACH

Marek Romański

Pod koniec ubiegłego roku, w rubryce wydarzeń miesiąca, ukazało się w *Kulturze* zawiadomienie o śmierci Romana Dąbrowskiego, dziennikarza, pisarza i publicysty, wieloletniego redaktora *Głosu Polskiego* w Buenos Aires. Ilu z tych którzy przeczytali tę notatkę wiedziało, że zmarły pisał przed wojną pod pseudonimem Marka Romańskiego i był jednym z pionierów polskiej powieści kryminalnej? Ścisłej mówiąc: był pierwszym w odrodzonej Polsce autorem powieści kryminalnej klasycznej, znanej we Francji pod prawidłową nazwą: *roman policier*.

Jego pierwsze książki nie znajdziemy wszelako w żadnej bibliotece archiwalnej, w żadnym urzędowym czy prywatnym księgozbiorze; albowiem — rzecz znamienita — po odrzuceniu przez jakieś pół tuzina poważniejszych redakcji stołecznych i prowincjonalnych, utwór ten został przyjęty do druku przez jedną z efemerycznych popołudniówek owych lat i przedko popadł w zapomnienie, jeżeli w ogóle był zauważony. „Kariera Edwarda Merkla”, powieść napisana dobrym polskim językiem, starannie opracowana (toć pierwsza!), prawie bezbłędnie skonstruowana i w niczym nie ustępująca swym zachodnim wzorom Wallace’ów czy Oppenheimów — po prostu nie została zaakceptowana przez żadnego z ówczesnych wydawców polskich, których można było zresztą policzyć na palcach. Bo to przecież było pięćdziesiąt lat temu, gdy prawdziwie wolny krajowy rynek wydawniczy był jeszcze w okresie ząbkowania. To były ciężkie czasy dla takich jak Romański: gdy kilka statecznych firm, do niedawna operujących pod egidą carskiego cenzora i ograniczonych do wydawania podlegających prewencyjnej kontroli, „nie winnych” klasyków — może i nie wiedziało o istnieniu nowoczesnej powieści kryminalnej; gdy w branży wydawniczej tylko jednostki słyszały o tym, że najważniejsze zachodnie domy wydawnicze posiadały — i posiadają po dziś dzień — sekcje wyspecjalizowane w publikacji powieści sensacyjnych i kryminalnych. Tu można wyliczyć przykładowo takie poważne wydawnictwa jak William Heinemann i Jonathan Cape w Anglii, Charles Scribner’s Sons lub Grosset & Dunlap w Ameryce, Wilhelm Goldmann i Kurt Desch w Niemczech, Denoël i inne we Francji gdzie np. Jean Cocteau z przyjemnością (jak się wyraził) napisał przedmowę do nowego wydania „Tajemnicy Żółtego Pokoju” Gastona Leroux.

Ale w połowie lat dwudziestych, ostrożne i nieufne stanowisko mało doświadczonych wydawców polskich było raczej usprawiedliwione: nie wiedzieli nic, lub prawie nic, o powieści kryminalnej opartej także na akcji (a nie tylko na przeważnie fotelowych dedukcjach Sherlocka Holmesa pod akompaniament sonaty skrzypcowej po zastrzyku kokainy w towarzystwie kochanego Watsona) — więc woleli nie ryzykować, tym bardziej że i sytuacja gospodarcza była niepewna.

Było naturalnie nieuniknione, że wkrótce zachodnie powieści sensacyjne zaczęły ukazywać się w Polsce — najpierw sporadycznie, a potem prawie masowo — i to w przekładach tłumaczy takiej klasy jak Witold Zeebenter i innych na jego poziomie. Zadbali o to dyrektorzy nakładowi wielkich firm europejskich dla których niespodziewanie otworzył się jeszcze jeden zachodni rynek, chłonny i wygłodniały po latach niewoli. Wtedy to, między innymi, nasi wydawcy dowiedzieli się z niejakim zdumieniem, że prezydent amerykański nie wstydził się ogłosić noweli kryminalnej pod swoim nazwiskiem; że jednym z najlepszych autorów powieści detektywistycznych jest

były profesor literatury Willard Huntington Wright piszący pod pseudonimem S. S. Van Dine; że taki Graham Greene może być chwalony za powieść o gangsterach w Brighton, a niemiecki autor klasycznego romansu policyjnego może być porównywany do Balzaka, Flauberta i Dostojewskiego.

Lecz ani wydawcy książkowi, ni redaktorzy periodyków nie byli jeszcze tacy uświadomieni gdy w Warszawie zjawił się młody rzeszowianin ze stałym zamiarem ujrzenia swego pseudonimu na okładce pierwszej polskiej powieści kryminalnej, i pokazania że i polski autor potrafi napisać taki utwór nie gorzej od Philipa Macdonalda czy Rufusa Kinga — może nawet bardziej atrakcyjnie, bo z kolorytem lokalnym i z rodakami jako bohaterami.

Oczywiście Marek Romański — wtedy jeszcze Roman Dąbrowski — był zbyt inteligentny aby liczyć na szybkie laury. Każdy początkujący autor musi być cierpliwy, realistyczny — i zawzięty. O zaciętości Romańskiego najlepiej świadczy fakt, że zamiast znaleźć jakąś spokojną posadę, która pozwoliłaby mu i pisać i czekać — rzucił się z całą energią w wir warszawskiego świata prasowego, którego hasłem było *man eats man* i darwinowskie *survival of the fittest*. Może dlatego przeciętna poziomu młodej prasy polskiej była w tamtych latach wyższa od przeciętnej np. stosunkowo starej prasy amerykańskiej. Ta ostra konkurencja była też chyba jednym z głównych powodów wydawania w samej Warszawie niesłychanej ilości około dwóch tuzinów pism codziennych. W takich warunkach tylko najlepsi dziennikarze utrzymywali się na powierzchni.

Jednym z nich, choć nie czołowym, okazał się przybylsz z Rzeszowa, Marek Romański. Nie tylko nauczył się pływać w tym niebezpiecznym wirze, ale też szybko wyostał się na górny pokład dziennikarskiej arki. Nieznany i niepozorny (raczej niskiego wzrostu) reporter stosunkowo rychło znalazł się wśród wyżej postawionych — jako sekretarz redakcji, jako redaktor faktyczny, nie jeno tytułarny.

Jednak dziennikarska kariera, przyzwoite mieszkanie, wygodne na owe czasy zarobki — nie przyćmiły jego głównej ambicji: pisanie dobrych powieści kryminalnych. Dobrych, czyli takich które zostaną przyjęte przez poważnego wydawcę dla publikacji książkowej, a nie takich które nadają się do drukowania wyłącznie w odcinku, czasami pisanych z dnia na dzień, aby odwalić to kwantum i zakończyć w tak zwanym napięciu do następnej doby. Dlatego, pomimo pełnoetatowej pracy dziennikarskiej nie zaniedbał pisanie książek. Tylko zawodowy dziennikarz z prawdziwego zdarzenia może zrozumieć jaki zasób energii pochłania taka dualistyczna praca, ile kosztuje zdrowia, jak nadszarpuje nerwy. Toteż były okresy gdy wyglądał jak z krzyża zdjęty, warezał na każdego, unikał ludzi — oprócz tych z którymi mógł dyskutować na swój ulubiony temat: rozwoju polskiej powieści kryminalnej. Byłem jednym z nich.

Nie było niespodzianką dla jego przyjaciół, gdy ukazała się jego pierwsza książka. Potem przyszły następne — aż wreszcie doczekał się spełnienia skrytego marzenia każdego autora kryminalnego: jego dwutomowa „Sprawa No 777” została sfilmowana.

Blitzkrieg Wehrmacht’u był także dla niego okrutnym ciosem. Nie wiem co robił w czasie wojny — nie wątpię że cierpiał. Dopiero pod koniec 1945 roku, gdy pełniłem służbę jako oficer prawny w brytyjskiej Armii Renu, dostałem od niego list z Londynu. Wspominał tylko ogólnikowo, że zawieszono broń zastało go w obozie w Dolnej Bawarii, dokąd został zesłany na przymusowe roboty. Prosił mnie o pomoc w znalezieniu jego książek, które może znajdowały się w bibliotekach po byłych obozach jenieckich. W Anglii znalazł bodaj dwie i przeto prosił mnie też o kilka zdań polecających do mego londyńskiego wydawcy. List z introdukcją wysłałem natychmiast. Książek wtedy nie znalazłem — ani jego, ani własnych.

Autor Marek Romański dobrowolnie położył kres swojej pisarskiej karierze gdy jako Roman Dąbrowski zasiadł za biurkiem redakcyjnym na Serrano 2076, w Buenos Aires, skąd nie odszedł — aż zabrała go śmierć. Cześć jego pamięci.

Adam NASIELSKI

Neostalinizm w «Poezji»

W nr. 12/74 *Poezji* wydrukowano kolejną napaść na poetów „pokolenia 70” w postaci artykułu Jana Kurowickiego „Dlaczego nie indywidualizm?”. Imiennie zaatakowani zostali: Stanisław Barańczak, Ryszard Krynicki, Wit Jaworski, Krzysztof Karasek, Marianna Bocian, Leszek Moczulski, Adam Zagajewski, Julian Kornhauser, Jerzy Kronhold, Leszek Szaruga, Zdzisław Jaskuła, Stanisław Stabro; nie wymieniony został Jacek Bierezin, widocznie dlatego, że po publikacji tomiku w *Instytucie Literackim* zapadło postanowienie zwierzchności, aby poetę wyłączyć z życia publicznego, m.in. przez przemilczanie.

W tej krótkiej nocie nie ma miejsca na przedstawienie wywodów teoretycznych Kurowickiego, będących mętną mieszaniną wulgarnego marksizmu, spłaszczonego heglizmu i kilku teorematów bliżej nieokreślonej prowiniencji. Przedstawić jednak wypada inne, pozaliterackie poglądy autora, ponieważ pod płaszczykiem polemiki literackiej wypowiada on parę mrocznych myśli. I tak:

1) „Pokolenie 70” występowało wielokrotnie przeciwko manipulacjom, uprawianym przez monopol informacyjny PRL. Kurowicki uważa taką postawę za niestosowną: „By [...] jakkolwiek plan się udał — istnieje konieczność duchowego zaangażowania możliwie największej liczby członków społeczeństwa. Do tego zaś celu potrzebni są intelektualisci. Zarówno jako ci, co planują, jak i jako ci, co stanowią element planu, a zatem również przedmiot manipulacji”. Kurowicki jest zwolennikiem manipulacji — jest konieczna dla wykonania planu, a więc dobra.

2) Manipulacja powinna być przemyślana: „Do jego (programu — W.W.) skutecznej realizacji konieczne jest uwzględnienie trzech ze sobą powiązanych elementów: 1) precyzyjnej wiedzy o rzeczywistości, pozwalającej na zdawanie sprawy z jej stanu aktualnego i kierunków, w jakich potoczy się bieg zdarzeń, co konieczne jest dla — 2) wypracowania skutecznych środków działania i celów, które — 3) podjąć mogą ci członkowie społeczeństwa, dla których rewolucyjne zmiany zgodne są z ich obiektywnymi interesami”. Są to pouczenia dla manipulatorów osobliwie podobne do wynurzeń gen. Moczarsa z roku 1968, dotyczących działania policji politycznej.

3) Pretekstem dla okazania czołobitności wobec Stalina stał się dla Kurowickiego wiersz Krynickiego „Jak utraciłem dziewictwo” — cytuję: „w którym znajduje się aluzja do 'sutanny Józefa Stalina znakomitego językoznawcy' tak jak gdyby fakt istnienia niezbyt udanego teoretycznie utworu tego wybitnego polityka — dyskredytował zarazem jego umysłowość i wybitność. Krynicki [...] nie jest w stanie zrozumieć tego, co dzieło to znaczyło w procesie przewycięzania uproszczeń materializmu historycznego, ani też roli tego człowieka, porzucającego sutannę”. Tę polemikę z Krynickim poprzedza dłuższy cytat z Hegla na temat tzw. punktu widzenia kamerdynera

(kamerdyner nie widzi twórców historii w ich rzeczywistej wielkości, ponieważ zna określoną postać tylko w sytuacji intymnej). Jest rzeczą wiadomą, że teoryjka ta niejednokrotnie służyła usprawiedliwianiu i wzmaganiu służalczości wobec możnych tego świata, co już był swego czasu Heine zauważył. Kurowicki uważa brak służalczości (wobec Stalina i nie-Stalina) za brak szerszych horyzontów.

4) W pewnym miejscu autor tego sążnistego artykułu cytuje Marksa, który powiada, że przestępca produkuje przestępstwo, pisze zarazem, że przestępstwa przyczyniają się do postępu: „Same tylko tortury dały bodziec najbardziej pomysłowym odkryciom z dziedziny mechaniki [...]”. Rzecz jest jasna: KGB stosując tortury psychiatryczne przyczynia się do rozwoju psychiatrii.

5) Cały ten artykuł jest jednym wielkim donosem (także i w stylistyce) na myślenie indywidualne, niemanipulowane, odporne i krytyczne, jakiego domagają się poeci „pokolenia 70”. Myśleniu indywidualnemu przeciwstawia Kurowicki myślenie ponadindywidualne: „...zmiana myślenia [...] może nastąpić tylko wtedy, gdy zostanie wypracowana konsekwentna i całościowa teoria antyindywidualizmu”. Kurowicki udaje, że nie wie, iż teoria taka dawno już istnieje; jest nią żdanowski realizm socjalistyczny.

6) Artykuł, który jest donosem, kończy się donosem: „Wystarczy przyrzec się temu, co dzieje się w warsztatach metodologów, socjologów, filologów i krytyków literackich”.

Kończąc warto zauważyć, że *Poezja* jest pismem, gdzie w bratniej przyjaźni sąsiadują z sobą teoryjki rodem z „Falangi” (Urbankowski, Tomasz-kiewicz) oraz czołobitność wobec cienia Wielkiego Stalina.

W.W.

“POLONIA”

KSIĘGARNIA POLSKA W CHICAGO
2921 Milwaukee Ave., CHICAGO, Ill. 60618.

Czynna codziennie od 10-ej do 6-ej pp.

Posiada na składzie: książki i czasopisma polskie, polskie karty okolicznościowe i Dział Antykwariatu; przyjmuje książki do sprzedaży komisowej.

Skład Główny na Chicago wydawnictw Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte (pod Paryżem), m.in. paryskiej KULTURY i ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH.

Księgarnia przyjmuje prenumeraty na polskie czasopisma i wykonuje pocztowe zlecenia księgarskie.

Książki

Krajowe nowości wydawnicze

opracowała

MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA

LITERATURA PIĘKNA

Proza powieściowa

STRYJKOWSKI, Julian: „Na wierzbach... nasze skrzypce”. Warszawa, 1974, Czytelnik, str. 253.

Na tom składają się trzy opowiadania (raczej nowele), powiązane ze sobą osobą narratora i uczestnika wydarzeń, polonisty, płynącego do Stanów Zjednoczonych na cykl wykładów uniwersyteckich. W „Martwej fali”, na polskim statku, obserwacje i kontakty z towarzyszami podróży, dostarczają tematu do skonfrontowania „otwartej” postawy Amerykanów, rozpoczynających znajomość od wręczenia biletu wizytowego z adresem, nazwiskiem i stanowiskiem życiowym, z szefem, jakim kamuflują swe dane personalne mieszkańcy krajów za Żelazną Kurtyną i ex-ofiary obozów koncentracyjnych. Stałą stroną „Martwej fali” jest reportażowy wstęp o statku i szczegółowa relacja z przebiegu choroby morskiej narratora.

Wypełniająca środek tomu nowela „Syriusz” przypomina kompozycję „Oziming” Berenta: akcja skoncentrowana jest wokół całonocnego przyjęcia w luksusowej willi pod Los Angeles i grupy polskich Żydów, dla których „U nas w Brodach — znaczy u nas w domu”. Obecnych na przyjęciu łączy przeszłość i obecne powiązania towarzyskie i rodzinne ukazane na przykładach trzech pokoleń. Wszyscy, lub niemal wszyscy (z wyjątkiem nowoprzybyłego i „kolegi Nachmana z Podzamcza”) stanęli na nogach, mają „białokamienne” wille, kosztowne samochody, bogato przystrojone żony. Przypominają aż nadto dobitnie „Ligę ocalałych” Jadwigi Maurer: przeszłość przyciska ich i formuje a zżera nostalgia. Sprzyja tej postawie nawrót do tradycji żydowskich, wyrażający się nie tylko sposobem bycia, przestrzeganiem sabbatu, kultem kuchni żydowskiej — ale, przede wszystkim dumnym poczuciem odrębności. W toku dyskusji narrator ma możliwość przewentylowania stosunku owej grupy polskich Żydów do Izraela, Kraju, Niemiec —

i całej gestywności nowych problemów „kraju osiedlenia”: kłopotów z młodzieżą, problemów murzyńskich, plagi narkotyków itd. I tu występuje drastycznie problem „tabu”: narrator, który wojnę „spędził” w Jareńsku pod Archangielskiem, uchyla się zarówno od opowiadania o swoich przeżyciach, jak i ich spisania do „Ognistych rodaków”, planowanych przez gospodarza przyjęcia. Osobista jego przeszłość wojenna odczytuje się przykrym zgrzytem: usłyszy gorzkie wyrzuty z racji swego zachowania we Lwowie, posadzony o zaniedbanie sprawy uratowania młodej Żydówki z Brodów, Meni. Pewne partie tekstu mają niezmiernie silne zabarwienie satyryczne a nowela mogłaby być potępieniem amerykańskich „nowobogackich”, gdyby nie akcent końcowy: katastrofy budowlanej w przedsiębiorstwie którego właścicielem jest gospodarz przyjęcia.

Motyw niepewności jutra występuje jeszcze silniej w zamykającej tom noweli pt. „Na wierzbach... nasze skrzypce”. Na relację o jednym dniu pobytu narratora w Los Angeles składają się chronologicznie podane epizody, ukazujące różne formy frustracji, wahań, nieustannych zmian miejsca i planów na najbliższe godziny — a wreszcie rozpaczliwych prób zaczepienia się o przeszłość, o wątle odrywające nagle ze zdwojoną siłą wspomnienia-kompleksy, znajdujące kulminację w luksusowo zainscenizowanej ale „zwyyczajnej” ludzkiej śmierci. Autor zdaje się sugerować, iż „zielonej doliny naszej rzeki” i klimatu małopolskich miasteczek nie może zastąpić ani życiowy sukces w Los Angeles — ani możliwość osiedlenia się w Izraelu, wymagająca decyzji, na którą ich już nie stać.

Tom dobrej prozy. Doskonale nakreślony obraz swoistego getta w getcie, ośrodka uniwersyteckiego, przygodnych znajomych i kapitalnej słuchaczki, natężony ofiarowującą swe usługi.

KRYTYKA LITERACKA

KORNHAUSER, Julian i ZAGAJEWSKI, Adam: *Świat nie przedstawiony*. Kraków (1974), Wydawnictwo Literackie, str. 207, 3 nłb.

Setki młodych poetów debiutujących w ostatnim dwudziestolecu naśladowało pracowicie Różewicza, Herberta, Białoszewskiego i Grochowiaka, podczas gdy Harasymowicz naśladował sam siebie. Andrzej K. Waśkiewicz słusznie zauważył w szkicu „Tak rzeczce Damon... (Młoda poezja po 1968 roku)” („Teksty”, Nr 3, 1974) że literatura tego okresu wypracowała cały „repertuar chwytów obronnych, masek, ucieczek”, uchylając się od bezpośredniego podejścia do problemów współczesnych i rzeczywistości. Uciekano „w dzieciństwo”, „w mały realizm”, „w słowiarstwo”, byle nie nazywać rzeczy po imieniu. Około roku 1968 pojawiła się nowa fala młodych poetów, drugie pokolenie „angry men”. Buntują się coraz głośniejsze i coraz ciekawiej. Poezji wyjdzie to na dobre.

„Świat nie przedstawiony” Kornhausera i Zagajewskiego jest niejako manifestem tej grupy i rozliczeniem się z przeszłością. Jak przystało i jak się od wieków powtarza, młoda generacja buntuje się przeciw pokoleniu rodziców. Przykreść polega na tym, że w tej kłopotliwej grupie wieku znaleźli się 51-letni Herbert i 54-letni starszy pan nazwiskiem Tadeusz Różewicz. Autorzy „Świata nie przedstawionego” liczyli sobie w roku 1974 łącznie 57 lat a w okresie decydujących sukcesów Różewicza czy Herberta uczęszczali do niższych klas szkoły podstawowej. Logiczną konsekwencją tej arytmetyki jest namiętnie młodzieńcza krytyka postaw twórczych uznanych wielkość w ramach zjawiska określanego jako bunt generacji.

Kornhauser określa dominujące tendencje młodej poezji jako „trzeci ekspresjonizm”, Barańczak jako „romantyzm dialektyczny”, Zagajewski „kontestację” (w cudzysłowie). Raz jeszcze rozgrywa się na scenie literackiej walka klasyków z romantykami. „Romantyzm”, za którym się opowiadają, reprezentuje młodość, bunt, „przeżywanie” i spontaniczny osąd współczesności. „Klasycyzm” — to stronienie od bezpośredniego zaangażowania, depersonalizacja, „przyciemnianie rzeczywistości”, przebranie i maska. Patronem młodych byłby Peiper, jako obserwator świata, który „zmienił skórę”, gdyby nie to że (ich zdaniem) „wszystkie trzy postulowane przez (niego) cechy poezji, „pseudonimowość”, budowanie problematyki samymi środkami poetyckimi i wreszcie odejście od poezji, jako wyrazu osobowości, stały się w naszych warunkach trzema chorobami poezji”, gdyż zmieniły się w aluzyjność, enigmatyczność i anonimowość”. Zaletą koncepcji Peipera jest dla nich to, że uważał literaturę za białą kartę, na której w świecie gruntownie odmienionym należy postawić nowe litery.

Literatura — generalizuje Zagajewski — „omija centralne sprawy pokolenia” a w najlepszym razie ukrywa je pod przebraniem kostiumu historycznego, wiejskiej mitologii czy szyfru tak skomplikowanego, że paraliżuje zamierzony efekt wypowiedzi, stając się pseudonimem pseudonimu. Zjawisko „alegorii sparalizowanej”, chybionej, jest dla Zagajewskiego przekleństwem literatury współczesnej. Zapomina o jednym: że w bardzo niedawnej przeszłości były to przebrania pozwalające na maximum swobody wypowiedzi. Z punktu widzenia historyka literatury przynajmniej należy rację Zagajewskiemu. „Szyfry” wszelkiego autoramentu skracają żywot dzieła literackiego i odbierają je ogółowi; są natomiast znakomitą żerem dla doktorantów dekodujących je w pocie czoła.

Młodzi poeci domagają się od pisarzy wyraźnego zaangażowania po stronie współczesności a stawiając poezji bliskie romantycznym zadania, żądają, by wpływała na bieg wydarzeń i kształtowała świadomość kulturalną ogółu. To sformułowanie budzi odruchowe sprzeciwy, bo w „okresach najgorszych” słyszeliśmy najwięcej o „zamówieniach społecznych” i obowiązkach pisarzy wobec państwa i socjalizmu. Ci młodzi rozumieją to inaczej. O ile dawniej „w okresie błędów i wypaczeń” zaangażowanie się oznaczało konformizm, wazelinierstwo i ślepe posłuszeństwo dyrektywom partii, to obecnie rozumieć przez nie należy krytyczne podejście do problemów aktualnych, ich aprobatę (jeśli na nią zasługują) lub jasno sformułowaną dezaprobatę, „kontestację” a nawet bunt, jeśli sytuacja tego wymaga. Są wrogami chłodnej akademickiej postawy, choćby reprezentowali ją twórcy miary Herberta. Nie chcą być biernymi widzami, chcą mieć głos w kształtowaniu się dnia dzisiejszego.

Wspominamy już wyżej Andrzej K. Waśkiewicz, sięgnął do Platona, który — w odniesieniu do muzyki — zauważył, że styl jej nie zmienia się nigdy bez zmian politycznych. „Tak mówi Damon, a ja mu wierzę”. Zagajewski ujmuje to bardziej zawiłe, gdy pisze, że literatura „światopoglądu dramatycznego” „nie zawęża swego obrazu rzeczywistości, gotowa jest modyfikować swój sąd o świecie, zależnie od zmian w nim zachodzących, jest otwarta na nowość, na konkret”. To spojrzenie na rzeczywistość znaczy, jak ujął to Julian Kornhauser, że „nowa poezja chce być na wskroś współczesna, a to znaczy że próbuje odważnie zmagać się z Polską, pragnie być poezją polityczną, ale nie tą polerowaną... która operowała frazesami i ogólnikami i gubiła się w gęstwinie mitologicznych aluzji... lecz taką, która pozwoliłaby ujrzeć obywatelowi świat takim, jakim jest naprawdę, goły, bezbronny świat”. Postulat „odważnego zmagania” wart jest podkreślenia. Pamięć narzuca tu jednak przypomnienie, że najodważniejsze oceny współczesności czytać można na kartach wydawnictw „Samizdatu” w pseudonimowych wypowiedziach.

Postulatem młodych jest wywieranie wpływu na kształtowanie świadomości kulturalnej społeczeństwa. Stan obecny oceniają wysoce krytycznie. Nielicznej elicie intelektualnej przeciwstawia się „silent majority” zadawałajęca się kulturą zdegradowaną do poziomu „Polski dziecięcinnalej”, zadawałajęcej się „Zgaduj-zgadulą”, składankami „artystycznymi” Wojewódzkich Estrad, operetką „Najpiękniejsza” i występami wokalistów dansingu w Świeńradowie.

„Literatura nasza — pisze Zagajewski — nie ma korpusu, ma powieści eksperymentalne, kreacjonistyczne — albo powieści popularne” — brak jej dobrej współczesnej powieści realistycznej, własnej, polskiej. Lukę tę, jak słusznie zauważa, wypełnia literatura tłumaczona, co znaczy, że „na co dzień spotykamy się ze światem cudzym, z diagnozą c u d z ą”. Oczywiście mamy Kraszewskiego, Prusa, Orzeszkową, naszych polskich, arcy polskich. Ale w latach stalinowskich, gdy stanowili podstawową lekturę szerszych mas, czytelnicy odchodzili od współczesności w wiek XIX i jego problematykę, mówili nawet i pisać zaczęli pięknym ale przedwczorajszym językiem pozytywizmu. Obecny kryzys literatury „nie polega na braku talentów czy dobrze sprawnie napisanych książek”. Literaturze brak odwagi „mówienia prawdy, odwagi wobec świata, zrozumienia samego siebie i swego środowiska, poznania warunków swego istnienia”. Polisce dziecięcinnalej „przeciwstawiać należy „ostro zarysowane formy, świadome decyzje i wyraźnie sformułowane tezy” — literaturę „umieszczoną w żywym realnym środowisku”. Pięknie — ale czy pomieści się w planach wydawniczych Czytelnika, LSW, PIW'u, Wyd. Liter. etc?

Z przytoczonych przeze mnie cytat wynika chyba jasno, że przedstawiciele młodej poezji reprezentują autentyczny i szlachetnie pojęty bunt wstępującego w życie pokolenia i to nie bagatelny, bo liczą w swym gronie twórców tej klasy co Stanisław Barańczak czy Ryszard Krynicki. Kornhauser ma obecnie w druku powieść pt. „Kilka chwil”. Będzie to egzamin z wprowadzenia w życie zasad manifestu. Egzamin trudny, bo postawa młodych pisarzy jest bliska romantyzmowi, czemu nie zaprzeczają. A romantyzm wypowiada się łatwiej w poezji niż w prozie. Myślę przy tym nie o romantyzmie w sensie sentymentalnych wzruszeń, ale o romantyzmie buntu, który tak wspaniale przemawia ze scen więziennych i salonu warszawskiego „Dziadów części trzeciej”.

Myślę, że zaatakowani przez Kornhausera i Zagajewskiego Konwicki, Harasymowicz czy Kijowski potraktowani zostali w oderwaniu od rzeczywistości. Sen, przeżycia dzieciństwa, bajki są dziś, godzę się, przebraniem doświetlonym wyeksploatowanym. Wystarczy jednak cofnąć się do „Złotego lisa” Andrzejewskiego, by przypomnieć niedawne czasy, gdy alegoria wygnała była nie tylko z książek „dla dorosłych” ale i z lektury szkolnej a nawet książeczek dla małych dzieci. O czym pp. Kornhauser i Zagajewski powinni pamiętać. Rzeczywistość nie tylko się domaga, ale zmusza nieraz do wkładania maski i historycznego kostiumu. Ale godzę się z naszymi młodymi, że jest to także forma przedwczesnej (?) rezygnacji z walki. I dlatego, że tak myślą, życzę im najlepiej.

POWIEŚCI

HUSZCZA, Jan: *Obrączki z kajdan*. Łódź, 1974, Wydawnictwo Łódzkie, 8^o, str. 153.

„Obrączki z kajdan” są popularnie ujętą opowieścią o wiernej narzeczonej, która w roku 1836 wyruszyła „koczobrykiem” na Sybir, by w Irkucku

poślubić „posielańca”, powstańca listopadowego, i towarzyszyć mu na zesłaniu w Selenginsku, „po drugiej stronie Bajkału”, wśród Buriatów.

Nie był to wypadek odosobniony. Żony Dekabrystów wyprzedziły Polki o całe dziesięciolecie. W roku 1826 ksiąginia Trubieckaja (née Laval) i pierwowzór Tatiany z „Oniegina”, ksiąginia Maria Iwanowna Wołkonskaja, a także Francuzka Paulina Annienkowa (née Gueuble) podążyły za mężami na Sybir. Tyle ich było, iż car uznał za stosowne wydać szczegółowe zarządzenie, regulujące sytuację prawną owych kobiet. Przewidywało ono, iż niewiasty „oczywiście muszą dzielić los przestępców”. Oznaczało to pozbawienie praw i status „żon katorżników”. Urodzone na zesłaniu dzieci zaliczano „do poddanych chłopów, stanowiących własność państwa”. Mogły, co jest mniej znanym szczegółem ich sytuacji, „zamieszkać wraz z nimi w więzieniu”. Jeśli mieszkaly poza więzieniem, mogły widywać mężów co trzeci dzień. Mogły zabrać ze sobą na Sybir jednego służącego, chłopca pańszczyźnianego, który jednak musiał wyrazić na to zgodę i miał prawo powrotu do miejsca stałego osiedlenia.

Z tego ostatniego przywileju korzysta bohaterka powieści, Emilia Pietkiewiczówna. Jedzie do Irkucka dwukonnym koczobrykiem z budą skórzaną, pod opieką stangreta, Józika. Chłop czuł się na Syberii „bardziej samotny niż inni” i skorzystał z prawa powrotu, co przyniosło zwolnienie z poddaństwa jego rodzinie. Spieszył się nawet, bo wilki zagryzły jednego konia a złodzieje usiłowali uprowadzić drugiego.

Opowieść Huszczy czytamy z mieszanymi uczuciami. Zbyt dobrze tkwią w pamięci niedawne perypetie żon pisarzy sowieckich, skazanych na ciężkie roboty w dalekich obozach, które z małym powodzeniem starały się o prawo już nawet nie towarzyszenia mężom na zesłaniu, ale przynajmniej widywania ich co pewien czas. To, co przed stu czterdziestu laty oburzało świat cywilizowany i wydawało się szczytem ludzkiej poniewierki, dziś nasuwa kłopotliwe zestawienia z aktami sowieckiego terroru. „Postęp negatywny”?

Ciekawym aspektem powieści są obrazy stosunków zesłańców polskich z rodzinami Dekabrystów. Autor oparł się w ich kreśleniu na autentycznym materiale, którego w obfitości dostarczają „Pamiętniki Dekabrystów”. Uderza wspólnota losu owych Rosjan zjednoczonych w walce o wolność a przeciw despotyzmowi i Polaków walczących o niepodległość ojczyzny przeciw tym samym carom. Na zesłaniu — łączy zarówno Dekabrystów jak i zesłańców polskich poczucie braterstwa, potrzeba skupiania się i jej nieuchronny towarzysz — „potępienie swary”.

Intencją autora było ponadto zobrazowanie sytuacji młodej kobiety, wyruszającej w nieznaną, po pięcioletnim rozstaniu z narzeczonym, spotykającym dotąd w ramach „białego dworku” i szlacheckich balików. Przerzucenie się do chałupy kleconej pośpiesznie za przywiezione przez nią ruble — nie było sprawą łatwą. Jeszcze trudniejsze było niejako poznanie na nowo towarzysza życia. Miłość czy wierność? „Wierności łatwo było dochować” — píše Huszcza. Michał (zesłaniec) jest właśnie za wierność „nieskończenie wdzięczny”. „Pierwsze spotkanie, do którego ofiarnie dążyło się przez lata, było spotkaniem dobrych znajomych”. Emilia „czuje się jednak szczęśliwa, że oto związała swój los z człowiekiem, który nie zawahał się poświęcić wszystkiego sprawie narodowej. Żałuje czego innego: straconych lat i zdaje sobie sprawę, że to spóźnione szczęście jest „piółunem zatrute”.

Powieść Huszczy poza walorami treściowymi i sumiennie wystudiowanym tłem historycznym ma i tę zaletę, że pisana jest piękną i jasną polszczyzną.

ŁUKASIEWICZ, Stanisław: *Kraina lat szczęśliwych*. (Wyd. 2). Warszawa, 1974, Czytelnik, 8°, str. 521.

Pierwsze wydanie powieści ukazało się w roku 1969 i przeszło niezauważone na Emigracji. Drugie jest krajowym *best-seller'em*. Jest to nie tyle powieść, ile opowieść autobiograficzna, której akcja rozpoczyna się w roku 1907 lub 1908 i urywa w wieczór wigilijny w roku 1938. Ujęta w męczącą formę *relatio obliqua*, niemal bez dialogów, jest w pierwszych rozdziałach nudnawa, ożywia się jednak zdecydowanie w miarę czytania i budzi na przemian radość, to znów irytację.

Tłem „Krainy lat szczęśliwych” jest niewątpliwie jeden z folwarków wchodzących w skład Ordynacji Opinogórskiej Krasińskich. Ojciec bohatera, nazwanego nieco pretensjonalnie Deczkim (skrót od Władeczka, ale imię niny obchodzi w maju, jak autor powieści!) jest rządcą owego folwarku i w drabinie społecznej zajmuje uprzywilejowane miejsce po Ordynacie i administratorze a ponad ekonomami, lokajami, stangretami, służbą pałacową i folwarczną i „ludźmi”. Ci ostatni rąbią drzewo, napełniają wodą wielkie beczki — i pomagają „Mamie” w prowadzeniu domu, w którym na przestrzeni kilkunastu lat pojawiło się dziesięcioro udanych dzieci pana rządcy. Dla pełni obrazu dodać należy, że w górze drabiny społecznej, ponad Hrabia Ordynatem, jest jeszcze Książę Radziwiłł. Gdy rządził zjechać na polowanie, po niego — i tylko po niego! — pojechano na dworzec „po szóstą karetą, na której z tyłu przeżyło się kilku koniarnych przybranych lokajczyków, a kilku innych na tęgich koniach tworzyło banderę”. Stratyfikacja społeczna jest więc precyzyjnie wycieniowana! Działo się to w roku 1913, ale, nie uchybiając Opinogórze i okolicom Ciechanowa, było to mini-poloowanie na kuropatwy, szaraki i co najwyżej lisy, bo we wspomniane przez autora kuny nie bardzo wierzę. Ojciec i matka pojawiają się na pierwszych kartkach książki, jakby wycięci ze ślubnej fotografii. On — pochodzi rzekomo z „Judu”, o pochodzeniu matki nie wiemy nic. W gęsto zaludnionej galerii postaci powieściowych nie figuruje żaden dziadek, wuj, stryj, babka, ciotka czy kuzynka — z żadnej strony. W „domu” mogliby zamieszkać Niechciciowie z „Nocy i dni”, a że wszystko idzie tu składniej dzięki gospodarności „Mamy”, pani Barbara nie miałaby nawet powodów do „wiecznego żmartwienia”.

Urok tej realistycznej, drobiazgowo udokumentowanej relacji polega na barwnym i wiernym oddaniu tła obyczajowego „roku polskiego”, w którym, w miarę dorastania chłopca, przesuwamy się jak w „Chłopach” od zasiewów do żniw. Przy okazji uczestniczymy w wyprawie na truskawki w „hrabskim” ogrodzie, w życiu folwarku w polu i na podwórzu, żegnamy uroczystym pogrzebem starą Hrabinę, siedzimy z Abramkiem w dzierżawionym przez niego sadzie, gdy — jak u Syrokomli — pilnuje by właściciel nie podkraść mu jabłek, objadamy się miodem w księżowskiej pasiece i, chcąc nie chcąc, poddajemy się atmosferze „krainy lat szczęśliwych”. Z rzadka ocieramy się o nędzę, bo ojciec, wzorowy rządcą, w oparciu o administratora i „samego Hrabiego” przychodzi zwykle ze skuteczną pomocą. Nawet nieszczęściami skolataną starzec, spędzający dni na cmentarzu, ubrany w ciemny odświętny strój, w jakim chowano nieboszczków, „przygotowywał się do śmierci, najmocniej się z nią zspalał w tym swoim ubraniu do trumny, pośród cmentarza, gdzie wkrótce miał na wieki spocząć”. Gdy zmarł jesienią pogrzeb jego „nie wydawał się tak straszny, jak inne”.

Sielanka? Nie. Takie enklawy względnego spokoju i dobrobytu zdarzały się całkiem często w centralnej Polsce wokół cukrowni, cegielni, gorzelni, uzdrowisk (np. Ciechocinka). Ordynat Krasiński, przedstawiony jako dobry pan (z lekkim nalotem „pomysłów”) nie był wyjątkiem, a jeśli coś osobliwego w jego życiorysie da się wysledzić, to raczej to, że ufundował

gmach biblioteczny na Okólniku a sam zginął w obozie koncentracyjnym (o czym w powieści głucho).

Łukasiewicz jest pisarzem klasy o oczko niżej od Dąbrowskiej, ale bije ją imponującą znajomością realiów i składowym zaplanowaniem powieści. Świadomie nawiązuje do „Pana Tadeusza”, zaczynając rozdz. 2 słowami „Był sad”. Albo porywając się na opis burzy — i wychodząc z tej trudnej próby obronną ręką. Albo — dając opis uczty w zamku, gdzie myśliwym podano tak opisany bigos: „Gorąca, złocista masa kiszzonej kapusty, z kawałkami najprzeróżniejszych mięsów, grzybów, korzeni, najrozmaitszych przypraw, podlana winami, mobilizowała całą męską naturę myśliwych, wzmacniała w nich wigor, apetyt, pragnienie. Do bigosu chleb razowy nadawał się tak, że nie było od niego nic lepszego na świecie, a ostra, podniecająca wódka, lana z zielonej ciężkiej flaszki, smakowała przewybornie”.

Powieść jest jednak nierówna i pełna niekonsekwencji. Zapewnienia o „zdecydowanej nierzeczności” bohatera służą np. jako wstęp do opisu niedzielnej nabożeństwa, który byłby na miejscu w „Chłopach”. Przypadek w zbożu, której bohaterką była sezonowa robotnica wiejska, mogłaby się równie dobrze i w takiej właśnie wersji wydarzyć paniczowi z pałacu.

Drugą część powieści wypełnia opis perypetii z okresu walk rosyjsko-niemieckich w czasie I wojny światowej, gdy front przechodził przez Ciechanów a folwark był kolejno we władaniu Niemców to znów Rosjan. Pojawiają się i legionści a wśród nich kapitalnie nakreślony zaradny kapral Stulej, przechowywany w dobrach Hrabiego w ostatnich miesiącach wojny. Gdy pierwsi legionści pojawili się „na wyłożonej ogromnymi brukowcami ulicy” „tłum za gardło chwyciła niesamowita cisza. Oczy zamglone od napływających łez lgnęły z niewyraźnymi uczuciami do broni niesionej jawnie, legalnie, przez polskich żołnierzy”.

W końcu części trzeciej, ukazującej w dużym skrócie losy bohatera w 20-lecie, w ostatni przedwojenny wieczór wigilijny, na pytanie matki, co przyniesie Nowy Rok, rozlega się tajemnicze trzykrotne stuknięcie a brat bohatera, lotnik, dostrzega czarny krzyż ostro rysujący się na ramie okiennej.

Niektóre rozdziały „Krainy lat szczęśliwych” mają prawo i szanse wejścia do żelaznego repertuaru opisów „roku polskiego”. Całość, częściowo zapewne z winy cenzury, budzi liczne zastrzeżenia.

BIOGRAFIE

KĘPIŃSKI, Tadeusz: *Witold Gombrowicz i świat jego młodości*. Kraków, 1974, Wydawnictwo Literackie, 8°, str. 430, ilustr.

Kolega gimnazjalny Gombrowicza, Tadeusz Kępiński, objawił się koło siedemdziesiątki — jak Tomasi di Lampedusa — w roli pewnie władającego piórem. Do spisania wspomnień namówił go, jak przyznaje się w przedmowie, Stanisław Baliński. Dzięki Kępińskiemu Gombrowicz, którego „Dzieła zebrane” skwapliwie konfiskują celnicy PRL'u, stał się z godziny na godzinę tematem „inteligentnych” rozmów dziesięciu tysięcy nabywców rozkupionej w mgnieniu oka biografii. Egzemplarz, który dotarł do piszącej te słowa, zakupiony był spod łady w rezultacie starań kilku osób.

Kępiński jest znakomitą świadkiem koronnym okresu szkolnego w życiu Gombrowicza. W roku 1915 instalował 11-letniego „Itka” w Gimnazjum św. Stanisława, zwanym wówczas „Ośmioklasową Szkołą Filologiczną Hrabiego Z. Wielopolskiego, popieraną przez Koło Szkolne im. św. Stanisława Kostki”. Od początku znajomości, starszy o rok i w szkole już zasiadający, pozuwał się do roli „przewodnika i opiekuna”. Kolegą z tej samej klasy był Kazimierz Baliński, czwarty z piętki synów Ignacego Balińskiego, prezesa warszaw-

skiej Rady Miejskiej — i poety. Wszyscy trzej kolegowali w tych samych klasach do matury a poza szkołą znajdowali się w kręgu wpływów „Wiejskiej”.

Wiejska 11, adres Balińskich, jest dla Kępińskiego wzorcem, do którego przymierza się wszystko. W książce dominuje motyw porównania właśnie z „Wiejską”. Bo nie „Stuzewska”, adres Gombrowiczów ani kolejne adresy Kępińskiego na Mokotowskiej i Marszałkowskiej, ale właśnie „Wiejska”. „Ważne było — pisze Kępiński — jaką opinię wyraża Wiejska. Mówiło się: 'Wiejska — tak i tak'. Albo pytało: 'Co na to czy owo mówi Wiejska?'”.

W miarę lektury „Wiejska” wylania się z proustowską precyzją i własnym niepowtarzalnym, a jednak warszawskim, klimatem. Jest w nim i nowogródzka tradycja ziemiańska i sentyment pana domu do starej Warszawy i powszechne, połączone z prawdziwym znawstwem umiłowanie i uprawianie muzyki. U Gombrowiczów stało co prawda w salonie na Stuzewskiej pianino ale nikt na nim nie grywał. Używana była natomiast pianola i synowski gramofon. Stąd może wywodzi się niezmiernie złożony stosunek Gombrowicza do muzyki: zazdrosny i ostrożny. Rozdz. 13 książki Kępińskiego sprawy te analizujący jest przeto szczególnie ważny.

Balińscy od kilku pokoleń związani byli z literaturą (Michał, Karol, Ignacy, skamandryta Stanisław). Przez Michała spokrewnieni byli ze Śniadeckimi. Żona Ignacego, Maria z Chomętowskich, była wnuczką przyjaciela Mickiewicza, Antoniego Edwarda Odyńca. Gombrowicz nie ukrywał, że zazdrości kolegom tych powiązań.

Pięciu było braci Balińskich. Dwaj najmłodsi kolegowali z Gombrowiczem w Gimnazjum, starsi byli na różne sposoby wzorami osobowymi, „dominowali”. O to właśnie oskarża „Itka” poetę, Stanisława, któremu „Pamiętnik z okresu dojrzewania” zawdzięcza niejedno, zaczynając od tytułu. Patronował on debiutowi Gombrowicza, jako dobrze już wprowadzony w świat literacki Warszawy i mający już za sobą pierwsze sukcesy. W okresie samookreślenia Gombrowicz zwał się w sobie wpływ „Wiejskiej” — i nie mógł się spod niego wyzwolić. Do śmierci Gombrowicza ciągnął się pełen niedopowiedzeń gorzki spór między „Stasiem” i „Itkiem”. Docinali sobie wzajemnie, pisywali do siebie z rzadka, ale gdy Baliński, będąc w Nicei, nie skomunikował się z Gombrowiczem, mieszkającym w pobliskim Vence, było to dla obu przykre przeżycie.

Balińscy byli „dobrze” urodzeni, dobrze wychowani, wzorowi. Odpowiadali ówczesnemu ideałowi Gombrowicza. On sam był niezadowolony ze swoich paranteli, choć mógł się doliczyć kilkunastu pokoleń Szymkowiczów-Gombrowiczów; oddałby ich jednak za jednego Odyńca, jedną Ludwikę Śniadecką i konesje z Jaszunami. Nie czuł się „dobrze” urodzonym. Mawiał: „Najgorsza jest nijakość, przeciętność”. I wręcz: „Nie udało mi się dobrze urodzić”.

Powszechnie uważany za „przystojnego”, nie lubił swego wyglądu i starał się odwracać od niego uwagę wymyślnym ubraniem, walizkami itp. Starał się i o to także, by wyglądać inaczej niż koledzy uznani przez niego za wzory elegancji. Chciał ich nie tylko dogonić ale prześcignąć, nie naśladować otwarcie.

Trudno o bardziej wiarygodny i wnikliwy — a nadto poparty doskonale zestawionymi fotografiami — obraz szkoły, która odegrała tak ważną rolę w twórczości Gombrowicza. Było to — czego Kępiński nie dopowiada — typowe dobre gimnazjum warszawskie z obsadą nauczycielską, w której gęsto pojawiały się nazwiska profesorów (lub in spe profesorów) wyższych uczelni. Gombrowicz nie należał do prymusów, choć dyr. Jędrzejowski częstował go epitetem „niemal geniusza”. Bez większych trudności doszedł do matury, po czym niemal od niechocenia ukończył Wydział Prawa Uni-

wersytetu Warszawskiego, nie biorąc udziału w pracach organizacji studenckich.

„Pamiętnik z okresu dojrzewania” i „Ferdydurke” otrzymują w książce Kępińskiego komentarze na pewien sposób pomniejszające. Widzimy w nich groteskowo zniekształcony ale wierny zapis przeżyć z lat szkolnych, bo takich miał kolegów i nauczycieli. Dla łowców realiów otwiera się szerokie pole do popisu i tylko czekać, kiedy na Traugutta pojawi się tablica, wiążąca tę okolice Warszawy z „Ferdydurke”.

Zawile rysuje się problem przyjaźni. Kępiński ludził się, że Gombrowicz jest w niej równorzędnym partnerem. „Uważał (ich) stosunek za oparty na pełnej wzajemności. Podobnie jak w sferze żartu. Jakże łatwo o złudzenie”. „Po latach, nagle, dowiaduję się, że było inaczej. Albo może niezupełnie tak. Tam gdzie nie było najmniejszej myśli o supremacji, gdzie jej w ogóle być nie mogło [...] tam stwarzał się jakiś uraz, jakaś wklęsłość w psychice, odcisnięta drugą osobowością”. „Napisałem mu — pisze Kępiński — co myślę o „Trans-Atlantyku”. Odpisał mi, oczywiście z Argentyny, że jest to z mojej strony zadośćuczynienie za wszystko dawne, jeszcze szkolne”. Ślady tej uczuciowej zdry widoczne są chwilami w książce Kępińskiego. Są w niej momenty o charakterze rozrachunkowym. Może wbrew intencjom autora.

Kępiński pokazuje stadia „ewolucji indywidualności” u Gombrowicza. „Początkowy okres — to wyzwalanie się z rodzinnej kurateli czy niewoli. Następny — to czas wyobcowywania się ze swego najbliższego środowiska rodzinno-sąsiedzko-towarzyskiego. Wreszcie wyodrębnienie się, odcięcie od rodzinnej przeszłości, od całej genetycznej więzi”. Była w tym wszystkim „jakaś łatwość odchodzenia i zapominania”, przy stałej dezaprobacie siebie samego. Włączała się w to dodatkowa walka z „kulturą małozryczą”, ostry sprzeciw przeciw stylowi egzystencji ziemiańskiej, dobrze znanej z rodzinnych Małoszyc i majątków sąsiadów.

Sporo miejsca poświęcił Kępiński lekturom Gombrowicza. Znajomość zawarł przy książce o młodości Krasńskiego. W szkolnych turniejach, kto za Mickiewiczem a kto za Słowackim, Gombrowicz zdecydowanie „był za Słowackim”. „Do każdego z poetów miał o coś pretensje — pisze Kępiński. — Z wyjątkiem Słowackiego. Pozostało mu na zawsze poczucie, że po prostu korzył się przed nim wewnątrz”. Był także — „znawcą Trędowatej”. Starał się odkryć „tajemnicę techniki, która dała świetny rezultat”. Pod tym kątem rozczytywał się w powieściach Dołęgi-Mostowicza, w „Iwonce” Germana, „Dzikusie” Zarzyckiej itp. Powziął nawet plan napisania do spółki z Kępińskim powieści, która „powinna się podobać czytelnikom lekkiej, nawet brukowej literatury, to znaczy powinna być co się zowie grafomańska, z drugiej — znacznie bardziej wyrafinowana”. Pomyśl takiej „powieści dla kucharek” został zarzucony w trakcie realizacji (w roku 1929), po napisaniu kilku rozdziałów. Widocznie — sądzi Kępiński — Gombrowicz „nie uznał jej za dobrze napisaną złą powieść”.

Gombrowicz w ujęciu Kępińskiego ma pewne cechy młodego człowieka, który jak świetnie określa powiedzenie rosyjskie z *żyru biesitsja*. Jego „inność” przybiera zresztą w latach szkolnych raczej łagodne formy: nie tańczy, nie gra w *bridge’a*, nie uprawia nieeleganckich sportów — zadowalając się tenisem, unika rodzinnych zbiegowisk towarzyskich. Choć na pozór niewiele różni go od młodych Balińskich, bo przecież „bywa”, chodzi przykładnie do kościoła, jeździ na wakacje „do siebie na wieś” albo do zakopiańskich do- brych pensjonatów.

Warszawa XX-lecia rysuje się w książce Kępińskiego bardzo po europejsku a jej życie muzyczne wręcz wspaniale. Angielski czy francuski przekład książki byłby ze wszelkimi wskazany, bo książka doskonale ustawia Gombrowicza w środowisku młodości. Ale — prawie nie czuje się, że opisy-

wane najszczegółowiej wypadki toczyły się w okresie Pierwszej Wojny Światowej i pierwszych latach Niepodległości.

Sam Kępiński skąpi wynurzeń autobiograficznych, bardzo *effacé* jak na „dobrze” urodzonego przystało. Zamykając książkę, wiemy o nim niepokojąco mało. Teraz, gdy Kępiński wszedł do literatury, ktoś powinien to uzupełnić, by ułatwić pracę przyszłym autorom dysertacji na temat: „Wspomnienia Tadeusza Kępińskiego jako źródło do poznania twórcy utworów Gombrowicza”.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Rozsmakowani w Meksyku

Książka Tomaszewskich to przede wszystkim podręcznik inteligentnej, hedonistycznej turystyki dla Polaków z inteligencji mieszkających na Zachodzie. Nawet ci, którzy nie mogą czy nie chcą pojechać do Meksyku z książki tej nauczą się jak podróżować do innych krajów i jak się do tych podróży intelektualnie przygotować aby żyć nimi później przez długie lata. Gdy się w ten sposób podróżuje można, nawet w ciągu kilku podróży, trwających w sumie 3 miesiące, zdobyć nie tylko „drugą ojczyznę”, ale również napisać książkę, pomagającą innym w podobnych przedsięwzięciach.

Oto recepta pani Tomaszewskiej (str. 79) na tego rodzaju podróżowanie: „Wypróbowaną i owocną metodą jest czytanie przed wyjazdem — w czasie podróży — i po powrocie”. Poza tym należy „podeprzeć to czytaniem wszystkich prospektów... I w miarę możliwości językowych — miejscową prasą”.

Ważną techniką podróżowania Tomaszewskich jest również rozsądny kompromis między amerykańskim, zorganizowanym stylem podróżowania ściśle turystycznego a własaniem się na własną rękę. Nie odrzucając udogodnień turystycznych Tomaszewscy starają się zatrzymywać w wygodnych hotelach („skromnych w porównaniu z kanadyjskimi i amerykańskimi”), którym patronują nie tylko cudzoziemcy ale również Meksykanie a często jedynie Meksykanie. Tomaszewscy nie tylko uczą się nowego kraju, ale również cieszą się życiem: absorbują je łapczywie i radośnie, rozmawiają z kim się da, jedzą, piją, bawią się, kąpią i... odpoczywają równie intensywnie. Okazuje się, że objechali cały prawie Meksyk ciesząc się nie tylko wspaniałą *cuisine* (europejską i meksykańską i opisując dokładnie co gdzie można zjeść), sztuką, muzyką i architekturą (rozdziały napisane głównie przez panią Tomaszewską) ale obserwując również uważnie życie ulic i parków meksykańskich i broniąc mieszkańców Meksyku przed niesprawiedliwymi *clichés* i „mitami”. „Zagłębiwszy się w park” — pisze pani Tomaszewska o spacerze po pięknym parku Chapultepec w Meksyku-Mieście — „znajdujemy inne nieoczekiwane sprawy. Piknikowe stoły przy których u nas zająłoby się jajka na twardo... Tu stoły obsiedli Meksykanie obojga płci i bardzo różnego wieku. Są niedorostki, są i starcy. Instruktor uczy taktu czy rzęby

* Jadwiga Jurkszus i Adam Tomaszewscy, *I to jest Meksyk*, Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1972.

w metalu... Gdzie indziej — tablica. Zwykła szkolna tablica i nauczyciel wyjaśniający zawitości hiszpańskiej gramatyki i składni. I tu też pełno. Trudno uwierzyć, że ci ludzie uczą się w niedzielę, gdy ich równieśnicy w nowojorskim Central Parku czy torontońskim High Parku uganiają się za piłką, baraszkują w basenie pływackim i kijem by ich do książki nie zapędził".

Pierwsza część książki napisana jest przez panią Tomaszewską, druga przez jej „towarzysza życia”, jak zwykle nazywa męża. Sfotografowali się podobnie: każde osobno ale za to z meksykańskimi przyjaciółmi. Mimo tego dwukrotnie zmanifestowanego indywidualizmu w książce wyczuwa się bliskość, wspólną problematykę i współpracę tych zakochanych w Meksyku (i w życiu w ogóle) sympatycznych podróżników.

Choć Tomaszewscy podróżują jako „kanadyjska para” i Meksyk porównują z Kanadą raczej niż z Polską (używając często niepotrzebnie angielskich słów takich jak np. *canoe* zamiast kajak, łódka czy czółno), ich reakcje, sposób konsumowania życia i podejście do ludzi są bardzo polskie (powiedziałabym nawet, przedwojenno-polskie) bez cienia rezerwy anglosaskiej. Ich zrozumienie (i czasem niezrozumienie) Meksyku, jest również silnie oparte o przedwojenno-polski system wartości raczej niż o szersze, współczesne spojrzenie na świat i historię, którego nieliczni tylko Polacy nauczyli się podczas migracyjnych wędrówek. Wyjątkowo dobre jest np. ich zrozumienie indiańsko-hiszpańskiego katolicyzmu i doskonale są opisy fiest religijnych. Bardzo dobre są opisy baroku meksykańskiego, tak często niezrozumianego przez europejskich podróżników. W tych obu zrozumieniach pomogła Tomaszewskim niewątpliwie ta sama właśnie, przedwojenna, trochę „zasuszona” polska perspektywa, która zaszkodziła im w zrozumieniu innych, współczesnych i historycznych aspektów ich ukochanego kraju. Sprawa wielkich nierówności społecznych i groźnych totalitarnych akcentów za rządów przedostatniego prezydenta Diaz Ordaz, są ledwo musnięte a czasem nawet zupełnie pominięte. Niezrozumiały jest np. opis powstania książki Eleny Poniatowskiej o Tlatelolco bez opowiedzenia czytelnikom o masakrze studentów meksykańskich w 1968 roku na Placu Trzech Kultur w Tlatelolco. O Placu tym piszą Tomaszewscy nie nawiązując ani do jego najdawniejszej historii (poddanie się tutaj ostatniego cesarza azteckiego Cuauhtemoc) ani do najnowszej historii krwawej masakry, o której w Meksyku pamiętają wszyscy.

Najlepsze (historycznie i literacko) są dwa najbardziej „literackie” rozdziały, w których pan Tomaszewski bardzo etnocentrycznie pisze o ciekawej postaci wielkiego hiszpańskiego konkwistadora Hernana Cortesa („Kortez” według książki Tomaszewskich) i o równie fascynującej postaci Maksymiliana Habsburga. Hernan Cortés obroniony jest co prawda rycersko przez pana Tomaszewskiego przed bardzo krzywdzącymi zarzutami niewielkiej zresztą grupki meksykańskich intelektualistów, którzy próbowali przedstawić go jako obrzydliwego i tehrzliwego „karla”, jednocześnie jednak (bez umiaru charakteryzującego inne uogólnienia i opisy) epopeja Podboju przedstawiona jest jedynie z punktu widzenia Hiszpanów i mimo wielu historycznych i archeologicznych lektur prace najwybitniejszego azteologa meksykańskiego (zresztą czysto hiszpańskiego pochodzenia!) Miguela Leon Portilla, takie np. jak *Wizje Zwycięznych* (*Las Visiones de los Vencidos*), nie są w ogóle uwzględnione. Stąd bardzo niesprawiedliwa gloryfikacja podboju „barbarzyńskich Azteków”, którzy w tej epoce mieli już nie tylko wspańską poezję, astronomię, matematykę i szkolnictwo obowiązujące wszystkich, ale również kulturę materialną (np. drogi, łaźnie itp.) na znacznie wyższym poziomie niż XVI-wieczna Hiszpania.

Równie rycersko jak renesansowego bohatera, Cortés, obronił przekonany Europejczyk-Tomaszewski, drugiego, bardziej jeszcze pokrzywdzonego przez

Historię Europejczyka, sympatycznego intelektualistę i *bon vivant*, Cesarza Maksymiliana, podobnie jak Cortés kochającego Meksyk... tak jak wielu kolonistów angielskich pokochało Indie i... wielu „lepszych Niemców” pokochało Polskę... Tomaszewski obronił Maksymiliana kosztem niezrozumienia współczesnych mu meksykańskich liberalów (pod przywództwem pro-amerykańskiego Juareza) uważanych przez Tomaszewskiego za „lewicowców” raczej, niż za broniących niepodległości kraju bardzo indywidualistycznych republikanów.

Książka Tomaszewskich jest żywo, dobrze, lekko napisana. Ich erudycja turystyczna jest niebywała (dokładne informacje o drogocennych kamieniach, ptakach roślinach, potrawach, technikach ceramicznych itd.) a jednak nie męcząca, bo poprzepłataną opisami kontaktu z ludnością i często udanymi próbami zrozumienia ich psychiki (jak np. uwagi o stosunku Meksykanów do śmierci). Gros książki jest autentyczne, bezpretensjonalne, świeże a po nieważ książka — o ile dobrze rozumiem autorów — ma być książką turystyczno-podróżniczą raczej niż literacką czy naukową, można im łatwo przebaczyć jednostronne interpretacje historyczne i liczne błędy w słowach hiszpańskich, które poprawią zapewne w następnym wydaniu.

Alicja IWANŃSKA

9 lutego 1975

Nadesłane nowości wydawnicze

Poza Krajem — za Ojczyznę. Żołnierz polski na frontach zachodnich II-ej wojny światowej 1939-1945. Str. 215 i 1 nłb. (Nasza Rodzina — Nr specjalny 1975, Osny).

MILCZEWSKI-BRUNO (Ryszard). *Dopokąd.* (Wiersze). Str. 79 i 1 nłb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1974; cena zł 15).

Róża Maryi. Październik 1974. Oktober. No 10. Str. 34. (Wyd. Ojcowie i Bracia Marianie, Marian Apolstolic Center, Stockbridge, Mass.).

Biuletyn Na Lewo. Nr 1. Str. 92. (Wydaje grupa marksistów rewolucyjnych, Société Internationale d'Édition, Département d'Europe Orientale, Paryż, 1974).

GEDILAGHINE (Vladimir). *Les contestataires en U.R.S.S.* Str. 192 i 4 nłb. (Wyd. Casterman, Série „Documents”, Paryż, 1974).

De MEEUS (Anthony). *Livre Blanc sur l'internement psychiatrique de dissidents saints d'esprit en U.R.S.S.* Str. 146 (powielacz). (Wyd. Comité International pour la Défense des Droits de l'Homme en U.R.S.S., Bruksela, 1974).

SCIEGIENNY (André). *Réforme érasmiennne ou Réforme luthérienne? Caspar Schueneckfeld et Erasme.* Str. 309-324. (Odbitka z *Revue d'Histoire et de Philosophie Religieuses*, Nr 3 — 1974, Presses Universitaires de France).

MOND (Georges H.). *Les intellectuels des années soixante-dix en Pologne.* Str. 19-44. (Odbitka z *Revue de l'Est*, Juillet 1974, Volume 5, nr 3).

MARTIN (André). *Vladimir Boukovsky „Le Contestataire”.* Str. 202 i 6 nłb. (Éditions Albatros, Paris, 1974).

- Conférence Européenne pour les droits de l'homme et l'autodétermination — Résumé de la Séance Constitutive. Lucerne, 1-3. III. 1974. Str. 134 (powielacz).
- GRZEGORCZYK (Christophe). *Brnislav F. Trentowski (1808-1869)*. Str. 127-134. (Nadbitka z Archives de Philosophie, revue trimestrielle publiée avec le concours du C.N.R.S., Tome 36, cahier 1, Janvier-Mars 1973).
- GRZEGORCZYK (Christophe), STUDNICKI (Thomasz). *Les rapports entre la norme et la disposition légale*. Str. 243-256. (Nadbitka z Archives de Philosophie du Droit, Tome XIX — *Le langage du Droit*, Éd. Sirey, Paris, 1974).
- JELÉN (Christian). *Les normalisés*. Préface de Pierre Daix. Postface d'Ilios Yannakis. Str. 285 i 3 nlb. (Éditions Albin Michel, Paris, 1975; cena F. 34).
- GOMORI (George). *Polish Studies. Literature, 1860 to the Present Day*. Str. 759-769. (Nadbitka z *The Year's Work in Modern Language Studies*, Vol. 35 (1973) 1974, wyd. The Modern Humanities Research Association).
- RUDNICKI (K. S. General, DSO). *The Last of The War Horses*. Str. 255 i 3 nlb. (Wyd. Bachman and Turner, Londyn, 1974; cena — £4.65).
- Polish Books in English 1945-1971*. Compiled by Janina Hoskins, Slavic and Central European Division, Reference Dept. Str. 163 i 1 nlb. Zawiera ponad 1.000 książek i broszur przetłumaczonych z polskiego na język angielski w latach 1945-1971. (Wyd. Library of Congress, Washington, D.C., 1974). Powyższą pracę można nabyć w Superintendent of Documents, Government Printing Office, Washington, D.C. 20402 przesyłając zamówienie łącznie z kwotą \$ 1.95 (cena książki wraz z przesyłką).
- GARLIŃSKI (Józef). *Fighting Auschwitz. The Resistance Movement in the Concentration Camp*. Str. 327 i 1 nlb. (Wyd. Julian Friedmann Publishers Ltd., Londyn, 1975; cena £4.25).
- GOMORI (George). *Cyprian Norwid*. Str. 162 i 8 nlb. (Wyd. Twayne Publishers, Inc., Twayne's Authors Series — A Survey of the World's Literature: Poland, 1974, New York; cena \$ 7.95).
- MŁODOZENIEC (Juventyn Maria L., O.F.M.Conv.). *I Knew Blessed Maximilian*. The life and death of Blessed Maximilian Kolbe, Friar Minor Conventual (1894-1941). Str. 117 i 3 nlb. (Wyd. AMI Press, Washington, N.J., 1975; cena \$ 3).
- ALIR (D.). *Through the Prism of Life*. Tłumaczenie I. M. Lask. Str. 228. (Nakładem Autora, Ramat Gan, Izrael).
- GASIEŃCICA. *The Not Too Divine Comedy*. Meta Ph. D. Thesis. Str. 154 i 4 nlb. (Edition Samizdat — Published by the Autor, Geneva, 1974).
- Nicolas Copernicus Heritage. On the 500th Anniversary of Copernicus by the National Organizing Committee in Australia. Str. 91 i 41 nlb. (Wyd. The National Organizing Committee in Australia, Melbourne, 1974; cena \$ 8.75).
- Quintecentennial of Nicolaus Copernicus 1473-1973. Exhibition of Polish Art. Catalogue. Str. 25 i 1 nlb. (Wyd. Exhibition Committee, Melbourne, Australia, February 1973).
- POWELL G. CLEWS (Hugh, Lt. Colonel). *Strzelecki's Ascent of Mount Kosciuszko 1840*. In the centenary year of the death of Sir Paul Strzelecki. Str. 42 i 2 nlb. (Wyd. Australia Felix Literary Club, Documentary and Historical Series No. 1, Melbourne, Australia, 1973).
- East Europe Monographs*. Pod redakcją prof. Gottholda Rhode i prof. Jerzego Hauptmanna. Zeszyt 4-ty. *German Unity*. Documentation and Commentaries on the Basic Treaty. Redaktor Frederick W. Hess. Str. 96. (Wyd. Governmental Research Bureau, Park College, Kansas City, Miss., 1974; cena \$ 2).
- TERLECKI (Tymon). *Polish Historical Antecedents of Surrealism in Drama*. Str. 37-51. (Nadbitka z „Zagadnień Rodzajów Literackich” XVI 2, Wrocław 1973).
- DEDECIUS (Karl). *Überall ist Polen*. Zur polnischen Literatur der Gegenwart. Str. 232 i 8 nlb. (Wyd. Suhrkamp, Suhrkamp Taschenbuch 195, Frankfurt a/Main, 1974).
- SCHEPS (Samuel). *Demonetisierung des Goldes*. Internationale Währungsordnung und Ölkrise. Str. 287. i 1 nlb. (Wyd. Verlag Management Assistant AG, Zürich, 1974).
- DROZDZYŃSKI (Alexander). *Der politische Witz im Ostblock*. Str. 220. (Wyd. Droste Verlag, Düsseldorf, 1974).
- STROBEL (Georg W.). *Die wirtschaftlichen und sozialen Verhältnisse in Polen am Ausgang des 18. Jahrhunderts*. Str. 49-74. (Nadbitka z *Die Erste polnische Teilung 1772*, opracowanie Friedhelm Berthold Kaiser i Bernhard Stasiewski, wyd. Böhlau Verlag, Köln-Wien, 1974).
- STROBEL (Georg W.). *Die Rolle der Rüstungsindustrie in Polen vor Ausbruch des Zweiten Weltkrieges*. Korreferat zu M. Hauner. Str. 364-387. (Nadbitka z *Wirtschaft und Rüstung am Vorabend des Zweiten Weltkrieges*, Droste Verlag, Düsseldorf, 1975).
- STROBEL (Georg W.). *Forschungsberichte Räte und gesellschaftlicher Wandel in Osteuropa*. Beispiel: Polen und Tschechoslowakei. Str. 262-295. (Nadbitka z *Zeitschrift für Ostforschung — Länder und Völker im östlichen Mitteleuropa*, 23. Jahrgang 1974, Heft. 2).
- Zbioryk na poszanu Ivana Mirczuka (1891-1961)*. Redakcja Oleksandra Kulczyckiego. Str. 310 i 2 nlb. (Wyd. Universitas Libera Ucrainensis, Monachium - Nowy Jork - Paryż - Winnipeg, 1974).
- HORDYŃSKY (Sviatoslav). *The Ukrainian Icon of the XIII to XVIIIth Centuries*. Tłumaczenie z ukraińskiego Walter Dushnyk. Str. 212. (Wyd. Providence Association, Philadelphia, Pa., 1973).
- HORBACZ (Oleksa). *Szwedeno-wolńska howirka i dialektnyj słownik sela Stupno, koł. powiatu Zdobuniv*. Str. 90 (powielacz). (Wyd. Universitas Libera Ucrainensis, Monachium, 1973).
- BIDA (Konstantyn, Prof. Dr). *Ioanikij Halatowski i joho „Klucz Rozuminja*. Pamiatky ukrainskoji literatury i mowy XVII-oho st. Cz. I. Str. 524 i 4 nlb. (Wyd. Universitatis Catholicae Ucrainorum S. Clementis Papae, tom XXXVII-XXXIX, Rzym, 1975).
- Index Lectionum. Semestre Aestivum 1974*. Str. 71 i 1 nlb. (Wyd. Universitas Libera Ucrainensis, Monachium, 1974).
- De constitutione patriarchali Particularis Ecclesiae Catholicae Ucrainorum (Ruthenorum)*. Str. 58 i 2 nlb. w jęz. ukraińskim. (Wyd. Editiones „Litterae Nuntiae” Particularis Ecclesiae Catholicae Ucrainorum N. 3, Rzym, 1974).
- AKUŁA (Kastus). *Harawatka*. Powieść białoruska. Księga druga: *Zakrywajenaje sonca*. Str. 285 i 1 nlb. (Wyd. Pahonia Publishers and Art Club, Toronto, Ont., 1974).
- RAKOW (Andriej). *Bielorussija w diemograficzieskom izmierienii*. Str. 127 i 1 nlb. (Wyd. CK KP Bielorusji, Mińsk, 1974; cena 20 kop.).
- STASZKEWYCZ (Mikolaj). *Nepazbieżnaje bankructwa*. Str. 140 i 4 nlb. (Wyd. CK KP Bielorusji, Mińsk, 1974; cena 20 kop.).
- MACKIEWICZ (W.). *Wykapni*. (Pamflety i felietony). Str. 132 i 4 nlb. (Wyd. CK KP Bielorusji, Mińsk, 1973; cena 20 kop.).
- BOŁDYRAJ (Dmitryj). *Parad spartyjnaga majsterstwa*. Str. 61 i 19 nlb. (Wyd. CK KP Bielorusji, Mińsk, 1974; cena 10 kop.).

Plato. *Gorgias*. W języku białoruskim. Tłumaczenie z tekstu greckiego i komentarz John Piatrouski. Słownik grecko-białoruski. Str. 101 (powielacz). (Wyd. John and Alice Piotrowski's Byelorussian Charitable Educational Fund, Gainesville, Florida, 1973; cena \$ 5).

GUSTAITIS (Algirdas). *Taikos Lituanika*. Str. 38. (Wyd. „Teviskės Aidai”, Melbourne, 1974).

LEM (Stanisław). *Intelektionika* (Poglavlje iz knjige *Summa technologiae*). Przekład z polskiego Petar Vujicic. Str. 189-255. (Nadbitka z *Savremenost* — časopis za drustvena pitanja — december 1972, godina II).

INGARDEN (Roman). *Identitet muzickog dela*. Tłumaczenie z polskiego Petar Vujicic. Str. 471-595. (Nadbitka z *Treci program*, Jesen 1973, Imaginarna edicija, emitovano od 13 Marta do 15 maja 1971).

KOTT (Jan). *Jedenje Bogova*. Studije o greckim tragedijama. Przekład z polskiego Petar Vujicic. Str. 273 i 3 nlb. (Wyd. Nolit, Beograd, 1974, Biblioteka Sazvezda — 38).

KRIWOSZEIN (K. A.). *A. W. Kriwoszein (1857-1921 g.)*. Jego znaczenie w historii Rosji naczala XX wieku. Str. 350 i 2 nlb. (Wyd. w Paryżu, 1973).

Moje poslednie slovo. Riecz pod sudimych na sudiebnych procesach 1966-1974. Str. 173 i 3 nlb. (Wolnoje Slovo, Samizdat, Izbrannoje, Wypusk 14-15, wyd. Possev-Verlag, Frankfurt a/Main, 1974).

KTOROWA (Aha). *Eksponat molczaszczij i drugoje*. Str. 466 i 2 nlb. Wyd. A. Neimanis Buchvertrieb — Verlag G.m.b.H., Monachium, 1974).

DEBELJAK (Tine). *Vencek poljskih vojskih popevk*. Str. 23. (Wiersze z antologii *Zalost zmogoslavja*, wyd. Slovenska kulturna akcija, Buenos Aires, 1974).

SCIEGIENNY-DUDA (Jadwiga). *La symbolique de la grenouille à Méroé, et A propos d'une étude sur Apedemak*. Dwa opracowania na str. 1-9 w *Bulletin d'information méroïtique*, N° 15, Octobre 1974 (powielacz). Wyd. pod auspicjami Centre Documentaire de l'Ecole Pratique des Hautes Etudes (V^e Section) du Centre de Recherches Egyptologiques de l'Université Paris-Sorbonne.

Humor krajowy

Prymas Wyszyński zwrócił się do KC Partii z petycją o udzielenie mu zezwolenia na wybudowanie w Warszawie bazyliki.

Po pewnym czasie przysłała odpowiedź:

— Możemy udzielić zezwolenia pod warunkiem, że będzie to bazylika pod wezwaniem św. Leonida.

— Zgadza się — oddepešował Prymas — przysyłajcie jak najszybciej relikwie...



Gerald Ford, Breżniew i Gierek spotkali się na audjencji u Pana Boga.

— Panie Boże — zapytał Ford — co będzie w Stanach Zjednoczonych za 50 lat?

— Komunizm — odpowiedział Pan Bóg.

— A co będzie w Związku Sowieckim? — zawołał ucieszony Breżniew.

— Chińczycy — odparł Pan Bóg.

— A u nas, w Polsce? — zapytał nieśmiało Gierek.

— Taki sam bałagan jak dotąd — który za mojej kadencji się nie skończy...



KOŁYSANKA

Gomułka nianęąc wnuczka śpiewa:

Aaa, aaa...

Były sobie kotki dwa

Aaa, aaa...

Rządzi Gierek a nie ja

Eee, eee...

I wykopią jak i mnie...



— Jaka jest kielbasa w Polsce?

— Robotniczo-chłopska.

— ????

— Rano czerwona, a wieczorem zielona...

SŁOGAN STOWARZYSZENIA RENCISTÓW I EMERYTÓW PRL

„Popierajcie Partię czynem,
Umierajcie przed terminem!”

Zebrata Zofia HERTZ

KRAJ — BLOK WSCHODNI

13-12-74

W Warszawie zmarł Stefan Buczkowski, doktor nauk ekonomicznych, profesor Uniwersytetu M. Curie-Skłodowskiej w Lublinie.

26-12-74

W Warszawie zmarła, w wieku 86 lat, Leokadia Pancewicz-Leszczynska, wybitna aktorka sceny polskiej, czynna w życiu teatralnym od 1907 roku.

1-2-75

We Wrocławiu zmarł, w wieku 82, płk Plato Bałaban, ostatni dowódca żandarmerii RP. ■ Towarzystwo „Polonia” wyróżniło grupę dziennikarzy medalami honorowymi za zasługi w umacnianiu więzi Polonii zagranicznej z Krajem. Medale otrzymali: Ryszard Badowski — TVP, Olgierd Budrewicz — *Perspektywy*, Tadeusz Budzyński — *Interpress*, Wojciech Dymitrow — *Życie Warszawy*, Andrzej Jucewicz — *Przegląd Sportowy*, Krzysztof Klinger i Stefan Olszewski — *Panorama Polska*, Urszula Kozierowska i Krystyna Kozłowska — *Tygodnik Polski*, Edmund Orkiszewski — *Trybuna Mazowiecka*, Jerzy Sykun — PAP, Zygmunt Trzebiatowski, Jan Wierzbicki i Wilhelm Zajac — Polskie Radio.

10-2-75

W Polsce zostały znacznie podwyższone ceny detaliczne nakryć stołowych i wyrobów nożowniczych, naczyń kuchennych i gospodarczych oraz farb i lakierów. ■ Szeręg nominacji w PRL: wiceministrem w Min. Przemysłu Chemicznego został Mieczysław Drożdż, w Min. Komunikacji — Janusz Głowacki, w Min. Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki — Janusz Górski, w Min. Przemysłu Lekkiego — Wiesław Szymczak, w Min. Budownictwa i Materiałów Budowlanych — Henryk Vogt. ■ W związku z systematycznym spadkiem pogłowia owiec rząd PRL podjął szereg decyzji, zmierzających do zwiększenia hodowli.

15-2-75

Ostatni prywatny zamek w PRL w Janowcu nad Wisłą został przejęty przez Państwo. Jego właściciel, inż. Leon Kozłowski, ma otrzymać tytuł honorowego opiekuna zamku. ■ Doroczne nagrody artystyczne redakcji *Chłopskie Drogi* otrzymali: Edward Obychawski, artysta kowal (nagroda przyznana pośmiertnie), Stanisław Buczyński — poeta ludowy, Władysław Kamiński — rzeźbiarz, Jerzy Witek — garncarz, oraz wiejski kabaret „Rzep”.

16-2-75

W Piotrkowie Tryb. ma powstać filia Uniwersytetu Łódzkiego. W przyszłym roku akademickim zostaną uruchomione studia administracyjne, a w 1977 roku powstanie wydział ekonomiki przemysłu, oraz ekonomiki rolnictwa. ■ W Łodzi miała miejsce giełda antykwaryczna — już trzecia z kolei — na której specjalnym powodzeniem cieszyły się książki przedwojenne, a mianowicie: sprzedano „Ordynata Michorowskiego” Mniszkówny za zł 250, książki Rodziewiczówny i Czarskiej sprzedawano po zł 50, tak samo powodzeniem cieszyły się książki M. H. Eversa i Gustawa Meyringa.

18-2-75

W Krakowie zmarł, w wieku 86 lat, prof. Zygmunt Czerny, nestor polskich romanistów, doktor *honoris causa* Sorbony, były profesor i prorektor UJK we Lwowie.

19-2-75

Towarzystwo Naukowe w Toruniu obchodzi 100-lecie rocznicę swej działalności. Toruńskie Towarzystwo Naukowe liczy obecnie 500 członków, utrzymuje stałe kontakty z 216 towarzystwami i instytucjami zagranicznymi, oraz z 73-ma krajowymi. ■ W Warszawie rozpoczęto prace przy budowie gmachu Biblioteki Narodowej. Gmach ma stanąć na Polu Mokotowskim. Ogólna kubatura zespołu budynków wyniesie około 200 tysięcy metrów sześciennych. Planuje się ukończenie budowy całego zespołu budynków w 1980 roku. Obecne zbiory Biblioteki liczą 3 miliony tomów i powiększają się każdego roku o około 160 tysięcy jednostek bibliotecznych. ■ Korespondentami Polskiej Agencji Prasowej zostali mianowani: w Belgradzie — Dariusz Pilewski, w Rzymie — Waldemar Kadej, a w Genewie — Jerzy Wańkowicz.

23-2-75

Nagrody im. Cypriana Kamila Norwida za wybitne walory artystyczne indywidualnych prac malarskich eksponowanych w Warszawie przyznano Jerzemu Dudzie-Graczowi i Jackowi Sienickiemu. ■ Ze względu na spadek konsumpcji wyrobów mięsnych na Zachodzie import tych wyrobów z Polski jest coraz bardziej ograniczany i prawdopodobnie rynki zachodnie zostaną dla niej zamknięte. Polska poszukuje zatem rynków zastępczych, m.in. w krajach Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej. ■ Wiosną br. rozpocznie się budowa zapory ziemnej na Dunajcu pod Czorsztynem. ■ W roku 1974 ludność Polski powiększyła się o 330 tysięcy osób, a współczynnik urodzeń żywych wyniósł 18,4 urodzeń na 1.000 ludności. Są to najwyższe wskaźniki od 10 lat. Współczynnik zgonów wynosi 8,2 promille i jest jednym z najniższych w Europie. ■ W Poznaniu odbył się XIX Zjazd Związku Literatów Polskich. 120 delegatów reprezentujących społeczność pisarską całego kraju wybrało nowe władze Związku, którego prezesem został ponownie Jarosław Iwaszkiewicz. W skład zarządu głównego ZLP weszli: H. Auderska, D. Bienkowska, Z. Flisowski, M. Grześczak, P. Hertz, E. Kabate, A. Kamińska, J. Koprowski, J. Krasinski, A. Kuśniewicz, A. Lam, J. Lisowski, T. Nowak, J. Odrowąż-Pieniążek, B. Ostromecki, J. Putrament, A. Rymkiewicz, J. J. Szczepański, W. Szewczyk, W. Szyborska, H. Vogler, W. Zalewski i St. Zieliński. Zjazd wysunął szereg postulatów i inicjatyw: pismo literackie w Krakowie i na Wybrzeżu, pismo poświęcone twórczości dla dzieci i młodzieży, powołanie w Warszawie Międzynarodowego Komitetu Korczakowskiego. Zjazd z niepokojem stwierdził zjawisko „starzenia się” członków Związku. Przeciętą wiekowi wynosi bowiem około 60-ciu lat. Tak samo z niepokojem stwierdzono bardzo małą ilość debiutów literackich: na 1.000 tytułów z literatury pięknej, które ukazały się w 1974 roku było ich zaledwie 38. Zwróciło uwagę wystąpienie Kazimierza Koźmiewskiego, który zastanawiając się nad przetrwaniem książek współczesnych pisarzy — kto przetrwa próbę czasu — krytykował tych, którzy szukają poparcia np. w paryskiej *Kulturze*. (Tu poparł stanowisko Zb. Żuławskiego w sprawie niedopuszczalnego posyłania książek do druku u wrogów Polski Ludowej w paryskiej *Kulturze*; ostatnio casus „Cudowna melina” Orłosa). Związek w paryskiej *Kulturze*; ostatnio casus „Cudowna melina” Orłosa). Związek skupia 1.174 pisarzy (z tego 701 w Warszawie); tylko 20 % pisarzy utrzymuje się wyłącznie z pracy pisarskiej. W czasie zjazdu szereg członków ZLP stworzyło nieoficjalną „nagrodę niezależnych” w dziedzinie poezji i prozy. W jury nagrody dla poezji byli: Zb. Herbert, M. Jastrun oraz

W. Woroszyński. Nagrodę przyznano R. Krynickiemu. Jury dla prozy m.in. M. Brandys i J. Strykowski — nagrodę przyznało K. Orłowski za książkę „Cudowna Melina”. (Książka ukazała się w „Bibliotece Kultury” w roku 1973). ■ W Warszawie zmarł, w wieku 82 lat, Eryk Kurnatowski, b. senator RP.

26-2-75

W Warszawie zmarł, w wieku 84 lat, płk W.P. Januariusz Grzędziński. Żołnierz ZWC, adiutant Naczelnego Wodza w latach 1918-19, jeden z organizatorów Wojska Polskiego we Francji w 1939 roku, pisarz i publicysta, założyciel i redaktor tygodnika *Czarno na białym*.

28-2-75

Zmarł w Warszawie, w wieku lat 69, prof. Włodzimierz Zonn. Był on astronomem obserwatorium astronomicznego USB w Wilnie, profesorem Uniwersytetu Warszawskiego i wieloletnim prezesem Polskiego Towarzystwa Astronomicznego. ■ Synod Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w PRL wybrał nowego biskupa, którym został ks. Janusz Narzyński. Kościół Ewangelicko-Augsburski liczy w Polsce około 100 tysięcy wiernych, zorganizowanych w 6-ciu diecezjach i 125 parafiach. Posiada 268 kościołów i kaplic, obsługiwanych przez 107 duchownych.

1-3-75

W latach 1975-76 Diecezja Przemyska będzie obchodzić 600-lecie swego istnienia. Z tej okazji przewidziana jest w Przemyśle konferencja Episkopatu Polski, sesja naukowa oraz publikacje historyczne. Diecezja Przemyska pod względem kościelno-administracyjnym podzielona jest na 42 dekanaty i na blisko 460 samodzielnych ośrodków duszpasterskich plus 100 filialnych kościołów i kaplic. Duchowieństwo diecezjalne liczy 850 księży, a zakonnie 120. Społeczność greko-katolicka skupia się głównie w ośrodkach duszpasterskich w Przemyśle, Jarosławiu i Komanczy. Około 10 % greko-katolików znalazło się w zasięgu Kościoła Prawosławnego. Od roku 1966 ordynariuszem Diecezji jest ks. bp dr Ignacy Tokarczuk, 65-ty z kolei ordynariusz przemyski. ■ W Roku Żeromskiego redakcja *Przemiań i Słowa Ludu* ogłosiła ogólnopolski konkurs literacki pod hasłem „Ziemia Żeromskiego”. Pierwszą nagrodę przyznano *ex aequo* Barbarze Wachowicz za „Jasne kwiaty mojej doliny” i Ryszardowi Miernikowi za powieść „Dożynki w Micie”. ■ W dorocznym konkursie *Szpilkę* na najlepszą karykaturę w 1974 roku nagrodę otrzymał Piotr Chrobok. ■ W Poznaniu zmarł, w wieku 66 lat, Eugeniusz Morski, poeta i tłumacz poezji rosyjskiej. ■ Anatol Marzenko został aresztowany w miejscowości Tarusije pod Moskwą, podobno za próbę nielegalnego przekroczenia granicy. W grudniu ub. roku Marzenko zrzekł się obywatelstwa sowieckiego i zabiegał o pozwolenie na wyemigrowanie do USA. ■ Miesięcznik *Zweteń* w Lwowie podaje, że w grudniu ub. roku obchodzono uroczystości 100-lecie urodzin Tadeusza Boya-Zeleńskiego. Staraniem Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej wraz z Biblioteką Literatury Obcej został zorganizowany specjalny wieczór. Ponadto zorganizowano wystawę książek „Artystyczny spadek Tadeusza Boya-Zeleńskiego”, a w lwowskim teatrze im. M. Gorkiego artyści polskiego narodowego teatru rejonowego Domu Nauczyciela wykonali literacką kompozycję z utworów i przekładów Boya.

2-3-75

Warszawska *Polityka* podaje, że deficyt meblowy w PRL szacuje się w 1975 roku na dwa miliardy złotych. Są też trudności z nabywaniem starych mebli, gdyż w całym kraju jest zaledwie 25 komisów meblowych.

3-3-75

Socjalistyczna Industrija pisze, że „nielegalny przywóz, obok towarów, których brakuje w Związku Radzieckim obejmuje przede wszystkim zakazane książki i druki, między innymi wydawnictwa pornograficzne lub „szkodliwe ideologicznie”, oraz antysowiecką literaturę, jak np. wydawane w języku rosyjskim, przez frankfurckie wydawnictwo „Possev”, książki Aleksandra Solżenicyna. — Szmuglowane towary są ukrywane na statkach w przewodach wentylacyjnych lub pod podwójnymi dniami w zbiornikach paliwa, — W litewskim porcie *Kłajpeda*, gdzie rocznie schodzi ze statków 13 tysięcy zagranicznych marynarzy, szmugiel i handel dewizami przybrał „niepokojące rozmiary”. ■ Nowy kwartalnik *Economica Polona* został założony staraniem komitetu nauk ekonomicznych PAN oraz polskiego twarzystwa ekonomicznego. Czasopismo ukazuje się w 2-ach językach — angielskim i rosyjskim. Zawiera artykuły, rozprawy i studia z zagadnień gospodarki socjalistycznej oraz materiały z historii myśli ekonomicznej.

6-3-75

Andrzej Wajda otrzymał nagrodę tygodnika *Kultura* za rok 1974, za wybitne osiągnięcia w dziedzinie reżyserii filmowej i teatralnej. ■ Z okazji ogólnopolskiego spotkania kobiet, premier PRL P. Jaroszewicz wygłosił przemówienie obrazujące katastrofalną sytuację ekonomiczną Polski. Min. podkreślił: „Fakty niewykonywania przez niektóre przedsiębiorstwa planów produkcji i usług, opóźnienia w toku niektórych inwestycji oraz osiąganiu przez nich projektowanych zdolności produkcyjnych i usługowych, nierytmiczny przebieg produkcji i dostaw towarów przez poszczególne zakłady dla rynku, czy przypadki nieprawidłowego kształtowania się relacji ekonomicznych w przedsiębiorstwach...”. „Z dużymi trudnościami boryka się niedoinwestowany przez wiele lat transport. Niedostateczny jest też udział rodzimego postępu naukowo-technicznego w unowocześnianiu produkcji i poprawie efektywności gospodarowania. Mamy odczuwalne braki w zaopatrzeniu kraju w modne i nowoczesne artykuły przemysłu lekkiego, niektóre wyroby trwałego użytku, materiały budowlane, środki produkcji dla rolnictwa, zwłaszcza maszyny i narzędzia rolnicze... Mamy... wielkie niezaspokojone potrzeby mieszkaniowe... Obniżona wydajność buraków cukrowych i niska zawartość w nich cukru spowodowała, że wyprodukowaliśmy jedynie milion 467 tysięcy ton cukru. W wyniku obniżenia plonów roślin oleistych ich zbiór wyniósł 530 tysięcy ton, zamiast 760 tysięcy ton... Zbiory warzyw były niższe o 13,7 %, a owoców o 6,3 %. Stosunkowo słabe okazały się zbiory ziemniaków... Ponad 30 % niższą były jakości zbieranych psaz jesiennych i kiszonek... Pogorszenie warunków hodowli... osłabienie tempa jej rozwoju oraz zmniejszenie w wielu województwach skupu mięsa i mleka w ostatnich miesiącach... Przez prawie zupełną likwidację, bardzo skądinąd korzystnego eksportu, zagwarantowaliśmy aż do nowych zbiorów pełne pokrycie zapotrzebowania ludności w cukier. Czynimy nadal wysiłki aby wydatnie poprawić zaopatrzenie rynku w mięso. W tej ważnej dziedzinie gospodarka nasza ma niemałe trudności... W okresie przejściowych trudności w dostawach mleka apelujemy do wszystkich producentów o ograniczenie własnego spożycia i powiększenie dostaw... Niektórzy obywatele wyrażają niezadowolenie z powodu ograniczenia sprzedaży pełnotłustego mleka i pewnego zmniejszenia serów tłustych. Nie mieliśmy innego wyjścia... M.in. z uwagi na występującą w ostatnich miesiącach poważny spadek produkcji masła... Zwiększający import konieczny dla hodowli zbóż i psaz... Liczymy na wasze zrozumienie i waszą cierpliwość wtedy, gdy przychodzi nam przeżywać przejście trudniejsze okresy i sytuacje. Nie jest, drogie towarzyski, sprawą prostą, ani łatwą opanować omawiane tu trudności. Wiemy ile kosztują was one kłopotów i zmartwień, straty czasu”. P. Jaroszewicz jednak optymistycznie

zapewnił: — „Trzymamy się konsekwentnie drogi obranej przez polskich komunistów... Budując przyszłość braterskiej nierozdzielnej przyjaźni i sojuszu ze Związkiem Radzieckim, z narodami wspólnoty państw socjalistycznych. Nie ma innej drogi w przyszłość, nie ma innego sposobu gwarantowania i polepszania naszego wspólnego losu”.

7-3-1975

W Warszawie zmarł, w wieku 80 lat, Franciszek Mazur. W okresie międzywojennym był on członkiem WKP(b), w latach 1952-57 wicemarszałkiem Sejmu PRL i wiceprzewodniczącym Rady Państwa; w latach 1957-65 ambasadorem PRL w Pradze. Odegrał zarówno w PRL w okresie Października jak i później w Czechosłowacji szkodliwą rolę jako pogrobowiec stalinizmu.

8-3-75

W roku 1974 PRL wyeksportowała za granicę 7 ton żab.

9-3-75

37,2% wszystkich gospodarstw rolnych (powyżej 0,5 hektara) w PRL to gospodarki prowadzone przez kobiety (w Opolskim aż 51,5%).

ZACHÓD — EMIGRACJA

30-12-74

Do Wiednia przybył Jonas Juraszas, wybitny aktor i reżyser litewski, były dyrektor teatru w Kownie. M.in. wystawił w Moskwie w 1971 roku „Macbeth'a”, które to przedstawienie miało rezonans międzynarodowy. Nowojorski teatr awangardowy „La Mamma” zamierza go zaprosić do współpracy. W ostatnim okresie był on prześladowany przez KGB i zmuszony do emigracji.

23-1-75

W Penrhos w Walii zmarł śmiercią tragiczną ppłk Wacław Graba-Łęcki, żołnierz pierwszej Kompanii Kadrowej Legionów, wiceprezydent m.st. Warszawy w latach 1935-39. Jest to drugi w bież. roku wypadek samobójstwa w Penrhos. ■ W Londynie odbyło się zebranie Rady i doroczne walne zebranie Instytutu Polskiego im. gen. Sikorskiego. W sprawozdaniu podano, że ilość członków wspierających wzrosła w ub. roku o 50 osób, i wynosi obecnie 1.788 osób i instytucji. Wydatki wyniosły £.stg. 22.565. Zarząd Instytutu pozostał w tym samym składzie z ambasadorem E. Raczynskim jako prezesem. ■ Znany artysta i reżyser Zbigniew Ziemiński otrzymał tytuł honorowego obywatela stanu Guanabara w Brazylii. Zbigniew Ziemiński był wybitnym aktorem i reżyserem w Polsce w okresie międzywojennym, do Brazylii, via Rumunia i Francja, przybył w roku 1941 i bardzo szybko zdobył czołowe miejsce w życiu teatralnym i telewizyjnym Brazylii. ■ Polska Agencja Prasowa w Londynie (agencja Rządu Emigracyjnego) podaje, że poseł do Bundestagu, i członek Komisji Spraw Zagranicznych Bundestagu, Dr Herbert Czaja, złożył wizytę w siedzibie rządu RP w Londynie i przeprowadził szereg rozmów, w czasie których uzgodniono, że stosunki między Polakami a Niemcami powinny układać się na podstawie wolności. Pierwszym tego warunkiem jest jedność narodów i państw Europy. Ustalono potrzebę stałych kontaktów w sprawie wzajemnych stosunków.

24-1-75

W Madrycie zmarł dr Leonard Kociemski, w wieku 92 lat. Był on znanym działaczem społecznym, pisarzem i dziennikarzem.

28-1-75

Papieski Uniwersytet Katolicki w Santiago de Chile nadał prof. A. Tarskiemu doktorat *honoris causa*. Prof. Tarski wygłosił odczyty w szeregu uniwersytetów chilijskich.

1-2-75

We Francji w roku 1974 ukazało się 380 książek w języku innym niż francuski, w tym: w języku angielskim 223, hiszpańskim — 35, łacińskim — 24, niemieckim — 23, polskim — 20, rosyjskim — 14, ukraińskim — 4. ■ Angielski Pen-Club wybrał jednogłośnie Walentyna Moroza na członka honorowego angielskiego Pen-Clubu.

11-2-75

Awans kulturalny Polonii Brazylijskiej: na uniwersytecie federalnym w Paranie zdało egzaminy wstępne 100 studentów pochodzenia polskiego, jak również na uniwersytecie katolickim w Paranie złożyło podanie 70-ciu kandydatów polskiego pochodzenia.

15-2-75

Hotel Lambert w Paryżu został zakupiony przez Guy de Rothschild'a za sumę około 25 milionów franków. Mówi się, że kupno było proponowane szachowi perskiemu na lokal ambasady Iranu w Paryżu, ale szach odmówił, uważając, że byłby to lokal zbyt luksusowy.

18-2-75

W Centre d'Etudes Slaves w Paryżu odbył się odczyt prof. Jana Mycińskiego pt. „Les relations polono-hongroises de 1370 à 1572”. ■ W Londynie zmarł nagle, w wieku 74 lat, gen. Władysław Bobiński, pierwszy dowódca pułku Ułanów Karpackich, jeden z najwybitniejszych kawalerzystów polskich o pięknej karcie bojowej w kampanii libijskiej i włoskiej.

22-2-75

Mały wydawca mediolański Teti, związany pokątnie z władzami sowieckimi, ogłosił w zeszłym roku książkę Natalii Reszetowskiej *Mio marito Solgenitsin*. Wspomnienia pierwszej żony Solżenicyna, spreparowane do spółki z KGB, zostały w prasie włoskiej odnotowane z nieukrywaniem niesmakiem. Na rok bieżący Teti zapowiedział drugi akt programu: tom 500 listów Solżenicyna do pierwszej żony z lat 1940-1970. Solżenicyn złożył przez adwokata skargę do sądu w Mediolanie. Sąd mediolański skargę oddalił. Po wyroku Solżenicyn przesłał do prasy następujące oświadczenie: „Dotychczas myślałem zawsze, że według ludzkich praw listy prywatne nie mogą być opublikowane za życia autora bez jego zgody. Ale jeśli prawa włoskie — jak widać z wyroku wydanego przez sędziego mediolańskiego De Falco — zezwalają na tego rodzaju publikację, to można się do nich odnosić tylko z pogardą; i ja sam nie widzę możliwości zaskarżenia wyroku. Sprawa nie jest warta takiej fatygi”. ■ W Sztokholmie walny zjazd oddziału SPK Szwecja wybrał na prezesa Oddziału Tadeusza Głowackiego, wiceprezesem i sekretarzem został Marek Trokenheim. ■ Ks. prałat Juliusz S. Janusz, mieszkający w Mannheim (NRF), powołany został przez 145 Konferencję Episkopatu Polski na członka Komisji d/s emigracji (na miejsce ks. infułata Lubowieckiego, przechodzącego na emeryturę).

23-2-75

W Pahiataua w Nowej Zelandii odsłonięto pomnik na terenie dawnego obozu, gdzie 30 lat temu 735 sierot i dzieci polskich, uratowanych ze Związku

Sowieckiego znalazło schronienie i gościnę. Na uroczystość odsłonięcia pomnika przybyło ponad 1.000 osób (Polonia Nowozelandzka liczy 3.000).

25-2-1975

W związku z oficjalną wizytą w Polsce min. spraw zagr. Francji p. J. Sauvagnargues Agence France Presse podaje w swym komunikacie, że stosunki między Francją a Polską „są przykładem stosunków między dwoma krajami o różnych ustrojach społecznych” i że „nieznaczne kwestie sporne dzielą oba kraje. Idzie tu mianowicie o Bibliotekę Polską na Wyspie Św. Ludwika, której zwrotu żąda państwo polskie, a która opanowana jest przez emigrację, oraz o problem jakim jest miesięcznik *Kultura* wydawany przez emigrację, a kwestionowany przez Polskę...”.

1-3-75

Staraniem Stowarzyszenia Polskich Kombatantów — Koło Paryż, Związku Polskich Federalistów i Komitetu Wyborczego Polaków naturalizowanych, odbyło się zebranie dyskusyjne na temat „Co Polacy poza krajem mogą zrobić dla Polski i dla... siebie?”. Głównym mówcą był dr Jerzy Wojciechowski, profesor Uniwersytetu w Ottawie i wiceprezes Kongresu Polonii Kanadyjskiej. Zebranie prowadził red. Jerzy Jankowski. ■ Na początku 1975 roku we Francji było 4.045.000 imigrantów, którzy reprezentowali 17% robotników we Francji. W tej liczbie Polaków jest 90 tysięcy. Ma się rozumieć jest mowa o osobach, które nie są obywatelami francuskimi. ■ Znany pisarz i publicysta jugosłowiański Mihajlo Mihajlov został skazany na 7 lat więzienia i 4 lata zakazu jakiejkolwiek działalności publicznej, za „wrogą działalność”. ■ Prof. Henryk Skolimowski otrzymał sześciomiesięczne stypendium International Research Exchange Board celem przeprowadzenia studiów w Polsce na temat „Rewolucja naukowo-techniczna i jej społeczne konsekwencje”. Niestety odmówiono mu wizy do Polski. Będzie pracował nad tym samym tematem w ciągu bieżącego roku akademickiego w Oxfordzie. ■ Kiermasz Książki Polskiej S.P.K. w Szwajcarii w 25-ciolecie swego istnienia przyznał nagrodę „Za wierną służbę” redakcji londyńskich *Wiadomości*. Nagroda wynosi 1.500 franków szwajcarskich.

2-3-75

W strumieniu Baniás na wzgórzach Golanu ochrzczono 21 żołnierzy peruwiańskich z oddziałów ONZ. Żołnierze, z pochodzenia Indianie, urodzili się na wsi w rodzinach chrześcijańskich, ale z jakichś powodów nie zostali po urodzeniu ochrzczeni. Ceremonia chrztu odbyła się bardzo uroczysto, wzięło w niej udział 9 księży katolickich; wśród nich O. Daniel Rufeisen, znany konwertyta żydowski z Polski.

5-3-75

Teatr „Hjalmar Bergman” w Örebro (Szwecja) wystawił sztukę Sł. Mrożka „Emigranci” w tłumaczeniu i w rolach głównych Jerzego Ledermana i Jerzego Sawki. Prasa szwedzka przyjęła bardzo życzliwie sztukę, podkreślając nie tylko jej wartość dramatyczną i polityczną, ale i znakomitą grę obu młodych aktorów, którzy należą do nowej emigracji i przybyli do Szwecji dopiero przed paru laty.

6-3-75

W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbył się odczyt zorganizowany przez Towarzystwo Historyczno-Literackie Abbé Cuvelier pt. Un Don Juan polono-lituanien „Miguel Manara” d'Oscar-Venceslas de Lubiez Milosz.

7-3-75

W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się odczyt prof. dr. Jerzego Wojciechowskiego pt. „Przyszłość ludzkości — rozwój czy zagłada”. ■ Francuski Pen-Club wybrał na swego członka sowieckiego pisarza Władimira Kornilowa. Kornilow przebywa nadal w Moskwie. Poprzednio zostali wybrani przez francuski Pen-Club: Wadim Kozowoj, Władimir Wojnowicz i Władimir Maksimow. Kornilow współpracuje z emigracyjnymi periodykami *Kontynent* i *Grani* i bardzo niewiele może publikować w ZSSR.

8-3-1975

Zmarł arch. Marian Rybczyński, członek Rady Tow. opieki nad polskimi zabytkami i grobami historycznymi we Francji, współtwórca — wraz z arch. Stanisławem Korytkowskim — pomnika na cmentarzu w Montmorency pod Paryżem ku czci Polaków poległych na polach bitew, w więzieniach i obozach w drugiej wojnie światowej.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

Biuro Imigracji i Naturalizacji USA ogłosiło, że wizy pobytowe nie będą przedłużane poza okres 6-ciu miesięcy. Idzie o uniemożliwienie cudzoziemcom podejmowania pracy zarobkowej. Wydział stwierdził, że ilość nielegalnie przybyłych osób do USA wynosi około 8 milionów. ■ 20. 1. br. w Klubie Kultury im. Heleny Modrzejewskiej w Los Angeles odbył się wieczór poświęcony pamięci Aleksandra Janty-Polczyńskiego. Przygotował go prezes Klubu p. Leonidas Dudarew-Ossetyński. ■ 4. 2. br. Andrzej T. Falkiewicz został powołany na stanowisko asystenta dyrektora Biura Informacyjnego przez szefa US Information Agency. A. Falkiewicz w ostatnich latach był asystentem sekretarza prasowego Białego Domu. ■ 30. 1. br. zmarł Adolf Pachucki, wieloletni sekretarz Związku Narodowego Polskiego. ■ 7. 2. br. Prasa amerykańska informuje, że w Polsce mieszka 6.000 osób pobierających amerykańskie emerytury. Przeciętna emerytura wynosi \$175 miesięcznie. ■ 31. 1. br. zmarł w Chicago kongresman Jan Kluczyński, który od 23-ich lat reprezentował w Kongresie Polonię chicagowską. Na jego miejsce jest lat reprezentował w Kongresie Polonię Pucińskiego. ■ 15. 2. br. w Nowym Jorku odbyło się doroczne walne zebranie Polskiego Towarzystwa Prawniczego w USA. Prezesem ponownie został wybrany dr Jan Morelewski. ■ Paweł Łysek pisarz i profesor Queens College w Nowym Jorku, został przyjęty w poczet członków amerykańskiego Pen-Clubu. ■ W Atlanta (Georgia) powstało *General Pulaski National Heritage Association*. Przewodniczącym jest Edmund Lipeccki, w skład zarządu wchodzi Jan Koszutski, Horbat Early, Ida Clifton, Thomas Bellows, Aleksandra Jan Lipeccka, Alla Parkin, Edward Lichtenberger, Leon Meyer, Mary Duke i Lipeccka. W ramach obchodów Dwóchsetlecia stowarzyszenie postawiło sobie za cel wzniesienie pomnika Pułaskiego na poboju w Savannah (Georgia). ■ W Waszyngtonie odbyło się pożegnanie kongresmana polskiego pochodzenia, Tadeusza J. Dulskiego, który po wieloletniej działalności w Kongresie przeszedł na emeryturę. ■ Polski film „Potop” znalazł się wśród pięciu zagranicznych filmów kandydujących do tegorocznych nagród Amerykańskiej Akademii Sztuki Filmowej. ■ W Yale University została otwarta wystawa wybitnego grafika estońskiego, Edouarda Vija (1898-1954) oraz twórczości estońskiego poety Alexisa Rannita. ■ 2. 2. br. stacja telewizyjna WXON rozpoczęła nadawanie polsko-amerykańskiego programu telewizyjnego pt. „Polska panorama”, prowadzonego przez Leszka Kobylńskiego. W Southampton, w stanie Nowy Jork została otwarta

galeria sztuki polskiej „Gallery 44” pod kierownictwem Barbary Dietz-Giehniewskiej. ■ 1. 3. br. w Fundacji Kościuszkowskiej odbył się wieczór poezji Józefa Wittlina. ■ 15. 2. br. Prezydent Ford ogłosił, że zamierza mianować Wiktora Glinińskiego członkiem Komisji Atomowej (*Nuclear Regulatory Commission*). Komisja ta została utworzona w listopadzie 1974 roku na miejsce dawnej Komisji Energii Atomowej. Wiktor Gliniński, urodzony w 1934 roku w Warszawie, jest fizykiem i mieszka stale w Kalifornii. ■ Od pewnego czasu na terenie Chicago pojawił się cały szereg anonimowych pismek, jak „Głos walczącej emigracji”, „Samizdat”, „Odwet — Głos walczącej emigracji”, „Komunikaty” podpisywanych przez „Instytut Reedukacji Świń” oraz szereg anonimowych ulotek i anonimowych listów z wyrokami śmierci. Cała ta akcja ma charakter skrajnie antykomunistyczny i przynosi nieobliczalne szkody zarówno moralne, jak i polityczne życiu polonijnemu. Te ponure zjawisko zdżyczenia politycznego zostało potępione przez prezesa Kongresu Polonii Amerykańskiej, p. A. Mazewskiego. ■ 21 lutego br. odbył się w Polskim Instytucie Naukowym w New Yorku wieczór autorski Róży Nowotarskiej. P. Nowotarska odczytała fragment przygotowywanej książki pt. „Ciotka”.

KRONIKA KANADYJSKA

18. 1. br. w Montrealu obchodzono 80-tą rocznicę urodzin ambasadora Tadeusza Romera. T. Romer, który był profesorem uniwersytetu McGill, przed laty przeszedł na emeryturę i jest specjalnym doradcą Polskiego Instytutu Naukowego, Oddział w Kanadzie. ■ W Winnipegu (Manitoba) powstało Canadian Polish Cultural Association, którego prezesem został Ks. D. W. Malinowski. To nowe towarzystwo kulturalne sponсорuje program telewizyjny „Polish TV Hour”. ■ Mec. Władysława Bielska (żona b. prezesa Kongresu Polonii Kanadyjskiej) znalazła się jako jedyna kobieta na noworocznej liście 105-ciu prawników, którym został nadany honorowy tytuł Queens Council. P. Bielska jest kierownikiem *The Women Crown Employees Office* w Ministerstwie Pracy, a w początku lutego br. otrzymała drugie stanowisko kierownika *The Communication Law Section of the Communication Division*.

Z OSTATNIEJ CHWILI

KRAJ

K. T. Teoplitz został usunięty ze stanowiska redaktora naczelnego *Szpilek*. Na jego miejsce został mianowany Witold Filler. Ta nominacja jest pierwszym dobrym dowcipem w tym nudnym piśmie humorystycznym. ■ W 1974 roku w Polsce wszczęto ogółem 8.720 spraw o przestępstwa celne co stanowiło wzrost o 49 % w porównaniu z rokiem 1973. Znaczną część zajętych w postępowaniu karno-skarbowym towarów i środków płatniczych stanowiły polskie pieniądze — 9,7 mln. zł. (wzrost o 42 %). ■ Awaria w Zakładach Celulozy i Papieru w Świeciu, gdzie w lutym br. nastąpił wybuch kotła sodowego, pogorszyła sytuację papierową w PRL. Spowodowała znaczne straty w produkcji, które — co należy wyraźnie powiedzieć — odbijają się na zaopatrzeniu kraju w wyroby papiernicze, a szczególnie w worki papierowe i karton.

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze.

Pragnę dorzucić parę uzupełnień i sprostowań do „Wspomnień” p. Józefa Łobodowskiego o Feliksie Zahora-Ibiańskim, zamieszczonych w *Kulturze*, Nr. 1-2, 1975.

Redaktorem pierwszego numeru kwartalnika *Wschód* był p. Jerzy Giedroyc. Poczynając od numeru drugiego (grudzień, 1930) do ostatniego (marzec, 1939) byłem ja. Dyrektor Szkoły Wschodoznawczej przy Instytucie Wschodnim, prof. Olgierd Górka, nie brał udziału w pracach tego pisma. Wydawcą *Wschodu* było „Orientalistyczne Koło Młodych” zorganizowane w roku 1928 przy Instytucie Wschodnim z inicjatywy Tadeusza Hołówni. Początkowo redakcja *Wschodu* mieściła się w lokalu Instytutu Wschodniego, przy ulicy Miodowej 7, następnie w latach 1936-39 dzieliła lokal na Nowym Świecie 66 z *Biuletynem Polsko-Ukraińskim* i *Myślą Polską* w owych dwóch pokojach, o których wspomina J. Łobodowski.

Od chwili powstania *Myśli Polskiej* w 1936 Feliks Zahora był redaktorem działu kultury (literatura, sztuka, itd.) i podpisywał pismo jako wydawca. Ja redagowałem stronę polityczną pisma. Redaktor odpowiedzialny *Myśli Polskiej*, p. Mieczysław Jaculewicz nie partycytował w pracach redakcji; był administratorem wszystkich trzech pism.

Od czerwca 1939 objąłem stanowisko Kierownika Prac Instytutu Wschodniego; redakcje i administracja *Wschodu* i *Problemów Europy Wschodniej* (miesięcznik powstały w styczniu 1939 po likwidacji *Biuletynu Polsko-Ukraińskiego*) miały powrócić do Instytutu Wschodniego. Wówczas Feliks Zahora objął kierownictwo *Myśli Polskiej* i od czerwca 1939 podpisywał pismo jako redaktor i wydawca.

Łączę wyrazy poważania,

Włodzimierz BĄCZKOWSKI

Londyn, 11 marca 1975.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z treścią listu p. Br. Łokaja, ogłoszonego w numerze *Kultury* 3/330 z marca br., pragnę wyjaśnić co następuje:

1. Na 10 dni przed cofnięciem przez Wielką Brytanię uznania Rządowi R.P. Minister Informacji prof. Adam Pragier przekazał z funduszy rządowych sumę £ 15.500. Trustowi Dziennika Polskiego (*The Polish Daily Trust*) w osobach pp.: St. Balińskiego, płk. A. Bogusławskiego, red. J. Czarneckiego, prof. Z. Nagórskiego i ks. inf. Wł. Stanisławskiego (który wkrótce zrezygnował). Suma ta, przeznaczona przede wszystkim na utrzymanie pisma, które w chwili powstania Trustu było wydawnictwem deficytowym, pozwoliła w następnych latach na nabycie maszyny rotacyjnej, kilku linotypów i urządzeń drukarskich. Te maszyny i urządzenia stworzyły zawiązek własnej drukarni *Dziennika Polskiego*. Drukarnia, prowadzona pod firmą

Caldra House Ltd., a należąca od 1950 roku do powstałej w tym roku Polskiej Fundacji Kulturalnej, została w 1953 roku przeniesiona do własnego budynku w Hove (Sussex). Rozszerzona i wyposażona w nowe maszyny i urządzenia stanowi nadal podstawę istnienia *Dziennika Polskiego* i działalności wydawniczej Polskiej Fundacji Kulturalnej.

2. Akt, powołujący do życia Trust *Dziennika Polskiego* (tzw. *Deed of Trust*) przewidywał, że po upływie 21 lat, czyli w 1966 roku *Dziennik Polski* zostanie zlikwidowany („shall be wound up”), a sumy, uzyskane z jego likwidacji zostaną przekazane Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku.

Troska o utrzymanie ciągłości pisma, jako organu emigracji niepodległościowej, kazała szukać rozwiązań, wychodzących poza ustalone w tym akcie granice czasu. Sama logika przemawiała za tym, aby Polska Fundacja Kulturalna, jako instytucja społeczna, mająca własną drukarnię, przejęła odpowiedzialność za dalsze losy *Dziennika*. W tym kierunku szły rozmowy, które w jesieni 1961 roku prowadził Przewodniczący PFK gen. Władysław Anders z ówczesnym Prezesem Fundacji Kościuszkowskiej prof. Stefanem Mierzwą. Spór, który powstał w 1965 roku w następstwie wniesienia sprawy do sądu angielskiego przez Fundację Kościuszkowską, został po trzech latach zatwierdzony w drodze porozumienia pomiędzy adwokatami obu stron. Fundacja Kościuszkowska otrzymała \$ 20.000 i zrzekła się na korzyść Polskiej Fundacji Kulturalnej wszelkich praw i roszczeń w stosunku do *Dziennika Polskiego*, wynikających z mocy postanowień Aktu (*Deed of Trust*) z 25 czerwca 1945 roku. W maju 1968 roku własność *Dziennika Polskiego* przeszła na Polską Fundację Kulturalną, której zarządcami („governors”) byli: gen. Wł. Anders, amb. E. Raczyński, gen. St. Kopański, St. Baliński, W. Czerwinski i J. Sakowski. Po śmierci gen. Andersa w maju 1970 roku przewodnictwo Fundacji objął ambasador Edward Raczyński.

3. Należy dodać, że — w oparciu o własną drukarnię — Polska Fundacja Kulturalna rozwinęła szeroko zakrojoną działalność wydawniczą. W ciągu 11 lat od chwili podjęcia tej działalności z inicjatywy J. Sakowskiego wydano 146 książek autorów polskich. Książki, dostępne dla szerszych kół Emigracji, bo sprzedawane po cenach, obliczonych bez zysku na podstawie bardzo oszczędnej kalkulacji kosztów własnych drukarni, rozeszły się w tym okresie w ogólnej ilości 220.000 egzemplarzy.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku,

Witold CZERWINSKI

Nowy Jork, 21 lutego 1975.

Szanowny Panie Redaktorze!

Zgodnie z informacją p. Benedykta Heydenkorna („Kronika ukraińska”, *Kultura* nr 1-2, 1975) na konferencji naukowej na uniwersytecie McMaster w Kanadzie w październiku 1974 roku, prof. Gitelmana w dyskusji na temat sytuacji w Ukrainie podczas drugiej wojny światowej „zauważył iż podziemna Rada Ukraińska zabrała głos w czasie kiedy Niemcy mordowali Żydów, i odczytał paragraf głoszący iż Żydów, Polaków i Rosjan należy zabijać”.

Wystąpienie prof. Gitelmana miało być odpowiedzią na twierdzenie prof. B. Lewyckiego że „Ukraińcy mają jeden uzasadniony żal do Żydów, a mianowicie że współdziałali w procesie rusyfikacyjnym, podobnie jak najbardziej uzasadnioną może być pretensja Żydów, iż żadna organizacja ukraińska działająca w podziemiu, wydająca czasopisma itp., nie wystąpiła z potępieniem zbrodni hitlerowskich”.

Dla Ukraińca który brał udział w podziemnej walce przeciw Niemcom, a także dla każdego kto wie o niej z dokumentów i prac pisanych na Zachodzie, twierdzenie prof. Gitelmana brzmi rewelacyjnie. Niewątpliwą historyczną pomyłką ukraińskiego podziemia było to, że w oficjalnych dokumentach nie potępiło ono zbrodni hitlerowskich nad ukraińskimi Żydami (jak nie wiadomo także żeby żydowskie podziemie w Ukrainie zasądziło ówczesne zbrodnie hitlerowskie nad narodem ukraińskim), ale oskarżać jakąś „Radę Ukraińską” o nawoływanie do zabijania Żydów, Polaków i Rosjan jest lekkomyślnym oszczerstwem.

Podczas hitlerowskiej okupacji Ukrainy istniały cztery Rady ukraińskie. Pierwsza Ukraińska Rada Narodowa była stworzona we Lwowie na początku lipca 1941 roku, tj. zaraz po zajęciu Lwowa przez armię niemiecką. Rozwiązali ją Niemcy w lutym 1942 roku, gdy jej prezes Metropolita Szeptycki zaprotestował w liście do Himmlera przeciw mordowaniu Żydów.

W październiku 1941 roku powstała w Kijowie druga Ukraińska Rada Narodowa, ale już w listopadzie Niemcy ją zlikwidowali.

Na wiosnę 1944 roku niektórzy członkowie obu wspomnianych Rad formalnie stworzyli Wszechukraińską Radę Narodową, która także działalności nie rozwinęła. Należy zauważyć, że kilku członków tych Rad zniszczyli Niemcy w więzieniach lub obozach koncentracyjnych (inż. Bohdan Piascecki, poeci Ołena Teliha i Ołeh Kandyba-Olżycz, publicysta Orest Orszan-Czemeryński i in.). Żadna z tych Rad apelów do zabijania Żydów, Polaków i Rosjan nie wydawała. Nie robiła tego też czwarta Rada, tj. Główna Ukraińska Rada Wyzwolenia (Ukraińska Hołowna Wyzwolna Rada — UHWR).

UHWR była stworzona 15 lipca 1944 roku jako centralne polityczne kierownictwo dla walki przeciw hitlerowskiemu i bolszewickim okupantom Ukrainy. Jej podporządkowane były Ukraińska Armia Powstańcza (UPA) i Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów (OUN), które tę walkę prowadziły od 1941 względnie 1942 roku.

UHWR przetrwała na Ukrainie do 1952 roku. O niej istnieje na Zachodzie obfita literatura polityczna. Zachodni historycy i sowietolodzy stosunkowo dobrze zapoznali się z polityczną platformą i działalnością UHWR. Oni wskazują m.in. na to, że UHWR walczyła o równe prawa dla wszystkich obywateli Ukrainy i o prawa mniejszości narodowych (John A. Armstrong, *Ukrainian Nationalism*, 2nd ed., New York, Columbia University Press, 1963, p. 163-64). We wspomnianych pracach nie ma natomiast żadnej wzmianki o jakichkolwiek ekscesach antymniejszościowych ze strony UHWR, bo takich oczywiście nie było.

Szkoda, że informując czytelników *Kultury* o bezpodstawnych oskarżeniach prof. Gitelmana pod adresem „Rad Ukraińskich” p. Heydenkorn nie zainteresował się faktami, które mają decydujące znaczenie nie tylko dla stosunków ukraińsko-żydowskich, ale także dla teraźniejszych i przyszłych stosunków między Ukrainą i Polską.

Łączę wyrazy szacunku i poważania,

Myroslaw PROKOP

Edmonton, 28 lutego 1975.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Chcę sprostować omyłkę w sprawozdaniu p. Benedykta Heydenkorna z konferencji poświęconej zagadnieniom współczesnej Ukrainy, która odbyła się w dniach 25-27 października na Uniwersytecie McMaster w Hamiltonie,

Kanada (zob. „Kronika ukraińska”, Nr. 1-2, 1975). Omawiając referat prof. Gitelmana o stosunkach ukraińsko-żydowskich, p. Heydenkorn wspominał też o wystąpieniu koreferenta, niejakiego „prof. Lewickiego”. W rzeczywistości tym koreferentem (po angielsku *discussant*) byłem ja. To nieporozumienie dziwi mnie tym bardziej, że po zakończeniu sesji p. Heydenkorn przystąpił do mnie, by zawrzeć znajomość. Red. Borys Lewyckij z Monachium, dobrze znany czytelnikom *Kultury*, również brał udział w konferencji, ale jego referat był na innej sesji.

Korzystam z okazji, by ustosunkować się krytycznie do jednego miejsca w sprawozdaniu p. Heydenkorna. Píše on: „Po zakończeniu dyskusji referent dr Gitelman, wypowiadając się jak najbardziej za tezą prof. Lewickiego (*sic!*), zauważył iż podziemna Rada Ukraińska zabrała głos w czasie kiedy Niemcy mordowali Żydów, i odczytał paragraf głoszący iż Żydów, Polaków i Rosjan należy zabijać. Było to bardziej aniżeli dramatyczne zakończenie dyskusji”.

Otóż pragnę stwierdzić, że nie przypominam sobie tego „bardziej aniżeli dramatycznego” wystąpienia prof. Gitelmana. Być może moja pamięć mnie zawodzi, bo było to pod koniec trzydniowych intensywnych obrad. W każdym razie, wspomnianego argumentu nie ma w napisanym tekście referatu prof. Gitelmana, chociaż mówca zupełnie nie wykazywał skłonności do omijania bolesnych i drażliwych zagadnień, co zresztą było wielką zaletą jego referatu. Jeśli chodzi o samą istotę sprawy (bez względu na to, co powiedział, a czego nie powiedział prof. Gitelman), to nic mi nie jest wiadomo o tym by „podziemna Ukraińska Rada” (tutaj chyba chodzi o tzw. UHWR, „Ukraińska Hołowna Wyzwolna Rada”) nawoływała do zabijania Żydów, Polaków i Rosjan. Jako historyk, który zajmuje się dziejami nowoczesnych ukraińskich ruchów politycznych, musiałbym wiedzieć o istnieniu takiego faktu. Sądzę, że stosowny „paragraf”, który rzekomo odczytał prof. Gitelman, jest jakimś apokryfem, albo raczej wytworem wyobraźni p. Heydenkorna.

Podkreślam, że nie mam najmniejszego zamiaru wybielać ukraińskiego ekstremistycznego nacjonalizmu spod znaku OUN, ale że chodzi mi wyłącznie o prawdę historyczną. Ounowski nacjonalizm stale i konsekwentnie zwalczałem za jego faszystyzujące tendencje, obskurantyzm i ksenofobię. Jeśli chodzi specjalnie o stosunki ukraińsko-żydowskie, w moim koreferacie w Hamiltonie postawiłem ounowcom następujący ważki zarzut: w okresie niemieckiej okupacji nacjonalistyczne podziemie, mając ku temu obiektywne możliwości (siatkę organizacyjną i nielegalną prasę), nie zaprotestowało przeciwko hitlerowskiemu zbrodniom nad Żydami i nie przestrzegło ludności ukraińskiej przed współudziałem w tych zbrodniach. Powiedziałem też, że są sytuacje w których milczeć nie wolno, w których milczenie jest winą. Ale istnieje pewna moralna i polityczna różnica między milczeniem, kiedy trzecia strona dokonuje zbrodni, a aktywnym nawoływaniem do zbrodni, do morderstwa. Uważam, że ten ostatni zarzut pod adresem ounowców, jeśli chodzi o ich stosunek do mniejszości żydowskiej na ziemiach Ukrainy, jest nieuzasadniony. W danej sprawie powinni publicznie zająć stanowisko byli kierownicy ukraińskiego nacjonalistycznego podziemia z okresu wojny, przeżywający teraz na Zachodzie.

Konferencja na Uniwersytecie McMaster była wybitną imprezą naukową, świadcząca o wzroście zainteresowania problematyką ukraińską w kołach uniwersyteckich Ameryki i Kanady. Tematy referatów i koreferatów obejmowały szeroki wachlarz zagadnień, od cybernetyki do ruchów dysydenckich i od demografii do kwestii konstytucyjno-ustrojowych. Do udziału w konferencji zaproszono przedstawicieli kijowskiej Akademii Nauk (o czym p. Heydenkorn nie wspominał), ale zaproszenie zostało zignorowane. W międzyczasie w prasie sowieckiej już się ukazały ataki przeciwko organizatorowi,

prof. P. Poticznemu i innym uczestnikom konferencji zarówno nieukraińskiego jak i ukraińskiego pochodzenia. Materiały konferencji ukażą się niebawem w druku, na co pozwalam sobie zawiadzić uwagę czytelników *Kultury*.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku,

Ivan L. RUDNYTSKY
Department of History
The University of Alberta
Edmonton, Alberta, Canada.

Szanowny Panie Redaktorze,

W początku stycznia otrzymałem bardzo ciekawy list z Polski. Pozwól sobie zacytować pewne fragmenty, które nie wymagają żadnego komentarza. Przyjaciół mój przesłał list poprzez osobę prywatną, pisząc: „nie proszę Cię o dyskrecję, bo nie widzę powodu, żeby ukrywać przed światem łajdactwa tego ustroju...”. Oddaję mu głos:

„...bezpieka jednak szaleje i widzę, że nie należy tego lekceważyć. Dziś na herbatce u N. była C.C. Wyobraź sobie, że maju była w sumie 48 godzin (nie bez przerwy) maglowana przez milicję w sprawie... 'marca'. Idioci, ona właściwie z marcem niewiele miała wspólnego prócz... D. i L., którym w tej chwili dali spokój. Chodziło o to, że na Uniwersytecie Śląskim (w Katowicach — przyp. mój) pojawiły się 'wywrotowe' ulotki wśród studentów, ponoć z Krakowa, więc zajęli się krakowskimi 'marcowicami'. Sypali C.C. faktami, kiedy ostatnio, z kim, o czym rozmawiała w pociągu, kiedy się ostatnio widziała w Krakowie z D. itd., itd. Badali u niej w domu maszynę do pisania, mierzyli jakimiś aparatami jej siłę uderzenia w trzonki. no obłąd...”

„...Poza tym ostatnio była ruchawka, bo paru pisarzy napisało list otwarty w sprawie Polonii w ZSRR. Dwa tygodnie temu (list pisany 25. 12. — przyp. mój) odbyła się sesja literaturoznawcza na Uniwersytecie Śląskim (polonistyka), miała trwać 3 dni. A tu bomba: część referatów dotyczyła tych właśnie podpadniętych świeżo, pisarzy, wycofano je wobec powyższego, co sesję skróciło do 2 dni. A w czasie reszty referatów, na wszelki wypadek siedzieli panowie z aparaturą i nagrywali non-stop. Afera była tym głębsza, że w dniach sesji odkryto liczne kopie tego listu wśród studentów polonistyki...”

„...Instytut nauk politycznych na US zorganizował na wiosnę anonimową ankietę wśród studentów pt. „Student a polityka”. Ty wiesz, że na pytanie: czy zamierzasz wstąpić w przyszłości do Partii?, nie było ani jednej odpowiedzi tak. Poza tym tylko parę osób zadeklarowało się jako niewierzące, reszta albo wierząca, albo „przywiązana do tradycji religijnej”. Ciekawe, że u większości ktoś z rodziców jest w P. Na pytanie czy słuchają obcych radiostacji chyba tylko 2-3 osoby napisały, że nie. Na pytanie którą radiostację uważają za najbardziej godną zaufania — 1-sze miejsce ma BBC, 2-gie Radio Paryż. Politycy wzbudzający największą sympatię: to Kennedy, Brandt i Kissinger. Spośród socjalistycznych — Tito, z krajowych często nikogo nie podawano, ewentualnie Jaroszewicza (więcej niż Gierka), Olszowskiego. Ciekawe, że na pytanie co rozumiesz pod pojęciem „internacjonalizm” bardzo wiele było odpowiedzi: „cały świat jest ojczyzną”. Wiele osób krytykowało wewnętrzną politykę ekonomiczną. Większość bodaj powiedziała, że nie ma żadnego wpływu na losy Kraju. Na tym kończę cyto-

wanie listu. Byłbym wdzięczny, gdyby Redakcja go wydrukowała. Jest to ciekawy przyczynek do „liberalizacji” w Polsce. Interesujące jest także, że oficjalnie urzędują ankiety, które dają władzom obraz prawdziwych nastrojów młodzieży. Bo nieoficjalnie służy do tego celu gigantyczna i niewidzialna armia tajników. Oddaję raz jeszcze głos mojemu znajomemu: „Przy okazji dowiedziałem się jak odbywa się rekrutacja kapusiów. Otóż decydując się na współpracę stajesz się ich człowiekiem, absolutnie posłusznym, na (teoretycznie) 10 lat, obawiam się, że w praktyce podpisuje się taki cyrograf na całe życie, bo jak się wypłatać? W zamian za to dostajesz praktycznie wszystko: mieszkanie jakie chcesz i gdzie chcesz. Dostajesz jaką chcesz pracę, która naturalnie jest tylko atrapą Twojej faktycznej działalności. No i w ogóle o stronę finansową życia martwić się już nie musisz...”

Na tym kończę.

Z wyrazami szacunku,

K. W.

(nazwisko i adres znane redakcji)

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 - Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Dépôt Légal: 2^e Trimestre 1975.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffite: Telefon: 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-rocza	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002	R. 2,00	R. 10,00	R. 18,50
ARGENTYNA: Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
AUSTRALIA: Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$ A 2,00	\$A. 11,00	\$A. 20,00
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	Sch. A. 55,00	Sch. A 325,00	Sch. A. 575,00
BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Czaky, 19, Armée des Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20 Tel. 218-69-23	F.B. 110,00	F.B. 650,00	F.B. 1200,00
BRAZYLIA: Janina Pomian-Piatkowska, Al Barao de Limeira 1022, apt 74 Cells., 01202 Sao Paulo (SP) tel. 221-1724	\$ US 2,50	\$ US 13,00	\$ US 24,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 11,00	F. 60,00	F. 110,00
HOLANDIA: Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176	Fl. h. 8,00	Fl. h. 45,00	Fl. h. 80,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal, Que, H4A 1Z1 Tel 486-2839; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, Tel. 545-2115; Henryk Słowikowski, 14 Southern Drive, Ottawa, Ont. K1S 0P4; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Związkowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 2,50	\$ Can. 13,00	\$ Can. 24,00
NIEMCY: St. Mikicluk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 —	DM. 7,00	DM. 40,00	DM. 75,00
NORWEGIA: Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss —	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, r. des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7. Tel. 33-34-20, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 9,50	F.S. 50,00	F.S. 85,00
SZWECJA: Norbet Zahs. Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60-15-70	K.S. 11,00	K.S. 65,00	K.S. 120,00
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Duderew-Osetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8868; M.E. Dobrowolska, 4419 N. Pershing Dr., Arlington, Va. 22203; Ada Dziewanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145, Tel. 8714847; Ch. M. Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346; M. Kosciuch, 12331 French Road, Detroit, Mich 48234; Polish Book Store, 7970 Summerdale Ave., Philadelphia, Pa, 19111; The Polish Book Importing Co, 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA, 410 Matchaponix Av., Chicago, Ill. 60618. R.J. Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, 10472 Barnwell Street, Bellflower Cal. 90706 Tel. 867-1857; Jan Wojcik 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211	\$ US 2,50	\$ US 13,00	\$US 24,00
W. BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W 5. ORD.	£ 0,95	£ 5,80	£ 10,50
WŁOCHY: Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27., Tel. 75-67-241	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna - F. 120, półroczna - F. 65.
Przesyłka pojedynczego numeru: F. 1,40.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le-Mesnil-le-Roi,
par 78600 - MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18 228-38 (z zagranicy).

TOM 253 — STEFAN KORBOŃSKI

POLSKIE PAŃSTWO PODZIEMNE

Przewodnik po Podziemiu z lat 1939-1945

Książka zawiera rozdziały: *Warunki w jakich rodziło się i rozwijało Polskie Państwo Podziemne. — Służba Zwycięstwu Polski. — Związek Walki Zbrojnej. — Delegatura zbiorowa. — Delegaci Rządu. — Biuro Polityczne i CKON. — Delegatura Rządu. — Rozporządzenia, oświadczenia i odezwy delegatów Rządu. — Armia Krajowa. — Walka cywilna. — Kierownictwo Walki Podziemnej (KWP). — Krajowa Reprezentacja Polityczna (KRP). — Rada Jedności Narodowej (RJN). — Podziemie BBWR-owskie i OZON-owe. — Podziemie ONR-owskie. — Podziemie komunistyczne i komunizujące oraz ANTYK. — Prasa i wydawnictwa podziemne. — Żydzi pod okupacją. — Kolaboracja. — Katyń. — Przed „Burzą”. — „Burza”. — Powstanie Warszawskie. — Początek okupacji sowieckiej. Ostatnie miesiące Polskiego Państwa Podziemnego. — Epilog. — Lista „Sprawiedliwych wśród narodów”. Indeks nazwisk.*

Str. 288.

Cena F. 40,00 (Dol. 10,00).



TOM 254 — MAREK TARNIEWSKI

EWOLUCJA CZY REWOLUCJA

Wnikliwa analiza istniejącego w Polsce ustroju przeprowadzona przez autora krajowego. Poszczególne części tej pracy noszą tytuły: **WSTĘP. — PÓCHODZENIE SYSTEMU. — WŁASNOŚĆ, PAŃSTWO I PARTIA. — ORGANIZACJA SPOŁECZEŃSTWA, ELITA WŁADZY. — RZĄDZĄCY I RZĄDZENI. — ŚWIADOMOŚĆ SPOŁECZNA. — DZIEDZINY I KIERUNKI PRZEMIAN. — CZYNNIKI PRZEMIAN. — ZAKOŃCZENIE.**

Str. 288.

Cena F. 40 (dol. 10,00)